

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/511

1990



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

K. GAWLIKOWSKI: **EUROPEJSKA WSPÓLNOTA
KULTUROWA A NACJONALIZMY**

St. BIENIASZ: **GÓRNY ŚLĄSK**

A.T. ROMER: **LITHUANIA REVISITED**

L. UNGER: **PIEŚŃ O NIBELUNGACH,
ALE BEZ PIERŚCIENIA**

W. CHARŁAMP: **DZIENNIK ZEWNĘTRZNY**

SPIS RZECZY

Krzysztof Gawlikowski:	<i>Europejska wspólnota kulturowa a nacjonalizmy</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	13
Stanisław Bieniasz:	<i>Górny Śląsk — co dzieli, a co powinno łączyć</i>	24
Andrzej T. Romer:	<i>Lithuania revisited. Odwiedziny po czterdziestu pięciu latach</i>	35
Sławomir Mrozek:	<i>Flaga</i>	54
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli (Pieśń o Nibelungach, ale bez pierścienia)</i>	56
J. Mondry:	<i>Przyszłość stosunków japońsko-sowieckich</i>	71
WYWIADY KULTURY		
Aureliusz M. Pedziwol:	<i>Konsultanci (rozmowa z księciem Johannem von Schwarzenbergiem)</i>	75
KRAJ		
Witold Charłamp:	<i>Dziennik zewnętrzny</i>	82
Jan Prokop:	<i>W rok po Magdalence</i>	98
Porozumienie Ponad Podziałami:	<i>W sprawie wyborów do samorządu terytorialnego</i>	106
—	<i>Pro domo sua</i>	107
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	108
Grzegorz Ziętkiewicz:	<i>Kronika niemiecka</i>	114
SPRAWY I TROSKI		
Irena Lasota:	<i>Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej — rozliczenie (1984-1989)</i> ..	118
KRONIKA KULTURALNA		
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Myśli o Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie</i>	124
Michał Wyszomirski:	<i>Louis Armstrong z Krakowskiego Przedmieścia</i>	129
—	<i>Komunikat o jednorazowej nagrodzie im. Z. Kallenbacha</i>	133
KSIĄŻKI		
Renata Gorceżyńska:	<i>Flannery O'Connor: sztuka deformacji</i> ..	134
Bogdan Rogatko:	<i>U kresu</i>	138
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	141
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca, kronika kanadyjska oraz komunikaty Polcul Foundation i Politechniki Białostockiej</i>	144
•		
Z.J. Adamczyk, J. Boniecki, M.T. Kiszczak, B. Nic, Społeczna Służba Ukraińców w Kanadzie, E. Wołęga-Wrzosek:	<i>Listy do Redakcji</i>	150
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień - Avril 1990

INSTYTUT



LITERACKI

OD REDAKCJI

Podajemy tekst listu wysłanego 8 marca 1990 do Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego:

Wkrótce Litwa ogłosi swoją niepodległość. Apeluję do posłów i senatorów o spowodowanie, aby Polska, jedna z pierwszych, uznała ten akt. Uznanie przez nas niepodległości bratniego wschodniego sąsiada winniśmy Litwinom i Polakom na Litwie w imię własnej wolności.

Jerzy GIEDROYC

Warszawa 15 marca 1990

Szanowny Panie Redaktorze,

Bardzo dziękuję za Pański list z 8 marca. Jestem głęboko przekonany o słuszności Pańskiego stanowiska w sprawie niepodległości Litwy i pragnę zapewnić Pana Redaktora, że Obywatelski Klub Parlamentarny podejmuje od dłuższego czasu działania wspierające ruch litewski. Służyło temu nasze spotkanie z kierownictwem *Sajudisu* w Warszawie, przed dwu miesiącami. W uroczystości ogłoszenia niepodległości Litwy uczestniczyła delegacja naszego klubu, a poseł Henryk Wujec wyraził w przemówieniu gratulacyjnym naszą radość. Rząd Rzeczypospolitej Polskiej jako jeden z pierwszych uznał akt niepodległości Litwy. Mamy nadzieję, że stwarza to podstawy do dobrych stosunków między Polską, a Litwą w przyszłości i że będzie służyć także interesom Polaków na Litwie.

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku dla Pana Redaktora wraz z najlepszymi pozdrowieniami.

Bronisław GEREMEK

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Prof. Bronisław Baczeko, Genewa — zamiast kwiatów na grób Klemensa Szaniawskiego	F. 300,00
Mikołaj Barakoński, Sherman Oaks, CA (USA), po raz 25-ty — \$ 50,00	F. 285,00
Wojciech i Elżbieta Brym, Cleveland, OH (USA) — dla uczczenia pamięci wieloletniego przedstawiciela <i>Kultury</i> w Cleveland, Tadeusza Konopackiego — \$ 100,00	F. 570,00
Czesław M. Fokowicz, Edmonton, AB (Kanada) — \$ can. 56,00	F. 276,00
Stefania Misińska, Caracas (Wenezuela), po raz 6-ty — \$ 22,00	F. 125,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 48-my — \$ 100,00	F. 570,00
Społeczna Służba Ukraińców w Kanadzie, Toronto — \$ can. 50,00	F. 247,00

DZIĘKUJEMY!

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

Europejska wspólnota kulturowa a nacjonalizmy

Rok 1989, który długo będziemy wspominali, położył kres nie tylko komunistycznemu eksperymentowi „powszechnej szczęśliwości”, w imię której ciemniono całe narody, likwidowano klasy społeczne i niszczoneo ludzi. Zamyka on o wiele szerszy nurt socjalistycznych utopii i poszukiwań panaceum na problemy społeczne w rozbudowie biurokratycznego aparatu państwa i w powierzaniu mu funkcji organizatora życia gospodarczego i społecznego. Krytyka tego nurtu jest już właściwie bezprzedmiotowa, gdyż historia wydała nań nieodwołalny wyrok. Rozmaite humanistyczne ideały zawarte w doktrynach socjalistycznych nie straciły wprawdzie wartości, ale muszą być realizowane w zupełnie inny sposób, co jest dziś oczywiste.

Ten sam jednak wiek XIX, który zrodził socjalistyczne teorie, zapoczątkował także rozwój ideologii nacjonalistycznych. Jest to, jak sądzę, ta część dziewiętnastowiecznego dziedzictwa, która będzie przysparzać nam najwięcej kłopotów przez następne dziesięciolecie. Tym bardziej, że systemy „realnego socjalizmu” w ich fazie dekadencji coraz bardziej odwoływały się do nacjonalizmów. Rozbudzając animozje etniczne, próbowano odwracać uwagę społeczeństw od odpowiedzialności partii komunistycznych za rozpaczliwą rzeczywistość, zrzucać winę za własne błędy na szkodliwą działalność „obcych” i ukazywać partie rządzące jako obrończynie interesu narodowego. Do tego dołącza się świadoma polityka sowiecka, oparta na starożytniej jeszcze zasadzie imperialnej: dziel i rządź. Warto jednak zwrócić uwagę, że nawet klasyczny model stalinizmu, który w sferze ideologii tak zwalczał poczucie narodowe, w praktyce tworzył przesłanki myślenia właśnie w kategoriach narodo-państwowych.

W krajach zachodnich pracownicy wielkiej czy małej firmy troszczą się na ogół o jej los i mało ich obchodzi stan gospodarki narodowej (chyba, że wkracza ona w wielki kryzys). Co więcej, ich menadżerowie, a w mniejszych firmach i pracownicy, patrzą na inne firmy z tej samej branży jako na konkurentów. Podobnie historyka włoskiego nie obchodzi właściwie wcale stan „badań historycznych we Włoszech”, a głównie stan jego własnych badań, co najwyżej stan i prestiż jego uniwersytetu, podczas gdy sukcesy innych uniwersytetów włoskich będą go raczej niepokoić, gdyż są one też uważane za konkurentów. Myślenia w kategoriach dyscypliny naukowej zamkniętej granicami państwowymi nie ma tu właściwie wcale. Jeśli już ktoś rozważa jej stan, to w skali światowej, podobnie jak menadżer identyfikować się może z filiami swojej firmy w innych krajach czy interesować się stanem produkcji w swojej branży w skali światowej. W rezultacie sposób myślenia „człowieka Zachodu” jest w dziesiątkach codziennych okoliczności związanych z jego pracą zawodową całkowicie odmienny od jego kolegi z Europy Środkowej.

W Polsce, na Węgrzech czy w Bułgarii wszystko było scentralizowane, każda dziedzina miała swoje ogólnopaństwowe czy narodowe ciała zarządzające, planujące, informujące o stanie rzeczy w danej sferze; los pojedynczego człowieka był na tyle uzależniony od polityki państwa, że w końcu przyzwyczailiśmy się sami myśleć w kategoriach państwowo-narodowych. Tym bardziej, że przez dziesięciolecia w takim duchu informowała nas prasa i wszystkie mass-media. Żadnemu Włochowi czy Francuzowi nie przyszłoby nawet do głowy, że na przykład za brak herbaty w pobliskim sklepie odpowiada państwo i że jest on związany z jakimiś interesami narodowymi. Po prostu idzie do innego sklepu i kupuje to, co mu potrzeba, a niezaradnego właściciela zostawia z jego niesprawnym biznesem. My natomiast czytaliśmy nieustannie, że czegoś nie można kupić, gdyż ceny na światowym rynku podskoczyły w wyniku przymrozków w Brazylii, albo że uzyskamy herbatę od Chińczyków w trzecim kwartale w zamian za tenisówki. Chcąc przeczytać książkę, wiedzieliśmy, że nie dostaniemy jej w pobliskiej księgarni ani w miejskiej bibliotece, gdyż „Polska odczuwa przejściowe braki papieru” albo „mocy produkcyjnych w drukarniach”, albo z powodu „nieprawomyślności” danego dzieła. Dla „człowieka Zachodu” jest to tłumaczenie obłudne, ale cały nasz świat był jak ze snu paranoika.

Do tego wszystkiego dołączają się i inne czynniki. Ideologia komunistyczna załamała się, ale przez lata jej upowszechniania wykształciła się w nas potrzeba ideologii, działania w imieniu jakichś izmów, dla jakichś odległych zbiorowych celów czy ideałów. Może to być oczywiście ważnym elementem ułatwiającym

nam wyjście z kryzysu, ale będzie też nieuchronnie stwarzać zapotrzebowanie na „ideologie zastępcze”. Pierwszą, która się będzie narzucać, jest nacjonalizm. Tym bardziej, że w warstwie ideologicznej był on poprzednio tępiony, ma więc smak owocu zakazanego. Co gorsza, podobne procesy zachodzą w całym naszym regionie, a zatem każdy z nacjonalizmów będzie się zderzał z sąsiednimi i każdy z narodów każdemu ze swych sąsiadów będzie wystawiał rachunki za realne i zmyślane krzywdy.

Ów nieunikniony patologiczny rozwój nacjonalizmów wiąże się ze zdeprecjonowaniem jednostki, z zanegowaniem, albo chociażby znacznym obniżeniem jej wartości i jej samoświadomości, a także ze zniszczeniem struktur i więzi lokalnych, sąsiedzkich, grupowych, niemal całej struktury społeczeństwa obywatelskiego. Polska jest w tej dziedzinie w sytuacji jeszcze najkorzystniejszej, ze względu na długotrwałe formowanie różnych ruchów opozycyjnych. W rezultacie społeczeństwa mają charakter tłumu i reagują jak tłum, nawet gdy fizycznie indywidualnie nie znajdują się w tłumie. A najłatwiejszymi mechanizmami agregacji tłumu będą właśnie ideały narodowe albo religijne, które często się łączą. Wprawdzie religia i jej hierarchie mogą odgrywać rolę hamującą i mitygować emocje tłumu, ale nie zawsze tak się dzieje, jak pokazuje konflikt z muzułmanami w Bułgarii czy też konflikt armeńsko-azeryjski, lub znacznie nam bliższy rozwój tendencji antypolskich na Litwie.

Wszystkie nasze kraje będą teraz gorączkowo przygotowywały nowe podręczniki szkolne, wyrzucając z nich „bohaterów rewolucyjnych” i ostatnie pozostałości dogmatów marksistowskich. Można się jednak z góry założyć — o każdą sumę — że treści stare zostaną zastąpione „narodowymi”. W rezultacie orientacja nacjonalistyczna będzie się jeszcze potęgować, a na wyżej wspomniane uwarunkowania nakładać się będzie upowszechniana ideologia. Nowe zaś konflikty międzypaństwowe, które są w tej sytuacji nieuniknione, będą jeszcze potęgowane przez napięcia społeczne związane z kryzysem gospodarczym i świadome manipulacje polityczne. Nowi zmarli bohaterowie będą wymagać zapłaty krwią, i tak obłudne koło nonsensownych waśni może się toczyć przez dziesięciolecia.

Dlatego w prasie światowej coraz więcej się pisze o groźbie „bałkanizacji” Europy Środkowej jako o głównym problemie nadchodzącej przyszłości. Nic dziwnego, że nasze wejście do „wspólnego europejskiego domu” niepokoić zaczyna wielu polityków. Tak, chcą nas tam powitać, ale ze zdrowymi gospodarzami i bez uwikłania w niezrozumiałe dla nikogo z zewnątrz konflikty narodowe.

Chcąc wejść do tej wymarzonej Europy, musimy zatem dokonać narodowego rachunku sumienia i dokonać rewizji całej

naszej wizji historii. Nie jest to jednak łatwe, gdyż nasze literatury narodowe i kanony literackie, na których się wychowujemy, w dużej mierze upowszechniają stereotypy narodowe i myślenie w kategoriach narodo-państwowych. Należałoby zatem odrzucić teraz tę część naszego dziewiętnastowiecznego dziedzictwa, która absolutyzowała naród i państwo, przeciwstawiając je bliższym i dalszym sąsiadom, ożywić zaś tradycję Renesansu, kiedy znaczna część Europy stanowiła jedność kulturową, a poczucia narodowe były w stanie zaczątkowym. Z tym wiązałyby się zmiany typu bohaterów: Czarniecki, czy generał Dąbrowski, uwiecznieni nawet przez polski hymn, szablą wojujący o Ojczyznę, musieliby zostać odsunięci na plan dalszy. A na plan pierwszy wysunąć by się musiał Kopernik, który w domu zapewne rozmawiał jednym z dialektów niemieckich, studiował w Bolonii, pracował na Warmii, a swe wiekopomne dzieło opublikował w Norymberdze. Odrzucić musielibyśmy tradycję romantyczną, tak wszystkim nam drogą, a powrócić znowu do pozytywistów, do myślenia o maszynach, edukacji, handlu, kasach pożyczkowych i „bohaterach burżuazyjnych”, obrzydzanych nam skutecznie i przez romantyków, i przez komunistyczną propagandę.

Zdaję sobie sprawę, że tezy te budzić mogą oburzenie, nie tylko zresztą w Polsce, i zaakceptowanie ich nie jest łatwe. Ba, to co piszę jest bolesne nawet dla mnie samego i zaprzecza najgłębszym pokładom emocji, które wyniosłem z dzieciństwa. Żyjąc jednak w Europie Zachodniej wiem, jak bardzo nasz sposób myślenia, nasze ideały i bohaterowie są odlegli od tego świata komputerowo-przemysłowego, do którego wejść pragniemy. Państwa są tu strukturami o bardzo ograniczonych funkcjach, granice prawie nie istnieją, a po 1992 roku znikną najróżniejsze bariery, które jeszcze pozostały. Co więcej, choć istnieją one jako regulacje prawne, są już uważane za przeżytki. Państwa i narodowe emocje z nimi związane ustępują miejsca ponadnarodowym strukturom politycznym i gospodarczym, poczuciu „europejskości” i rozwojowi tradycji regionalnych, które tu na Zachodzie mają dużą siłę. Włosi, Niemcy, Francuzi czy Brytyjczycy nigdy nie zostali zglajchszaltowani i przemieszani tak dokładnie jak Polacy po drugiej wojnie światowej. (Z dawnego zróżnicowania pozostały ledwo grupy reliktowe, które zachowały swą odrębność, jak Ślązacy i górale czy Kaszubi). W Europie Zachodniej dawne tożsamości regionalno-etniczne na ogół przetrwały. Sprawa Wielkiej Brytanii jest znana, z jej Anglikami z różnych hrabstw, Szkotami, Walijszczykami i Irlandczykami. Ale przecież dość podobnie jest i w innych krajach. Animoszje między „Prusakami” z północy i Bawarczykami, czy Sycylijszczykami a Lombardczykami są bardzo głębokie, a podziały regionalne odgrywają wciąż dużą rolę.

Nowa europejska jedność, jaka się kształtuje, jest „jednością w różnorodności”, tyle że konflikty regionalno-etniczne nie osiagają tu jednak skali własni narodowych z Europy Środkowej i Bałkanów. Przemieszanie interregionalne jest duże, a ponad regionami mamy tu identyczności wyższego rzędu: państwowe, wielkich regionów kulturowych czy wręcz europejskie, podczas gdy w Europie Środkowej brakuje zarówno silnych więzi i struktur niższego rzędu, jak też realnej współpracy ponad granicami państw, nadto zaś nie istnieje niemal poczucie „środkowo-europejskiej” wspólnoty regionalnej. Absolutyzacja narodu, będąca oczywiście rezultatem naszych historycznych losów, niemal wyeliminowała regionalizmy i uczyniła nas niezadowolonymi do współpracy w szerszej skali. Narody uległy swoistej „wilczej zarazie” skakania sobie nawzajem do gardła o byle co i kierują się w istocie „moralnością Kalego”: dobrze — gdy Kali zabrał krowy, źle — gdy Kalem zabrano krowy. Rzecz jasna agresywne nacjonalizmy i szowinizmy etniczne nie są równoznaczne z elementarnym poczuciem tożsamości narodowej, z przywiązaniem do rodzinnej tradycji kulturowej i patriotycznym stosunkiem do państwa, i tylko te pierwsze zasługują na odrzuceniu. Problem polega na tym, że w naszym regionie patriotyzmy często występują w formie nacjonalizmów, że wyabsolutyzowane państwo-moloch unicestwiło potrzebne dla zdrowia społecznego rozsądne poczucie państwowe, a zatem musimy dokonać społecznej przebudowy naszych tożsamości narodowych i państwowych, co nie jest tylko sprawą intelektu, ale i emocji. Temu powinna towarzyszyć odbudowa poczucia godności i wartości jednostki, a także społeczności lokalnych, grup zawodowych itd.

Należałoby zafascynować zbiorową wyobraźnię przyszłością, która dziś właśnie się rodzi, zwrócić się ku postulowanej jedności Europy, a porzucić ustawiczne rozpamiętywanie przeszłości, dawnych krzywd, zwycięstw i koncepcji. Powinniśmy zarazem dokonać przewartościowania tego, co w zbiorowej pamięci chcemy zatrzymać, wybierając elementy, które przez meandry historycznych losów wiodły nas do tej jedności. To wymagałoby także dokonania zmian w panteonie naszych bohaterów narodowych. Z tej perspektywy zasługiwaliby na największy szacunek ci mężowie stanu i działacze, którzy myśleli o współpracy między narodami, rozwijali gospodarkę, kulturę i nauki, nie zaś ci, którzy poświęcali się podbojom. Wzór musimy brać z tych nielicznych, którzy rozumowali kategoriami „ślusznego interesu” swego kraju i sąsiadów, szukając kompromisu i szanując inne, ale przecież równoprawne interesy sąsiadów.

Prawa obywatelskie i ludzkie mają swój wymiar szerszy, obcy jeszcze naszemu potocznemu myśleniu: praw zbiorowości. Społeczeństwa szanujące je w stosunku do jednostek muszą i

chę przestrzegać ich w stosunkach wzajemnych. Prawda ta stała się już właściwie oczywistością w Europie Zachodniej, my jednak musimy ją sobie dopiero przyswoić. Najjaskrawszym przykładem starego sposobu myślenia są niedawne wypadki w Bułgarii: masowe żądania utrzymania dotychczasowej dyskryminacji mniejszości tureckiej. Gdy akceptuje się prawa demokratyczne dla „swoich”, nie można ich odmawiać „obcym”, czy znajdując się oni w naszym państwie czy poza nim. Ruch Solidarności i ruchy demokratyczne w krajach ościennych dostrzegły niebezpieczeństwa związane z totalitarno-nacjonalistycznym myśleniem i podjęły nawet wysiłki dla jego przezwyciężenia, są to jednak wciąż dopiero pierwsze kroki.

Należy też zwrócić uwagę na jeden istotny aspekt: otóż my, Polacy, Czesi czy Węgrzy, uważamy się każdy z osobna za członka europejskiej wspólnoty kulturowej i każdy z naszych narodów sądzi, że szczególnie zasługuje na znalezienie się w niej. Realia zaś są takie, że gdy zachodnio-Europejczycy myślą o procesie jednoczenia, myślą o Europie „od Atlantyku do Uralu”, z Bułgarami i Rosjanami, tak samo zasługującymi na członkostwo jak Węgrzy i Polacy. Gdyby ktokolwiek z nas próbował negocjować to moralne prawo swoich sąsiadów, naraziłby się po prostu na śmieszność. Możemy integrować się z Europą Zachodnią tylko integrując się zarazem między nami! Wszyscy musimy przechodzić podobne procesy dostosowawcze w sferze prawnej i gospodarczej, i oczywiście byłoby znacznie łatwiej, gdybyśmy przeprowadzali je wspólnie. I wszyscy musimy przejść procesy dostosowawcze w sferze kulturowo-ideologicznej, kto wie, czy nie jeszcze trudniejsze.

Polskie „zwrócenie ku Zachodowi” pociąga oczywiście zwrócenie się tylną stroną do Wschodu, a do tego jeszcze mamy dziedzictwo „przedmurza chrześcijaństwa” (bądź katolicyzmu), w wersji unowocześnionej zaś — przeciwstawienie „naszej” tradycji, łacińskiej, „ich” bizantyjskiej. Nikt jednak rozsądny w Rzymie czy Paryżu nie zechce nawet słuchać, że Europa kończy się na Bugu. Chcąc wejść do Europy, musimy uznać, że składa się ona z różnych części, musimy zaakceptować naszą „środkoeuropejskość” i dokonać zasadniczej rewizji stosunku do kultur kręgu bizantyjskiego. Trudności związane z taką rewizją nie są oczywiście tylko nasze, mają je Niemcy (i ci z NRD), dla których to my jesteśmy „ludźmi wschodu”, mają je Węgrzy i Czesi. Ale w innej skali ma je i Europa Zachodnia. Do 1989 roku „być Europejczykiem” znaczyło być „zachodnim Europejczykiem”, no może z mieszanym współczuciem dla „uciśnionych braci na wschodzie”. Teraz poczucie „europejskości” dziwnie się rozmyło i zagmatwało. Stało się jasne, że braci trzeba dopuścić do wspólnego domu, ale to w sposób nieunikniony

oznacza rozszerzenie znaczenia „europejskości” i pociąga za sobą rewizję obrazu dziejów Europy i jej kultury. Rok 1990 zapoczątkowuje w tym właśnie aspekcie fundamentalną zmianę, której skali ani znaczenia nawet przewidzieć się nie da.

Upadek „żelaznej kurtyny” jest z tego punktu widzenia cezurą w procesach długiego trwania, używając konceptu Braudela. Integrację gospodarczą jakoś sobie wyobrażamy, transformacja NATO i Układu Warszawskiego poddaje się negocjacom przy kolejnych okrągłych stołach, zaś formowanie europejskiej wspólnoty kulturowej jest procesem o wiele trudniejszym, w którym emocje i wyobrażenia zbiorowe, z natury swej trudno poddające się kontroli, odgrywać będą rolę kluczową. Bez takiej jednak integracji kulturowej wspólnota gospodarczo-polityczna funkcjonować nie może; integracja musi postępować w różnych sferach równocześnie, a zahamowania w jednej z nich będą hamować i inne.

Chcąc stać się członkami tej nowej wspólnoty, musimy poczuć się nimi i widzieć się nimi w perspektywie historycznej, naszej przeszłości i przyszłości. To oznacza, że powinniśmy zwrócić uwagę na to, co nas łączy, zamiast na to, co nas dzieli. A więc na przykład zakładanie miast w Polsce na prawie niemieckim i napływ kupców oraz rzemieślników z państw niemieckich należałoby rozpatrywać nie z perspektywy krwawego *Drang nach Osten*, ale poszerzania miejskiej cywilizacji zachodniej, bez której nie mielibyśmy miast ani mieszczan pewnie tak samo jak wschodnia Ruś, nie mówiąc o rozmaitych instytucjach samorządowych, technologiach itp. To zatem, co skłonni byliśmy opatrzeć znakiem „—”, teraz będziemy musieli traktować jako „+”. Zrzucenie łaciny jako wspólnego języka sfer wykształconych też miało rozliczne konsekwencje negatywne, których dotychczas nie chcieliśmy dostrzegać. Nawet sens wielu słów musi ulec zmianie, na przykład paskudne określenie „kosmopolita”, obraźliwe w ostatnich dekadach, a przecież wywodzące się jeszcze z dawnej patriotycznej odrazy do „francuszczyzny”, będzie nabierać sensu pozytywnego, tak jak to się już stało w Zachodniej Europie. Któż tu zachwyci się muzyką „naszą”? I starsi i młodzież słuchają muzyki dobrej, nie kłopotząc się zbytnio, z jakiego kraju pochodzi. Podobnie dzieje się w sferze literatury, kina i w telewizji.

Przez dziesięciolecia nasze myślenie o terytorium państwowym było zdominowane przez koncepcje „narodowego posiadania od tysiącleci”. Każdy z narodów Europy Środkowej starał się uzasadnić stan swego posiadania lub podboje przez odwołanie się do „pradawnych mieszkańców” tych terytoriów, Polacy do pra-Słowian, Niemcy do Gotów na Śląsku itp. Oczywiście idea, że współczesne narody wywodzą się bezpośrednio z pra-

dawnych ludów jest błędna. Ponadto zaś z faktu, że jakiś nasz odległy kuzyn kiedyś coś posiadał, wcale nie wynika jeszcze, że i my mamy do tego „naturalne prawo”. Do tego dołącza się skomplikowany problem mozaiki etnicznej, zamieszkiwania różnych grup obok siebie. W systemie demokratycznym, którego wszyscy byliśmy pozbawieni przez stulecia, prawa różnych grup kulturowo-etnicznych byłyby gwarantowane, my zaś przyzwyczajaliśmy się niemal, że grupa liczniejsza, albo tylko bardziej wpływowa, musi dominować. Przyzwyczajaliśmy się także do sporów o granice i wojowania o dawne rubieże. Przy granicach, które są tylko podziałem administracyjnym, nie odgrywa już jednak wielkiej roli, po której stronie ktoś mieszka, mając swobodę podróży, przenoszenia się, studiowania, kupowania czasopism i jakie woli itd. Uznanie, że polietniczność wzbogaca kulturę, nie zaś tylko osłabia państwa, jak kiedyś myśleliśmy, i uszanowanie dziedzictwa innych narodów, które w wyniku zmian granicznych znalazły się na naszym terytorium, pozwala żądać takiego poszanowania dla naszego dziedzictwa za obecnymi granicami i uznania praw naszych mniejszości etnicznych w krajach ościennych. Nowa tożsamość europejska, która się kształtuje, musi być bardziej pluralistyczna, niż dotychczas, a zarazem, co już widać w Zachodniej Europie, bardziej otwarta na kultury pozaeuropejskie. W pejzaż metropolii zachodnich wrastają nowe meczety, ich ludność robi się coraz bardziej kolorowa, a rozwój komunikacji i zacieśnienie powiązań ogólnoswiatowych czyni przeżytkiem dawne koncepcje izolacjonistyczne. Uznanie wartości człowieka w każdym z ludzi, co jest wielką zdobyczą ostatnich dziesięcioleci, może być tylko uniwersalne. Zatem i nasze nowe poczucie „europejskości” nie powinno włączać elementu poczucia wyższości, czy choćby nawet dążeń do zamykania się w naszym „europejskim domu”.

Pisząc, że „musimy” przejść tę ewolucję, zdaję sobie dobrze sprawę, że to co konieczne nie zawsze jest nieuchronne. Może się więc zdarzyć, że nie zdobędziemy się na to, że siły nacjonalistyczne, stare fobie i naiwne sentymenty będą dominować w naszym życiu społecznym i politycznym. Powinniśmy tylko z góry wiedzieć, że w takim wypadku nasze połączenie z tą „prawdziwą Europą” po prostu nie dokona się, że pozostaniemy w zacofanym zaścianku, ostrząc szable na sąsiadów i wyniszczając się wzajemnie. Główny ciężar zapobieżenia takiemu biegowi wypadków spoczywa, rzecz jasna, na elitach intelektualnych i politycznych, one to mogą narzucić wyobraźni zbiorowej nowe ideały, wylansować nowy sposób myślenia, ich porażka byłaby klęską nas wszystkich. Jest to, co zrozumiałe, zadanie nie tylko dla elity polskiej, ale i dla elit naszych bliższych i dalszych sąsiadów. Realna współpraca, codzienne kontakty i wzajemne

interesy musiałyby łączyć się ze wspólnym debatowaniem, inicjatywami politycznymi i kulturalnymi. Wbrew pozorom nie jest to zadanie, które można odłożyć na jutro, kiedy uporamy się już z tymi najpilniejszymi, nie jest to luksus, ale konieczność. Gdy raz wkroczymy na drogę swarów, zawrócić z niej będzie trudno, a konflikty etniczne, realne bądź iluzoryczne, jak fobie antyzydowskie w Polsce, w której niemal nie ma Żydów, czy animozje polsko-ukraińskie, są przecież faktem realnym.

Dostrzegając niebezpieczeństwo „bałkanizacji”, ludzie dobrej woli na Zachodzie i instytucje mogą mnożyć okazje kontaktów i spotkań, stymulować dyskusje o naszym wspólnym europejskim dziedzictwie i naszej przyszłości. Są one wręcz niezbędne także dla zachodniej części naszego kontynentu; ona także musi przezwyciężyć dziedzictwo ignorancji i stereotypów wywodzących się z epoki „zimnej wojny”. Jest jednak ważne, aby intelektualności z Europy Środkowej aktywnie uczestniczyli w procesie formowania tej nowej tożsamości europejskiej i potrafili włączyć do niej ludność naszego regionu. A stawić będą musieli czoła wszystkiemu niemal: tradycji dawnej i nowszej, realiom biurokratyczno-społecznym, ruchom nacjonalistycznym, manipulacjom przegranych elit władzy. Czy poradzimy sobie? Jestem raczej sceptykiem, ale to nie znaczy, że nie mamy próbować. Tym bardziej, że ułatwiają to z pewnością rozmaite poczynania już w toku realizacji.

Od początku swego pontyfikatu Jan Paweł II upowszechnia nowe podejście ekumeniczne i lansuje ideę wspólnych chrześcijańskich korzeni kultury europejskiej. Doprowadziło to już do znacznego złagodzenia napięć między różnymi Kościołami i pogłębia wzajemne zrozumienie różnych wspólnot religijnych. Rada Europejska, będąca poprzednio ciałem nieco dekoracyjnym, wraz z rozszerzeniem swego składu o kraje środkoeuropejskie staje się nowym wspólnym forum politycznym. Są też i inicjatywy regionalne. Niedawna propozycja prezydenta Havla, aby zacieśnić współpracę gospodarczą między Czechosłowacją, Polską i Węgrami, wcześniej już dyskutowana w obu krajach ościennych, jest z pewnością przedsięwzięciem ważnym. Z inicjatywy włoskiego ministra spraw zagranicznych, De Michelisa, zapoczątkowano także współpracę między byłymi częściami imperium Habsburgów: Włochami, Austrią, Węgrami i Jugosławią, do czego ostatnio dołączyła się Czechosłowacja. W gruncie rzeczy w pewnych wypadkach dotyczy to raczej regionów niż całych państw: we Włoszech przede wszystkim Veneto i Lombardii, w Jugosławii — Słowenii i Krocacji, gdzie zaangażowanie jest największe. Inicjatywy te mogą sprzyjać procesom integracyjnym i zapobiegać „bałkanizacji” regionu Europy Środkowej i Bałkanów, tworząc nowe centra współpracy. Organizowane są niemal

nieustannie rozmaitego typu spotkania i konferencje przedstawicieli Wschodniej i Zachodniej Europy poświęcone sprawom politycznym, strategicznym bądź gospodarczym (w czym najbardziej aktywni wydają się zachodni socjaliści, których znaczenia i roli zbyt często nie docenia się w Polsce). Warto chyba jednak pomyśleć także o nowych inicjatywach kulturalnych, zaczynając od problemu podręczników szkolnych i wychowania historycznego. Polska ma już w tej dziedzinie pewne doświadczenia i nasi intelektualiści mogliby w takim przedsięwzięciu odegrać rolę znaczącą. Na spotkaniach takich można by omawiać także inne konkretne przedsięwzięcia, jak też procesy historyczne formowania kultury europejskiej. Z czasem można by nawet pomyśleć o specjalnych programach telewizyjnych, by rezultaty wspólnych dyskusji intelektualistów docierać mogły do szerszej publiczności.

Krzysztof GAWLIKOWSKI

Neapol, 15 lutego 1990

P.S. Sprawę praktycznej realizacji tego przedsięwzięcia omawiałem już z Jiri Pelikanem i François Fejtö, którzy gorąco je poparli, a także z niektórymi przyjaciółmi włoskimi i francuskimi. Życzliwie zainteresowali się sprawą Andrzej Wielowieyski, Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, a także Polacy z kręgów katolickich zamieszkali w Rzymie, jak również Węgrzy, z którymi się kontaktowałem. Zamierzamy wystosować pismo do Rady Europejskiej, która wydaje się najwłaściwszym sponsorem, prosząc o patronat. Koordynację całego programu chcemy powierzyć Towarzystwu Europejskiej Wspólnoty Kulturowej, które ma swoją siedzibę w Paryżu.

Periodyczne sympozja, poczynając od sprawy podręczników szkolnych, odbywałyby się, rzecz jasna, w różnych stolicach Europy. Choć upłynęło zaledwie kilka tygodni od napisania tego artykułu do *Kultury* i rozpoczęcia rozmów na temat projektu, zarysował się już sposób jego realizacji i jest jasne, że może on liczyć na szerokie poparcie.

Niezależnie od wielkiej maszyny międzynarodowej, którą próbujemy uruchomić, można by oczywiście inicjować i mniejsze dyskusje na temat naszej Europejskiej Wspólnoty, z tego punktu widzenia analizując naszą przyszłość i przeszłość, do czego namawiam tych, którzy mogliby je organizować.

Neapol, 7.3.1990

Dziennik pisany nocą

Neapol, 1 lutego 1989

Od pewnego czasu wprawiają mnie codziennie w trochę lepszy humor gazetowe i telewizyjne doniesienia o zacieklej batalii we włoskiej partii komunistycznej: zmienić nazwę, czy zachować wierność dotychczasowej? Dwie trzecie (z generalnym sekretarzem na czele) opowiadają się za zmianą, jedna trzecia broni starego sztandaru. Czyż nie jest zabawny ten włoski spór nad grobem komunizmu dla kogoś, kto jak ja oglądał przez lata (i niekiedy odczuwał na własnej skórze) chępliwość, pewność siebie włoskich komunistów, święcie przekonanych, że wciąż maszerują w „awangardzie Historii”, chociaż wyczerpał się już (zdaniem Berlinguera) pierwotny impuls Rewolucji Październikowej?

Jestem w tym sporze po stronie zwolenników starej nazwy. Z jednego głównie powodu: dostaję gęziej skórki na myśl o alternatywie, skoro reformatorska większość chce się naturalnie przedzierzgnąć w „socjaldemokratów”, niepomna że nazywała ich kiedyś, popluwając gęsto, „socjalzdrajcami”. Dajmy jednak spokój włoskim igraszkom politycznym, w których istota rzeczy sprowadza się do jednego pytania, czy komuniści przemalowani na „socjaldemokratów” zdołają zahamować w partii rosnący krwotok odpływu członków, a wśród wyborców stworzyć liczącą się konkurencję dla socjalistów i tradycyjnych socjaldemokratów.

Bez porównania poważniej przedstawiają się sprawy w dawnych „demoludach”, gdzie krach komunizmu też skłania (albo już skłonił) posiadaczy drogocennych kiedyś legitymacji partyjnych do ukorzenia się przed świętą dziś krową „socjaldemokracji”. W każdym z nich bieg wypadków ma swoje specyficzne odcienie. W Rumunii i Bułgarii, u dawnych komunistów znowu przy ołtarzu władzy, wyczuwa się hołdowanie sycylijskiej zasa-

dzie księcia Lampedusy „trzeba wszystko zmienić, żeby wszystko zostało po staremu”. Na Węgrzech b. komuniści zagrali dość inteligentnie i stosunkowo przyzwoicie, ale manewr raczej się nie udał, a zatem wiedzą już chyba, że powoli trzeba będzie zmienić wszystko (jeśli nie nastąpi gwałtowny zwrot w ZSSR). W Czechosłowacji wybrał Havela jednogłośnie ten sam parlament, który kilka miesięcy temu był w stu procentach przeświadczony, że miejsce Havela jest albo w więzieniu albo na wygnaniu; znaczy to „chwilowo inaczej nie można, zobaczymy co będzie dalej”. W NRD rolę pierwszorzędną odgrywa perspektywa zjednoczenia, z socjaldemokratami w RFN gotowymi do piersi przycisnąć swych cudownie nawróconych braci na Wschodzie.

A w Polsce? Jestem zdania, że „Socjaldemokracja R.P.” powinna zostać skazana na dożywocie w opozycji, jak byłem zdania, że z winy „Solidarności” popełniono ciężki błąd w wyborach prezydenckich, przekreślając i nawet nobilitując zbrodnię „stanu wojennego”. Gdyby socjaldemokraci z „Solidarności” wyciągnęli któregoś dnia rękę do „Socjaldemokracji R.P.”, byłby to koniec wszelkiej autentycznej i wiarygodnej lewicy w Polsce. Ocalałoby wyłącznie małe muzeum PPS pod nadzorem szlachetnego kustosa Jana Józefa Lipskiego.

2 lutego

Dubczek: personifikacja Praskiej Wiosny, Nowego Kursu, Socjalizmu z Ludzką Twarzą, pokornie uśmiechnięty, jakby przeproszał że narobił tyle zamieszania, domagający się rok temu w rozmowie z wysłannikiem *Unità* „przywrócenia honoru politycznego”, napięty i przestraszony podczas nadawania mu doktoratu honorowego w Bolonii, nareszcie uspokojony i zadowolony z siebie w roli przewodniczącego parlamentu i laureata nagrody im. Sacharowa w Strasburgu. Co tu ukrywać: nie lubię tego komunistycznego męczennika, który w Czarnej nad Cisą zapewniał Breżniewa, że „w każdym razie my, drogi towarzyszu, do żołnierzy Czerwonej Armii strzelać nie będziemy” (co w umyśle Breżniewa zapaliło zielone światło: „można wkraczać”), potem podpisał w Moskwie dyktat (nie podpisał go Kriegel) i wreszcie po powrocie z Moskwy do Pragi zgodził się ambasadorować w Ankarze, skąd go po krótkim czasie, jak wyciśniętą do ostatniej kropli cytrynę, wykopano do rodzimej Bratysławy, na zieloną trawkę politycznego niebytu. Odezwiała się w tej zgodzie na ambasadorowanie w Ankarze dusza wykształconego w Moskwie aparatczyka, Saszy (jak go nazywali sowieccy towarzysze), który chce za wszelką cenę pozostać w grze, bo — kto

wie? — ambasada może się okazać ważną „odskocznia”. Nie wydusił z siebie w tej Ankarze ani słowa, milczał potem w Bratysławie. Cierpliwie, w przeciwieństwie do Smrkowskiego, czekał. No i doczekał się. Ale nie sędzę, by był dla swoich (młodych szczególnie) rodaków tym, czym jest Havel, czym byliby — gdyby dożyli tej chwili — Kriegel i Smrkowsky.

4 lutego

Ponieważ tegoroczna zima w Neapolu jest właściwie wczesną wiosną, zalecono mi na wychodnym ze szpitala po listopadowym zawale możliwe częste spacery poranne. Trasę wybrałem sobie sam, lekarz postawił jeden tylko warunek: by była płaska, wolna od wspięć pod górę. Idealne wydało mi się (i lekarzowi też) zejście przez ogród miejski nad morze, po czym długi marsz bulwarem nadmorskim do małego portu rybackiego Mergellina, i stamtąd powrót do domu autobusem (pod górę).

Tak oto mogłem się raz jeszcze przekonać, ale tym razem w sposób bardziej dobitny, o słuszności słów Camusa, że krajobraz ma właściwości lecznicze. Czego natomiast nie wiedziałem, i czego może nie wiedział Camus, to że prawdziwa choroba (a nie tylko „choroba duszy”) zaostrza wrażliwość na krajobraz, jak gdyby przeciera oczy, oczyszcza wzrok. Przecież znam tę trasę świetnie, zawsze w wolnych chwilach i przy pogodzie należała do moich ulubionych spacerów neapolitańskich. A jednak teraz oglądam trochę inaczej morze o zmienionych wciąż odcieniach, których nie uchwyci żaden pędzel malarza, las masztów w porcie, rybaków obok swych łodzi, sieci suszące się na skałach, platformę skalną pokrytą mewami jak lep na muchy, kaplicę świętego patrona rybaków, śliczny kościółek rybacki, pary całujące się wśród nadmorskich głazów. To jest zakątek uratowany cudem z ogólnej i niepowstrzymanej degradacji miasta, pogodny, uśmiechnięty, zachęcający do życia. Właśnie. Patrząc na ten krajobraz, zatrzymuję się i długo sterczę przy niskim murze promenady, z uczuciem radości, lecz także (co pewnie wpływa na nową jakość spojrzenia w moich zdrowotnych spacerach) z uczuciem smutku. Melancholijne piękno świata, który miał się już dla mnie zamknąć, i naraz odsonił się jeszcze przemity, nasycony światłem porannym, jak bywa niekiedy w krótkim lecz znaczącym śnie przed przebudzeniem.

9 lutego

Z ogromnym, spowodowanym chorobą opóźnieniem dowiaduję się z przeglądu prasy w *Tygodniku Powszechnym*, że w

ósmą rocznicę ogłoszenia stanu wojennego *Polityka* rozpięła ankietę „Czy stan wojenny był nieuchronny?”. *Tygodnik Powszechny* informuje: „Prawie wszyscy uczestnicy ankiety na pytanie, czy stan wojenny był nieunikniony, odpowiedzieli (mniej lub bardziej wyraźnie), że tak”. Jerzy Holzer uzasadnił dość pokrętnie swoją odpowiedź: „Polska grudnia 1981 stawała przed wyborami na swą miarę — kraju ani demokratycznego, ani niepodległego. Takim był ów wybór 12 grudnia — konieczny tyleż samo, ile konieczną była miara”. W przekładzie na nieco prostszy język brzmiałoby to tak: „Przywódcy kraju niedemokratycznego i podległego wykonali po prostu rozkaz swych imperialnych przełożonych”. Albo: „Wasal musiał się ugiąć przed hegemonem”. Być może. Powstaje jednak pytanie, czy po radykalnej zmianie owej „miary” główny wykonawca rozkazu powinien był zasiąść w prezydenckim fotelu R.P. Tego pytania woli sobie nie zadawać uczestnicy ankiety rozpisanej przez *Politykę*. Dlaczego? Bo ósmą rocznicę zbrodni (a za zbrodnię uważam ogłoszenie stanu wojennego, zgodny w tym ze znakomitą większością obywateli dawnej PRL) obchodzono uroczystie, z fasonem i fajerem. W *Gazecie Wyborczej* i w *Tygodniku Powszechnym* ukazały się obszernie rozmowy z Jaruzelskim i z Kiszczakiem — obie wykrętne, wymijające, puste, zakłamane; nie do wiary prawie, że tego rodzaju rozmowę zgodził się przeprowadzić i podpisać swoim nazwiskiem (które coś w końcu znaczy) Adam Michnik. Jakkolwiek nie wolno zapominać, że ostatnio Michnik (co przy byle okazji podkreśla z uznaniem prasa zachodnia) „zmienił zdanie o Generale”.

Tygodnik Powszechny przytacza za *Gazetą Wyborczą* fragment wypowiedzi pułkownika Kuklińskiego: „Bezważliwość i nieustępliwość Rosjan, którzy w rozmowach z gen. Jaruzelskim nie chcieli w ogóle dyskutować ewentualnego wyłączenia z sił interwencyjnych (Układu Warszawskiego) Narodowej Armii Ludowej NRD, a nawet kwestionowali jakąkolwiek możliwość udziału Wojska Polskiego w akcjach militarnych, obezwładniła ówczesne kierownictwo MON. Gen. Jaruzelski był w stanie szoku”.

Warto przyjrzeć się bardzo dokładnie temu fragmentowi. Trzeba uznać Rosjan nie tylko za brutalnych agresorów, ale za idiotów, żeby taką pogroźkę wziąć na serio. Bo tylko idioci mogliby oczekiwać, że Wojsko Polskie, niezależnie od postawy swych najwyższych dowódców, będzie się biernie przyglądać interwencji zbrojnej NRD. Jaruzelski, któremu nie można odmówić pewnej inteligencji, musiał więc rozumieć, że Rosjanie uprawiają szantaż z wielką domieszką bluffu. Może kiedyś tajne archiwa otworzą się na tyle, aby pokazać, że interwencja sowiecka w PRL nie wchodziła w roku 1981 w grę, a Rosjanie puścili

po prostu w ruch mechanizm nacisków i akcji pozorowanych dla osiągnięcia jedyne go celu: zmuszenia komunistów polskich z Jaruzelskim na czele do zlikwidowania „Solidarności” własnymi rękami, bez niczyjej bratniej pomocy. To właśnie zrozumiał Jaruzelski, dlatego był w stanie szoku. Czemu nie zdobył się na odmowę, czemu wykonał posłusznie rozkaz hegemonu, jest tu i teraz sprawą mniej istotną, zajmą się nią kiedyś historycy. Mnie chodzi tylko o stwierdzenie, że powtarzana często (przez polskich architektów stanu wojennego) formuła „Generał uratował Polskę przed interwencją sowiecką” jest zwykłym mitem.

Ze jest to formuła PZPR-owi (dziś byłemu) i osobicie Generałowi bardzo potrzebna, nie trzeba długo tłumaczyć. Wystarczy jedynie dorzucić jej nowy, kolejny człon z rozmowy z Kiszczakiem w *Tygodniku Powszechnym*. Kiszczak rozwija swą „filozofię polityczną”. I konkluduje: „Ten szkic filozofii politycznej, którą kierowali się i kierują do dziś niektórzy reprezentanci ówczesnej ekipy kierowniczej, zachował swą aktualność i chyba potwierdził swą trafność, materializując się przy Okrągłym Stole”.

W ósmą rocznicę wybija się zatem medal pamiątkowy. Na jednej jego stronie: Stan Wojenny. Na odwrotnej: Okrągły Stół. Zapewne, medal szalenie wygodny dla jego komunistycznych (czy ex) projektodawców. Ale dla opozycji, która dziś rządzi? Na podstawie bałamuctwa zawartego w tym medalu wybrano prezydentem R.P. człowieka, który w grudniu 1981 wypowiedział wojnę własnemu narodowi. Bałamuctwo zawarte w tym medalu, przeżytkane stopniowo i coraz gładziej przez wybitnych przedstawicieli wczorajszej opozycji, a dzisiejszego establishmentu rządowego, spowoduje podskórny wzrost nieufności społeczeństwa do swojego naturalnego kierownictwa politycznego.

11 lutego

W książce *Rembrandt's Enterprise* amerykańska historyczka sztuki (skoncentrowana głównie na malarstwie holenderskim) Svetlana Alpers odkrywa „model teatralny” w malarstwie Rembrandta oraz jego uczniów i pomocników. Pracownia Rembrandta była czymś w rodzaju instytutu badań ekspresji scenicznej. Van Hoogstraten, uczeń Rembrandta i znany potem malarz, napisał traktat o malarstwie na podstawie swoich doświadczeń w pracowni Mistrza. Punktem centralnym było w nim lustro. Kto chce nauczyć się przedstawiania ludzkich namiętności pędzlem, nie powinien rozstawać się z lustrem, aby „być równocześnie aktorem i widzem”. Pracownia Rembrandta zmieniała się chwilami w teatr, z improwizowanymi na gorąco

kwestiami aktorskimi. Svetlana Alpers twierdzi, że od zarania swej kariery malarskiej Rembrandt był świadomy fałszu tkwiącego w ludzkich gestach; a raczej był zainteresowany fałszywą teatralnością gestów, a nie ich fałszem *tout court*.

Nie chcę wdawać się w meritum odkrycia amerykańskiej znawczynie malarzy holenderskich, uważam je zresztą za odkrycie niezbyt oryginalne. Łatwo je sprowadzić do banału: Rembrandt wiedział oczywiście, że ludzie grają w życiu role i przyklejają sobie często maski lub miny, stosownie do tych ról. Do rzadkości należą gesty (i twarze) „czyste”, „prawdziwe”, całkowicie wyzute z fałszu. Nie jest rewelacją, że Rembrandt, malując swoje liczne autoportrety przed lustrem, usiłował nadawać swojej twarzy i swoim gestom zaplanowany po aktorsku wyraz. Rewelacją, której zdaje się nie dostrzegać przejęta swoim odkryciem Svetlana Alpers, jest nieustanna porażka tej „teatralności”. Błogosławiona porażka! Rembrandt przedziera się do prawdy o sobie poprzez wszystkie zamierzone i fałszywe udrapowania. „Autoportret z laską”, „Autoportret ze splecionymi dłońmi”, „Autoportret z Saskią”, „Autoportret z paletą i pędzlami” — mało jest malarzy zdolnych tak wspaniale, tak głęboko i uczciwie zobaczyć siebie po zdarciu przesłony „odgrywanej roli”. Aktor odpada gdzieś po drodze, zostaje tylko beznamiętny, przenikliwy i niekiedy bezlitosny widz.

14 lutego

Pierwszy list Jerzego Stempowskiego do mnie — nazajutrz po wojnie, przed naszym pierwszym spotkaniem w Lozannie — krążył wokół zdania: „Musimy (tzn. my pisarze) patrzeć w przepaść pod naszymi stopami”. Stempowski zdawał się wtedy echem, albo może nawet antycypacją, nadchodzącej w Paryżu mody na „czarnowidztwo”. Ochłonął z tego szybko, wkrótce potem polemizował (na ogół niesprawiedliwie) z „klimatem literatury”, który według niego odbiegał w sposób jaskrawy i często manieryczny od „klimatu życia”. „Klimat literatury” określał jako efekt chronicznej niestrawności i uporczywego wpatrywania się we własny pępek. Od przepaści przeszliśmy więc do pępka.

„Czarnowidztwo” jest swego rodzaju orientacją (żeby nie powiedzieć „filozofią”) pisarską, bogatą zarówno w wybitnych przedstawicieli, jak w drugorzędnych imitatorów, strojących modne miny apokaliptyczne. Nie będę tu wymieniał wielu nazwisk, bo zmierzam prosto do Mistrza gatunku, któremu przeciwstawię dla ilustracji tylko jednego pisarza.

Mistrzem gatunku jest naturalnie pisarz rumuński E.M. Cioran, wynoszony pod niebiosa przez znawców przedmiotu za

piękno i elegancję swojej francuszczyzny. Odczytując na nowo jego *Ecartèlement*, wielką paradę pod znakiem *delectatio morosa*, czułem się zgodnie z intencjami autora „ćwiartowany”. Parę próbek aforystycznych: „Człowiek jest *nie do przyjęcia*” (podkr. Ciorana). „Cały ranek powtarzałem: człowiek jest przepaścią, człowiek jest przepaścią, niestety nie udało mi się znaleźć nic lepszego”. „Śmierć jest stanem doskonałym, jedynym w zasięgu urodziwszy się przed nastaniem Wiedzy (domyślne: medycznej), dostąpili przywileju skonania podczas swojej pierwszej choroby”. „Po wielu zwycięstwach i osiągnięciach człowiek zaczyna wychodzić z mody. Zasluguje jeszcze na zainteresowanie tylko o tyle, o ile jest ścigany, przypierany do muru, o ile pogrąża się coraz głębiej w otchłani. Jeśli trwa, to dlatego, że nie ma sił skapitulować, że rozwinął się w nim swoisty automatyzm zmierzchu”. „Zważywszy że katastrofa jest jedynym rozwiązaniem, a post-historia jedynym wyjściem, jedyną możliwością — wolno zadać sobie pytanie, czy ludzkość nie powinna zniknąć już teraz, zamiast kontynuować oklapnięte oczekiwanie, narażając się na erę agonii, w której ryzykowałaby utratę wszelkich ambicji, nawet ambicji zniknięcia”. Mottem do książki Ciorana jest zdanie Cyrila Connolly: „Godzina zamknięcia wybiła w ogrodach Zachodu”.

Mistrz zakonu „czarnowidzów” ceni wyłącznie epoki, w których uprawiano „interpelacje metafizyczne”. Znaczy to, że w naszej epoce przestało się je uprawiać. Nonsens, który nie zasługuje nawet na odpowiedź. Uprawia je każdy człowiek zatopiony w modlitwie. Uprawia je każdy człowiek zmuszony do zupełnej samotności. Czym jest według Ciorana nasz świat? Pustynią (zaryzykuję i ja aforyzm), która daje człowiekowi jedyną rzecz, na jaką zasługuje: długi cień. Jak „ćwiartować” cień, nie ocierając się o szaleństwo?

„Czarnowidztwo” Ciorana powstaje z nadmiaru nienawiści. Istnieje inne „czarnowidztwo”: jego źródłem jest nadmiar miłości. Był mu do śmierci wierny pisarz sycylijski Leonardo Sciascia, autor książeczki *Nero su nero*. Sporo „czarnego na czarnym” także w moim *Dzienniku pisanym nocą*, z podobnego (mam nadzieję) źródła.

15 lutego

Znajduję w *Wielkim bankructwie* Zbigniewa Brzezińskiego następującą uwagę: „Odnosiło się wrażenie, że na początku wzorem dla Związku Sowieckiego były Niemcy Wschodnie z ich wydajnym, zdyscyplinowanym i technicznie zaawansowanym

systemem komunistycznym. Wkrótce jednak, niewątpliwie ku swemu wielkiemu żalowi, Gorbaczow zorientował się, że Rosjanie to nie Prusacy i że jego wizja Związku Sowieckiego jako Niemiec Wschodnich, tylko na większą skalę, nie miała się ziścić". Pisane to było w roku 1986, można zatem Brzezińskiego usprawiedliwiać, jakkolwiek trudno odpędzić rozbawiony uśmiech na widok harców politologii w ogóle, a sowietologii w szczególności. Ziściła się, ziściła wizja Gorbaczowa, nie ma już powodu do wielkiego żalu, Rosjanie coraz wyraźniej doganiają Prusaków w... rozpadzie. Komunizm w najwyższym stadium przedpogrzebowym (a przeżywamy je właśnie) staje się próchnicą, Niemcy za panowania Honeckera tym głównie różniły się od innych krajów pod kuratelą sowiecką, że nie widać było pracy korników i termitów, że wszystko wydawało się takie sprawne i „pruskie”, aby za pierwszym silniejszym pchnięciem po prostu się rozsypać. Niech uczeni w politologiczno-sowietologicznym piśmie nie ufają zaudytom i kolumnom ludzkim, maszerującym we wzorowym oryndku pod sztandarami i portretami wodzów. Gorbaczowowi musi obecnie dawać wiele do myślenia stopniowe „ziszczanie się” zdekomponowanej błyskawicznie „wizji pruskiej” w ZSSR.

Ważne jest jedno i Brzeziński słusznie o tym w swojej książce wspomina, cytując bystrego markiza De Custine: „Gdy zakneblowany naród rosyjski odzyska wreszcie wolność słowa, usłyszymy tyle sporów, iż zdumionemu światu wyda się, że powróciły czasy Wieży Babel”. Skądże Wieża Babel, około trzydziestu tysięcy „grup nieformalnych” w kraju, który w ciągu siedemdziesięciu lat wyhodował jakoby nowy gatunek biologiczno-polityczny: człowieka sowieckiego, *homo sovieticus*? Może warto zwracać większą uwagę na nieprzewidywalny i nieobliczalny czynnik ludzki w analizach społeczeństwa zamkniętego.

18 lutego

Znajomemu Triesteńczykowi z wizytą w Neapolu opowiedziałem dziś, jak reaguje Leonor Fini, gdy ktoś zwraca się do niej: „Pani, jako Włoszka...”. Z iskrą gniewu w oczach przeżywa: „Nie jestem Włoszką, jestem z Triestu”. Mój znajomy pokiwał solennie głową: „Ma rację, stokrotną rację, Triest to nie Włochy”.

Czym jest Triest? Kawalkiem Mitteleuropy przyczepionym do Włoch. Ilekroć rozmawiam z Leonor lub słucham jej opowiadań o triesteńskim dzieciństwie, o rodzinnych koligacjach austriacko-słoweńskich, rozumiem Kota Jeleńskiego, który „mitteleuropejskość” swej towarzyski życia uważał za istotny ele-

ment harmonii w ich związku. „W ramach światowości i kosmopolityzmu podobieństwo słuchu mentalnego, kulturalno-narodowego, obyczajowego”, dodawał śmiejąc się głośno i zaraźliwie, jak tylko on potrafił się śmiać. A Leonor potakiwała. *Sono una triestina, non un'italiana*, w jej deklaracji przynależności i tożsamości nie słyszałem nigdy jakiegokolwiek fałszywej nuty silenia się na oryginalność czy pozy.

Triesteńczykiem przede wszystkim był wielki pisarz Italo Svevo, który podobno po włosku pisał i mówił gorzej niż po niemiecku. Ale nie chodzi nawet o to. Chodzi o mitteleuropejską atmosferę jego powieści. W *Senilità*, jego arcydziele, są sceny wywołujące w mojej wyobraźni reminiscencje „domowe”. Zupełnie to samo w jedynej powieści wybitnego poety triesteńskiego Umberto Saba. Słynny Roberto Bazlen, literacki kiper nad kiperami (czytał wszystko — mówiono o nim — nawet to, co nie zostało jeszcze napisane), też Triesteńczyk, wyłożył mi kiedyś swoje przeświadczenie, że wędrownie „zakorzenienie” Joyce'a było najgłębsze w Trieście, że tam czuł się najlepiej nie tylko ze względu na stałą pensję u Berlitz. I to Joyce pozna się pierwszy na wielkości Svevo, może dzięki tej „dziwacznej” atmosferze jego powieści, niestrawnej i nieuchwytniej dla przeciętnego Włocha (dopiero potem Montale „odkrył” autora *Senilità*). Bazlen posuwał się jeszcze dalej: pracownika praskiego oddziału triesteńskich *Assicurazioni Generali*, Franza Kafkę, mianował Triesteńczykiem *honoris causa*. A w pobliskiej Gorizii urodził się Carlo Michelstaedter, genialoidalny matematyk, grekista, filozof i poeta, który w roku 1910, w wieku dwudziestu trzech lat, odebrał sobie życie. To samobójstwo „intelektualne” nie było włoskie, należało według mnie również do mitteleuropejskiego rejonu Triestu i okolic.

Byłem w Trieście tylko raz, bardzo dawno i zaledwie jeden dzień. Wystarczył mi jednak ten dzień, aby na zawsze zachować obraz, smak i zapach Triestu, miasta doprawdy nie włoskiego. Łaziłem po nim z ustawicznym uczuciem swojszczyzny. Ulice, ludzie na ulicach, kawiarnie, rozmowy podsłuchane w kawiarniach, architektura kamienic, msza w *San Giusto*, wywieszone w tanich restauracjach napisy „Dziś flaki”. Wróciłem wieczorem do Wenecji jak zza granicy.

19 lutego

Jan Kłoczowski przygotował tomik wybranych tekstów Alain Besançon *Pomieszczenie języków* (z przedmową autora do wydania polskiego), dobra okazja do spojrzenia na francuskiego eseistę dzisiaj.

Rzecz jasna, błyszczą dalej jego walory umysłu i pióra, zwłaszcza gdy pisze o Kościele (szkieletu). Natomiast postarzał się nieco świetny Besançon jako badacz i znawca komunizmu. Zawsze posądzałem go o lekkie zadęcie „ideologiczne”, czyli traktowanie z przesadną powagą filozoficzną „państwa diamentu” (cenione przez niego wyrażenie kardynała Wyszyńskiego). Jako autor książki o ekonomii realnego socjalizmu *Analiza widma*, mógłby być dokładnie ten sam tytuł nadać książce o „ideologii” realnego socjalizmu; asumpt do tego dał zresztą sam w rozmowie z Wojciechem Karpińskim, twierdząc (a propos roku 1956 na Węgrzech, 1968 w Czechosłowacji, 1980 w Polsce), że „po upływie kilku dni nie pozostaje nic z tego systemu, który wydaje się czystym zwidem, czystym opętaniem, pozbawionym realiów i konsystencji”. A jednak brał „ideologię” systemu bardzo na serio, z dramatycznym napięciem przysięgłego przeciwnika i uważnego czytelnika jego świętych ksiąg, zamiast widzieć w niej i śledzić od pewnej chwili zręczny hokus-pokus władców Kremla na użytek maluczkich idiotów w kraju i za granicą, „ideologiczny” hokus-pokus, który legitymizował rozrost mafijnego stowarzyszenia zлочыńców z własnym niepisany kodeksem postępowania. Besançon miał też skłonność do demonizowania komunizmu, zbliżony w tym do Aleksandra Zinowiewa („świat opętań demonicznych”) i do Aleksandra Wata. Przy wielkiej inteligencji obu Aleksandrów daleko z nimi nie zajdziemy w rozumieniu komunizmu (są nim zanadto w gruncie rzeczy zafascynowani, mimo że go nienawidzą).

Niewspółmierne więc wydaje się obecnie napięcie filozoficzne Besançona wobec toczących się świeżo wypadków, które wolno ująć parafrazą dwuwiersza z *Wydrążonych ludzi* Eliota (zastępując słowo „świat” słowem „komunizm”).

*I tak się właśnie kończy komunizm
Nie hukiem lecz skomleniem.*

22 lutego

Ponowna lektura (która to już?) arcydziełka Henry Jamesa *The Turn of the Screw* uprzytomniła mi rzecz ważną, która dotyczy właściwie wszystkich wielkich opowiadań. Otóż we wszystkich wielkich opowiadaniach odczuwa się wewnętrzną ekwilibrystykę pisarską, niebezpieczną dla kogoś, kto nie jest prawdziwym majstrem w sztuce krótkiej narracji. Rzecz w tym, że gra odbywa się na pograniczu banalności, o włos od wilczego dołu komunałów: potkniesz się, nie utrzymasz równowagi na linie, nie przylgniesz mocno drugą nogą do Tematu z dużej lite-

ry, a cała historia się zawali i spadnie na dno nic (albo bardzo niewiele) mówiącej przeciętności. Nie brak ostatecznie czytelników, mało wyrobionych, dla których nowela Jamesa jest po prostu opowieścią o historycznej gubernantce, nie zaś wspaniałą wizją realności i obecności Zła nawet w świecie dziecięcej niewinności. James wygrywa: i wygrywa między innymi dlatego, że (tak jak bywa w życiu) nie odwraca się od równoczesnego nurtu banalności. Ma ostrą świadomość, że oba nurty muszą istnieć obok siebie: egzaltowana, skłonna do historii gubernantka i dzieci we władzy złych duchów. Gdyby dał zdecydowaną przewagę jednemu nurtowi, opowiadanie stałoby się płaskie albo sztuczne i pretensjonalne. Tytułowy „obrót śruby” oznacza tak dokładne „wyregulowanie” wzajemnej zależności motywów „nadprzyrodzonych” i banalnych, że nie można już śruby ruszyć o milimetr ani w jedną ani w drugą stronę. Jest podobnie albo nawet identycznie, powtarzam, we wszystkich wielkich opowiadaniach; różnią się one od powieści czymś o wiele istotniejszym od rozmiarów — olśniewającą precyzją artystyczną. Dla mnie James, mistrzowski na ogół nowelista, był powieściopisarzem nudnym, rozwlekłym, gadatliwym.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 7504 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Górny Śląsk

CO DZIELI, A CO POWINNO ŁĄCZYĆ

W ostatnich miesiącach Górny Śląsk znalazł się na pierwszych stronach periodyków. Powodem tego odkrycia było ujawnienie się prawie trzystutysięcznej mniejszości niemieckiej, zwłaszcza w województwie opolskim. Przez dłuższy czas trwały zmagania o oficjalne uznanie organizacji mniejszościowej — sąd w Opolu w ubiegłym roku odmówił jej rejestracji, wychodząc ze starego, komunistycznego stanowiska, że zjawisko ignorowane nie istnieje. Dopiero w styczniu towarzystwo kulturalne Niemców na Górnym Śląsku zostało zarejestrowane w Gliwicach — o wiele za późno, jeśli wziąć pod uwagę, że odmowa uznania aspiracji znacznej grupy ludności zawsze prowadzi do radykalizacji jej poglądów.

Prasa z reguły podchodziła do spraw Górnego Śląska w sposób bardziej otwarty, niż czynniki oficjalne, mimo iż komuniści znajdowali się w odwrocie. Ostra idiosynkrazia narodowa nadal charakteryzuje postawę wielu Polaków — w ich świecie pojęć antyniemieckość jest jedną z naczelnych cnót, z którą konkurować może tylko antysowietyzm i antysemityzm. Megalomania narodowa i podtrzymywanie resentymentów w stosunku do innych nacji wywołują niezrozumienie w świecie zachodnim, do którego Polska chce się zbliżyć. Co gorsza, uprawiana od ponad czterdziestu lat antyniemiecka propaganda komunistyczna, która ze względu na zaszłości historyczne została przejęta przez sporą część społeczeństwa, odstręcza od polskości wielu mieszkańców Górnego Śląska, posiadających doświadczenia odmienne od reszty kraju.

Czym jest więc Górny Śląsk — prapolską ziemią, która powróciła do Macierzy, czy też niemieckim kresem wschodnim, odłączonym siłą od Rzeszy, istniejącej prawnie w swych dawnych granicach? Odpowiedź na to pytanie jest stosunkowo pro-

sta: ziemia ta w chwili obecnej wykazuje cechy charakterystyczne dla pograniczy. Jak to się jednak stało, że ów charakter przetrwał tu pomimo iż granica została przesunięta dziesiątki lat temu o setki kilometrów na Zachód?

Odpowiedzi na to pytanie mogłaby udzielić historia Górnego Śląska, gdyby taka została napisana. Niestety, cała literatura tematu ilustruje polskie lub niemieckie stanowisko narodowe, bez jakiegokolwiek próby uwzględnienia aspiracji samych zainteresowanych. Jest to zjawisko często spotykane w historiografii ziem pogranicznych, rzadko jednak przynosi ono tak opłakane skutki, jak w omawianym wypadku. Przyczyną jest ogromne nasilenie emocji, dotyczące tej ziemi, i to po obydwu stronach. Emocje te ujawniły się także w niektórych publikacjach polskich z ostatnich miesięcy, chociaż jeszcze częściej zdarzało się, że obiektywne przedstawienie tematu spotykało się z emocjonalnymi reakcjami czytelników i to o diametralnie różnym poczuciu narodowym: niemieccy Górnoszlązacy oskarżani są o materialne motywy swego akcesu do mniejszości, zaś ich polscy ziomkowie — o wszystkie błędy i przestępstwa, popełnione przez Polaków. Wbrew pozorom jednak jedni i drudzy są sobie nawzajem bliżsi pod względem kulturowym, niż wynikałoby to z ich deklaracji. Różnice, dzielące ich od Niemców względnie Polaków, są większe: po stronie niemieckiej mówił na ten temat Horst Bienek wskazując na poczucie obcości, towarzyszące niemieckiemu Górnoszlazakowi w Niemczech Zachodnich. W Polsce podobne sformułowania spotyka się co dzień, lecz nie są one aż do tego stopnia nagłaśniane, ponieważ wciąż jeszcze utrzymywany jest na siłę mit o absolutnej jedności narodu.

Mity dotyczące Górnego Śląska rozpowszechniane są zresztą zarówno w Polsce jak i w Niemczech, lecz w Polsce pod rządami komunistów osiągnęły szczyty zakłamania. Niedobrze stałoby się, gdyby w demokratycznej Rzeczypospolitej były podtrzymywane poprzez dalsze publikacje, odwołujące się do nich, lub też przez zaniechanie w zakresie obnażania ich propagandowej roli.

Do mitów takich należy w pierwszym rzędzie twierdzenie o polskiej świadomości narodowej Górnoszlazaków. Jest to teza słuszna jedynie w odniesieniu do części mieszkańców tej ziemi, zwłaszcza na terenach wschodnich, które po plebiscycie przypadły Polsce. Na obszarze zachodnim, zwłaszcza w dzisiejszym województwie opolskim, ludność określaną się mianem Polaków należała do mniejszości zarówno w okresie powstań śląskich, plebiscytu, jak i w latach hitleryzmu. Wielu ludzi zadeklarowało się po r. 1933 jako Szlązacy — byli to przeważnie ci, którzy posługiwali się na co dzień językiem polskim, zwanym przez Niemców *wasserpolsch* — rozwodnioną polszczyzną — a przez

Polaków uważanym za wstrętny, rojący się od germanizmów żargon. W czasie wojny ludzie ci służyli w armii niemieckiej i tylko niewielka ich część przeszła do armii gen. Andersa. Niektórzy na miejscu brali udział w ruchu oporu i współpracowali z polską Armią Krajową. Istniejące przykłady nie nadają się jednak do wyciągnięcia generalnych wniosków o powszechnej nieakceptacji reżymu hitlerowskiego oraz o powszechnym wyborze polskich wartości narodowych. Tak dobrze nie było, chociaż nie było na Górnym Śląsku aż tak źle, jak w głębi Rzeszy — pogranicze bowiem ze swymi złożonymi stosunkami narodowościowymi stwarzało wiele okazji do zachowań zgodnych z poczuciem człowieczeństwa, a sprzecznych z faszystowską hierarchią wartości. Nawiasem mówiąc, część publicystyki niemieckiej zainteresowana jest w kreśleniu jak najczarniejszego obrazu okresu hitlerowskiego na Górnym Śląsku, dążąc do udowodnienia, że ziemia ta została zainfekowana przez brunatną zarazę w tym samym stopniu, a może w jeszcze większym, niż pozostałe ziemie Rzeszy.

Propaganda polska twierdziła coś wręcz przeciwnego, lecz równocześnie ludność górnosłaska została po wojnie poddana ostrym represjom, niezależnie od poczucia przynależności narodowej. Żołnierze Armii Czerwonej nie pytali po wkroczeniu, czy ktoś czuje się Polakiem czy Niemcem — znaleźli się na ziemi, należącej do wroga, więc traktowali wszystkich jej mieszkańców jako hitlerowców. Podejście to znalazło wyraz w strzelaniu do ludności cywilnej, w gwałceniu kobiet i w rabunkach. Słynna sprawa Miechowic — obecnie dzielnicy Bytomia — gdzie czerwonoarmiści wystrzelali kilkuset mężczyzn w wieku od piętnastu do ponad osiemdziesięciu lat, nie jest przykładem odosobnionym. Podobne rzeczy miały miejsce niemal wszędzie. Pisał o tym m. in. Kurt Eckert, znany pod pseudonimem Janosch, w powieści „Cholonek czyli dobry Pan Bóg z gliny”. *Końcowe rozdziały, dotyczące zachowania „wyzwolicielei”, zostały w wydaniu polskim opuszczone.*

Na marginesie należy zauważyć, że w literaturze niemieckiej dwujęzyczność i dwukulturowość Górnego Śląska dochodzi na ogół do głosu — np. w powieściach wspomnianych Bienka i Eckerta, w prozie Hansa Lipinsky'ego-Gottersdorffa, w mniejszym stopniu także w książkach Hansa Schellbacha. Literatura polskojęzyczna przedstawiała z reguły miejscowych Niemców jako element bezwzględnie obcy i wrogi; skłania to do zadumy nad polskimi kompleksami.

Wróćmy jednak do pierwszego okresu powojennego. Armia Czerwona ustanowiła w miastach górnosłaskich niemiecką administrację komunistyczną, rekrutującą się z działaczy, sprowadzonych z Moskwy oraz miejscowych, którym wręczono po części

świeżo wydrukowane legitymacje partyjne. W ciągu następnych dwóch miesięcy, zanim administrację niemiecką zastąpiła polska, wśród osób wywożonych do Związku Sowieckiego znalazło się nieproporcjonalnie wielu polskich Górnosłazaków, wskazanych przez działaczy KPD jako zatwardziali hitlerowcy. Potem sytuacja odwróciła się i nowe władze polskie poddały ostrym represjom miejscowych Niemców. Akcja wysiedlenia rozpoczęła się natychmiast po wprowadzeniu administracji polskiej, a nie dopiero po sankcjonującej ją konferencji poczdamskiej. Niemców wyrzucano z mieszkań, ich dobytek był rabowany, i to nie tylko przez szabrowników, lecz w całym majestacie władzy polskiej. Do dziś przedstawiciele rządu polskiego podtrzymują tezę, jakoby wysiedlenie ludności niemieckiej odbywało się w warunkach humanitarnych. Jest to nieprawda — w czasie wysiedlenia tysiące ludzi, zwłaszcza starszych oraz dzieci, zmarło z głodu i wycieńczenia. Ograniczenie dopuszczalnego bagażu osobistego do dwudziestu kilogramów miało przy tym wszelkie cechy rabunku, a towarzyszące akcji wybryki ze strony polskich funkcjonariuszy miały charakter odwetowy. Ofiarą zemsty padała ludność cywilna, która nie miała żadnego udziału w zbrodniach reżymu hitlerowskiego, jeśli odrzucić pojęcie odpowiedzialności zbiorowej.

Równie tragiczne były przeżycia Niemców w obozach koncentracyjnych, z których najbardziej ponurą sławę zdobył obóz w Łambinowicach na Opolszczyźnie. Na terenie byłego niemieckiego obozu dla jeńców wojennych skoncentrowano ludność kilku okolicznych wiosek, łącznie z kobietami i dziećmi. Większość z nich zmarła na skutek nieludzkich warunków bądź też została wymordowana przez nadzór, składający się z polskich komunistów. Ich mocodawcy bronili ich przez dziesięciolecia — byli komendant obozu pracował później jako oficer milicji w Katowicach. Sprawa ta do dziś nie znalazła oficjalnego potwierdzenia z polskiej strony, mimo iż istnieje jej bogata dokumentacja. Gdyby dokumenty były fałszywe, należałoby tego dowieść; obrażone milczenie świadczy o prawdziwości zarzutów. Jeżeli stosunki polsko-niemieckie mają być w przyszłości lepsze niż dotychczas, to konieczne jest wyjaśnienie wszystkich zasłóści historycznych, nawet jeśli przychodzi to z trudem. Biskupi polscy w swym orędziu do biskupów niemieckich nie tylko przebaczyli, lecz także prosili o przebaczenie. To nie była tylko figura retoryczna: historia pierwszych lat powojennych zawiera momenty, za które Polacy powinni się wstydzić wobec pokonanych Niemców.

W tym miejscu raz jeszcze trzeba podkreślić, że represje dotknęły w pierwszym rządzie Niemców — tam gdzie możliwe było jednoznaczne określenie narodowości, np. na Dolnym Ślą-

sku. Na Górnym Śląsku ofiarami zemsty na równi z Niemcami stali się ludzie miejscowi o indyferentnym stosunku do sprawy narodowości, a więc także ci, którzy posługiwali się co prawda polską gwarą śląską, lecz nie określali się mianem Polaków. Do dziś w Polsce centralnej Górnoszlązacy określani są mianem Szwabów, Hanysów i Goebbelsów, a w pierwszym okresie po wojnie, kiedy panowało bezprawie, łatwo dochodziło do aktów terroru wobec nich. Równocześnie zaś na skutek braku rąk do pracy władze polskie wszczęły ogromną akcję polonizacyjną, nazwaną „repolonizacją”, a polegającą na zbiorowym przyznaniu obywatelstwa, zmianie pisowni nazwisk, zmianie imion na polskie itp. Akcja ta nie dawała najmniejszego pojęcia o rzeczywistym poczuciu przynależności narodowej ludności nawet w swej części „rehabilitacyjnej”, ponieważ ludzie zagrożeni pozbawieniem dorobku życia i wysiedleniem gotowi byli przyjąć jakiegokolwiek obywatelstwo. Można w tym miejscu zauważyć, że ich poczucie niemieckości nie było w takim razie specjalnie silne, lecz nie należy przy tym zapominać o powszechnym w narodzie niemieckim patriotyzmie lokalnym oraz o ówczesnej nadziei na powrót tych ziem w obręb państwa niemieckiego. Decydującą sprawą był jednak wspomniany już indyferentyzm narodowościowy — bardzo wielu Górnoszlazaków dalekich było zarówno od silnej identyfikacji niemieckiej, jak i polskiej. Bywali oni Niemcami lub Polakami, nie wchodząc zbyt głęboko ani w jedną ani w drugą skórę, zawsze pozostawali bowiem sobą.

Historycznie rzecz biorąc była to posługująca się językiem polskim ludność, która w wyniku wielowiekowego współżycia z Niemcami przejęła wiele wartości z jej hierarchii, a przy tym — będąc pozbawiona stałego kontaktu z państwem i narodem polskim — nie rozumiała wielu wartości swych językowych ziomeków. Ludziom tym do dziś obce są pojęcia polskiego romantyzmu, mesjanizmu, martyrologii, nie pojmują oni polskiej złotej wolności i właściwie niczego, co przez stulecia kształtowało świadomość Polaków, łącznie z kształtem polskiego katolicyzmu, mimo iż sami są w przytłaczającej większości katolikami, i mimo iż głównie dzięki Kościołowi zdołali zachować swój język i wiele staropolskich czy, jak chcą naukowcy niemieccy, słowiańskich obyczajów. Zaliczenie ich do Polaków wymagałoby jednak zdecydowanego rozszerzenia pojęcia polskości, do czego naród ciężko doświadczony przez zabory był niezupełnie zdolny przed wojną, a tym bardziej po ciężkich przeżyciach drugiej wojny światowej.

A więc postanowiono odgórnie, że Górnoszlazacy zostaną przerobieni na takich samych Polaków, jak Mało- i Wielkopolanie oraz Mazowszanie. Przymusowej polonizacji towarzyszyła hałaśliwa propaganda, głosząca tezy o odwiecznej walce Śląska o

powrót do Macierzy, co przyjmowane było z rezerwą przez wszystkich: zarówno przez miejscowych, jak i przez rdzennych Polaków. Tych „odwiecznych bojowników” traktowano jednak nieufnie i tylko nielicznym z nich udało się w Polsce Ludowej zrobić karierę — najczęściej zresztą ceną było całkowite podporządkowanie się władzy komunistycznej. Ci Górnoszlazacy, którzy awansowali, zdołali tego dokonać nie tyle jako Górnoszlazacy, co raczej jako komuniści. Obowiązkowo reprezentowali przy tym w swej oficjalnej działalności wyłącznie polskie elementy świadomości górnośląskiej, pomijając elementy niemieckie. Nie inaczej działo się w Niemczech, gdzie Ziomkostwo Górnoszlazaków, wchodzące w skład Związku Wypędzonych, usilnie udowodniało, iż Górny Śląsk zawsze był i pozostanie wyłącznie niemiecki. W Polsce tymczasem do monstrualnych rozmiarów rozdmuchano tradycje powstań śląskich, pomijając całkowicie odczucia tych, którzy z tradycją tą nie identyfikowali się. Etos walki o polskość, przewijający się przez historię Polski ostatnich dwustu lat, przesłonił fakt, iż analogiczne wydarzenia w innych krajach interpretowane są jako walki bratobójcze. Powstania śląskie były lokalną wojną domową, wspomaganą z jednej strony przez oddziały z Krakowa i ze Lwowa, a z drugiej przez oddziały głównie z Bawarii, które odznaczały się w wielu wypadkach sporym okrucieństwem.

Prawda jest taka, że na Górnym Śląsku do dziś żyją zarówno potomkowie powstańców, zabijanych przez „orgeszów”, jak i potomkowie członków niemieckiej samoobrony, zabijanych przez insurgentów. Powstania były tragedią dla tej ziemi i rację mają chyba ci, którzy sądzą, iż obchody ich rocznic powinny się raczej odbywać w Warszawie, niż na Górze Świętej Anny. Brzmi to nieprzyjemnie dla polskiego ucha, lecz trzeba się nareszcie nauczyć, że nie wszystko, co dobre dla kraju, jest dobre dla wszystkich. W powstaniach brała udział znikoma mniejszość ludności z terenów spornych, i jeśli większość ówczesnych mieszkańców, która powstań nie popierała, bądź ich potomkowie znaleźli się w wyniku drugiej wojny światowej w granicach państwa polskiego, to nie powinno się ich zmuszać do przyjmowania obcych im tradycji. Wymagałby tego szacunek dla ich godności ludzkiej oraz взгляд na to, iż byli po wojnie potrzebni polskiej gospodarce: mogliby jej służyć o wiele lepiej, gdyby zaakceptowali nową sytuację, w jakiej się znaleźli, a to z kolei byłoby możliwe tylko wówczas, gdyby sami zostali zaakceptowani takimi, jakimi byli. Niestety, ich odrębność etniczna nie została uszanowana, wręcz przeciwnie: uznano, że mają być tacy sami, jak wszyscy Polacy, że mają wyprzeć się wszelkich związków z „odwiecznym wrogiem”, który odtąd „nie będzie pluł nam w twarz”. Od samego początku rozwijano w kolosalnym

stylu błędy, popełniane wobec Górnoszlązaków przez przedwojenną administrację wojewody Grażyńskiego, i dorzucano do nich nowe, znacznie gorsze.

Mimochodem można by w tym miejscu postawić pytanie, czy pomnik Piłsudskiego koniecznie musi stanąć tam, gdzie zaplanowano go przed wojną, a mianowicie w Katowicach? Marszałek położył dla innych ziem o wiele większe zasługi, niż dla Śląska. O potraktowaniu przezeń Korfantego lepiej nie wspominać, bo Korfanty — i z tego trzeba zdać sobie sprawę — daleko nie dla wszystkich Górnoszlązaków jest bohaterem narodowym. Chociaż powinien: w późniejszym okresie postulował rozszerzenie praw dla mniejszości niemieckiej.

W ogóle problemy tej ziemi, obejmującej w zasadzie większą część Opolszczyzny, województwo katowickie bez wschodniego i północno-wschodniego kawałka oraz część bielskiego, wymagają całkowitej zmiany perspektywy historycznej i ogromnego wycucia. Tymczasem wiele gazet nadal traktuje Górnoszlązaków jako gorszych, bo mniej polskich od reszty mieszkańców kraju. To prawda, że są oni mniej polscy, jeśli za standard Polaka przyjąć wzory patriotyczne, wywodzące się z dziewiętnastego wieku. Wielu z nich w ogóle nie czuje się Polakami. Czy są jednak z tego powodu gorsi? Czy wolno w ogóle stosować kryterium narodowości jako decydujące o wartości człowieka?

Górnoszlązacy wyjeżdżali do Niemiec od czasu, gdy wiadomo było iż ofensywy Rosjan nie da się powstrzymać. Wielu próbowało pozostać za wszelką cenę w domu, lecz liczni zrezygnowali po doświadczeniach z „repolonizacją” i po terrorku lat stalinowskich. Od 1956 wyjeżdżali nagminnie, aż w ostatnich latach zjawisko to nabrało charakteru powszechnego exodusu. Niektóre wioski podopolskie i dzielnice miast okręgu przemysłowego coraz bardziej przypominają Irlandię Południową: pozostali tam już tylko prawie sami ludzie starsi; młodzież i ludzie w wieku produkcyjnym wyjechali do Niemiec. Według oficjalnej interpretacji powody masowych wyjazdów są natury czysto ekonomicznej. Czynnika tego nie można lekceważyć: występuje on także w innych regionach kraju i stanowi reakcję na postępującą pauperyzację społeczeństwa. Górnoszlązacy w przeciwieństwie do Polaków z innych ziem przyjmowani byli do niedawna w Niemczech z otwartymi ramionami. Obecnie przyjmuje się ich z coraz mniejszym entuzjazmem, do czego przyczyniła się w pierwszym rzędzie ekspansja Niemców z NRD, którzy są — chociażby z racji języka — bliżsi Niemcom Zachodnim niż „pruscy Słowianie”, jak Górnoszlązaków określił wspomniany już pisarz, Hans Lipinsky-Gottersdorff. Sprowadzanie motywacji wyjazdów jedynie do chęci polepszenia swego bytu materialnego jest jednak prymitywnym uproszczeniem. Znam osobiście ludzi, którzy dwa-

dzieścia lub piętnaście lat temu po złożeniu podania o zezwolenie na wyjazd przez całe lata musieli utrzymywać się z pracy dorywczej, ponieważ złożenie dokumentów pociągało za sobą zwolnienie z pracy. Czy można ich determinację i pogodzenie się przez długi czas z życiem w nędzy interpretować jako chęć zysku? Chyba tylko w zgodzie z dialektyką marksistowską, którą społeczeństwo polskie zostało zarażone w ostatnich dziesięciokilku lat i z którą musi się uporać, zanim będzie w stanie reagować zgodnie z normami ludzkimi.

Na razie jednak, mimo zarejestrowania towarzystwa mniejszości niemieckiej w Gliwicach oraz pomimo pewnej zmiany nastrojów, pozwalającej mieć nadzieję na uznanie aspiracji Górnoszlązaków do swej własnej kultury, równoległe dzieją się rzeczy, które odbierają optymizm w „kwestii górnośląskiej”. Ani związki tej ziemi i jej mieszkańców z Niemcami, ani z Polską nie są w izolacji decydujące dla ich charakteru etnicznego. Górny Śląsk bez elementów niemieckich jest niekompletny, tak samo jak niekompletny jest w wyobrażeniach ziomków zrzeszonych w Niemczech, w których nie ma miejsca na pierwiastki polskie. Jedna i druga strona nadal mylą się straszliwie, sądząc iż zdołają przeprowadzić dowód czystości narodowej tego regionu. Nie uda się to, ponieważ Górny Śląsk stał się spłotem niemal nie do rozwikłania, stał się na skutek wydarzeń historycznych ostatniego stulecia węzłem gordyjskim — klasyczne rozwiązanie mieczem nie wchodzi w rachubę. Trzeba więc znaleźć inne wyjście, aby ten region przekształcić z kości niezgody w łącznik pomiędzy narodem polskim i niemieckim. Oprócz tego, co dzieli — a jest tego sporo, od *Kulturkampf*u poczynając poprzez powstania, drugą wojnę, wysiedlenia, a na inercji propagandowej kończąc: chodzi mi o propagandę, która nadal postuluje się stereotypami wroga, bo jest to wygodne i nie wymaga myślenia — istnieje wiele rzeczy, które łączą, chociażby wielowiekowe współistnienie na tej ziemi obydwu kultur, przy czym żadna z nich w końcu nie zaginęła, chociażby ów stop elementów polskich i niemieckich w mentalności ludzi miejscowych oraz dzieje jedynej w swoim rodzaju symbiozy narodowej.

Obawy, że kultura polska zostanie połknięta przez niemiecką, strach przed Wielkimi Niemcami po zjednoczeniu obydwu państw niemieckich, nie są zupełnie bezpodstawne, biorąc pod uwagę zwłaszcza nastroje „republikańskie” w części społeczeństwa zachodniemieckiego oraz reanimację zamrożonych przez komunizm tendencji faszystowskich w NRD. Polska z pewnością nie może sobie pozwolić na to, by być słabą wobec silnych sąsiadów. Nietolerancja w stosunku do części własnych obywateli świadczy jednak o słabości, a nieumiejętność wykorzystania wspólnych wartości jest wręcz błędem historycznym. Na

razie między Kluczborkiem a Raciborzem, Opolem a Mysłowicami mamy do czynienia z ludźmi, którzy deklarują że są Niemcami. Wielu z nich nie zna języka niemieckiego i nie ma pojęcia o kulturze niemieckiej. Ludzie ci jednak przechowali wspomnienia czasów, które także nie były łatwe, ponieważ Górnolązacy byli wykorzystywani przez obie strony, lecz w pamięci zbiorowej nastąpiła sublimacja, a obiektywnie rzecz widząc, *Kulturkampf* Bismarcka był niczym wobec akcji polonizacyjnej. Większość tych ludzi nie zamierza wyjeżdżać — chcą pozostać u siebie. Należy stworzyć im warunki do pielęgnowania ich własnych tradycji, bo tylko w ten sposób można zapewnić sobie ich lojalność wobec państwa polskiego. Więcej nie można oczekiwać — próby wtopienia ich w obowiązujący model jednorodnej polskości skazane są z góry na niepowodzenie i mogą wyrządzić tylko dalsze szkody.

Prawdziwą szansą na odegranie przez Górny Śląsk roli integracyjnej w jednoczącej się Europie jest uznanie przez Polaków, ale także przez Niemców, że mieszkańcy tej ziemi nie są ani stuprocentowymi Polakami, ani Niemcami, chociaż posiadają cechy, łączące ich zarówno z jednym, jak i z drugim narodem. Górny Śląsk powinien stać się polskim oknem na Europę Zachodnią, ponieważ jego związki z tą częścią kontynentu są najsilniejsze, jakie może sobie wyobrazić — rodzinne. Integracja zaś może zostać zadekretowana przez rządy, lecz pozostaje papierem, dopóki nie zostanie osiągnięta przez ludzi w wymiarze prywatnym. Na Górnym Śląsku wymiar ten posiadała zawsze.

Zmiana myślenia na te tematy nie będzie z pewnością łatwa. Zarówno Polacy jak i Niemcy sprawiają wrażenie, że nie są gotowi do odrzucenia sprzecznych ze sobą stereotypów, dotyczących tej ziemi. W postawie tej utwierdzają ich ci miejscowi, którzy deklarują się jednoznacznie po którejś ze stron. Warto tu zaznaczyć, że wpisywanie się na listy mniejszości niemieckiej nie przesądza o faktycznym poczuciu przynależności narodowej. Jest w tym akcie wiele z protestu wobec ubezwłasnowolnienia, co potwierdził nawet jeden z przywódców mniejszości, mówiąc, że do mniejszości zapisuje się sporo osób, które niegdyś same walczyły o polskość Górnego Śląska bądź pochodzą z rodzin o takich tradycjach. Dla „polskich Górnolązaków” z kolei rezygnacja z oficjalnie hołubionych nawet przez komunistów tradycji walki o polskość jest na razie niewyobrażalna. W Niemczech zaś jako bardzo wygodny traktowany jest fakt, iż „wysiedleńcy” górnolązacy, zniechęceni przez władze polskie do wygłaszania swych prawdziwych aspiracji, nie domagają się uznania swej odrębności etnicznej, chociaż o ich prawdziwym nastawieniu świadczy trzymanie się z daleka od ziomkostwa, a przynajmniej od jego nurtu politycznego, wyrażanego obecnie przez

młode pokolenie zawodowych rewanżystów, którzy ze Śląskiem i w ogóle z utraconym Wschodem Niemieckim nie mają nic wspólnego, oprócz własnej kariery.

Widzę tu ogromne pole działania dla niemieckich partii demokratycznych. Niemiecka mniejszość na Śląsku, pozostawiona sama sobie, wpadnie w sidła zawodowych wypędzonych i innych sił skrajnej prawicy, co stworzy zagrożenie dla sprawy jedności niemieckiej i zakłóci proces jednoczenia się Europy, podsycając źródło napięć w stosunkach polsko-niemieckich na Górnym Śląsku. Strona zachodniemiecka powinna dążyć do uruchomienia Instytutu Goethego i konsulatu w Katowicach, zdając sobie równocześnie sprawę z tego, iż wśród trzystutysięcznej mniejszości jest wielu takich, którzy deklarują się jako Niemcy, ponieważ nie zostali w Polsce uznani za Ślązaków.

A w Polsce? Czas przyciąć do wiadomości, że trzystutysięczna mniejszość w prawie czterdziestomilionowym narodzie nie stanowi żadnego zagrożenia. Historyczne resentymenty nie są dobrym doradcą. Akceptujmy więc każdego takim, jaki jest, i skończmy z przerabianiem wszystkich na takich, jakimi chcielibyśmy, by byli — na obraz i podobieństwo swoje. W przeciwnym razie postępować będzie zauważalny już dziś proces polaryzacji narodowej na Górnym Śląsku i prawdziwe kłopoty dopiero się zaczną. Utrzymywany w mocy system mitów i stereotypów powoduje, iż ci mieszkańcy tego regionu, którym tradycje polskie są obce, musieliby codziennie pluć do lustra: za to, że nie walczyli o polskość, że byli w Wehrmachcie albo w HJ, że nie zadeklarowali się jako Polacy w czasach hitlerowskich i nie dali się tym samym wywieźć do Oświęcimia, i że nie potrafią nienawidzić Niemców. Podobnie zresztą w Polsce muszą czuć się wszyscy ci, którzy odbiegają od wąskich norm — przedstawiciele innych mniejszości, innowiercy, garbaci i cykliści. Jeśli Polska naprawdę chce się znaleźć w Europie, musi nauczyć się tolerancji.

Od pewnego czasu ponownie staje się widoczna granica na Czarnawce — owa granica z roku trzydziestego siódmego, wprowadzona po podziale Śląska, która do dziś jest granicą między diecezjami opolską i katowicką. Znów, po dziesiątkach lat, okazuje się, że tam mieszkają i Niemcy, a tu Polacy; tam potomkowie *Selbstschutz*'u, a tu insurgentów. Jedni mają kancle-rza Helmuta, a drudzy premiera Tadeusza. Jedni jeżdżą na nabożeństwa niemieckie, a drudzy śpiewają „Boże, coś Polskę”. Na razie niechęć między mniejszością niemiecką z zachodniego Górnego Śląska a Związkiem Górnolązkim z Katowic nie przekracza norm przyzwoitości. Przedstawiciele jednej i drugiej strony sygnalizowali gotowość do podjęcia dialogu. Równocześnie jednak wszelkie wzmianki na temat innego niż dotychczas

kształtu samorządu lokalnego, np. propozycja reaktywowania Sejmu Śląskiego, napotyka ją ze strony polskiej na zdecydowany opór. Czy istnieje jednak rozsądna alternatywa? Czy mamy czekać, aż powstaną bojówki po obu stronach, ponieważ ani jedna ani druga nie będzie chciała ustąpić ani na krok, upierając się przy swych koncepcjach wyłącznej polskości bądź niemieckości Górnego Śląska?

Być może propozycja przywrócenia autonomii jest przedwczesna. Być może nowa ordynacja wyborcza przywróci mieszkańcom tej ziemi ich osobowość, i dalsze kroki w tym kierunku staną się zbędne. Być może autonomia i Sejm Śląski nie odpowiadają już dzisiejszej sytuacji, ponieważ exodus górnośląski i napływ ludności z Polski centralnej sprawiły, iż obydwie grupy Górnoślązaków znalazły się w mniejszości we własnym domu. Nie wiadomo. Pytań podobnych jest o wiele więcej, a odpowiedzi są nieznane. I pozostaną nieznane, dopóki przedstawiciele obydwu grup nie zasiądą do jednego stołu: bez uprzedzeń, bez absolutnego przekonania o własnej racji, z chęcią wysłuchania innych i zgodą na ich inność.

Problemy Górnego Śląska są zbyt wielkie, by można je rozwiązać w rozproszeniu. Pod względem ekologicznym jest to najbardziej zniszczony skrawek ziemi na świecie. Infrastruktura przestrzenna jest niemal całkowicie zniszczona, zaniedbania wymagają zainwestowania tu miliardów dolarów. Komunści polscy wraz z polskimi nacjonalistami przy mniej lub bardziej świadomym współudziale nacjonalistów niemieckich spowodowali rozpad więzi społecznych w tej ziemi. Trzeba zabrać się do odrabiania szkód, dopóki nie jest jeszcze za późno... Chociaż możliwe, że zegar dawno już wybił godzinę, tylko nikt go nie usłyszał, zasłuchany w swoją jedynie słuszną rację.

Stanisław BIENIASZ

Lithuania revisited. Odwiedziny po czterdziestu płeciu latach

Wszystko zaczęło się w maju 1989 roku, podczas mego pobytu w Polsce. Profesor Piotr Łossowski pokazał mi wówczas list pisany przez pana H.P. do kwartalnika *Auszra*, wydawanego w Suwałkach. Pan H.P. zwracał się do czytelników, by mu pomogli w odnalezieniu i nawiązaniu kontaktu z dziećmi Zofii z Dembowskich Romerowej, znanej artystki malarki.

Natychmiast nawiązałem kontakt, najpierw telefoniczny a potem listowny z panem H.P. i po paru miesiącach miałem telegraficzne zaproszenie z Litewskiej Fundacji Kulturalnej na odwiedzenie Litwy. Chcąc kuć żelazo póki gorące, załatwiłem formalności i samolotem do Warszawy, a potem koleją, wyruszyłem w podróż.

Niedziela, 13 sierpnia 1989 r.

O 6-tej rano pociąg staje w Kuźnicy Białostockiej. Postój trwa 3 godziny i 15 minut. Podnoszą wagony i wsuwają podwozia o szerokim rozstawieniu kół. Kontrola i odprawa paszportowa i celna, najpierw polska, potem sowiecka. Wszystko odbywa się bezszelestnie. W naszym *spalnym wagonie*, na sąsiednich trzech kuszetkach trzech młodych i sympatycznych polskich studentów. Jeden z nich mieszka w Szwecji, koło Malmö. Wszyscy jadą tranzytem przez Leningrad i Finlandię do Szwecji. Rosyjski celnik każe im pokazać zadeklarowane pieniądze i wpisać w deklarację aparaty fotograficzne, by nie mieli trudności przy wyjeździe. Mnie pyta tylko o wartość franków

belgijskich, bo na tej walucie się nie zna. Proszę byśmy wyszli z przedziału i zaglądną pod ławki, by sprawdzić, czy ktoś nie chce uciec z Polski do Związku Sowieckiego!

Wkrótce potem przekraczamy Niemen. Z okien widzimy tłumy ludzi i dużo polskich samochodów. Celnik z uśmiechem objaśnia, że to bazar, na którym Polacy sprzedają swoje samochody.

W Grodnie nowy dworzec. Stoimy 45 minut. Trzeba przyznać, że od wyjazdu z Warszawy nasz pociąg idzie jak szwajcarski zegarek — absolutnie punktualnie. Wagony to niezupełnie Orient Express, ale znośne. Cztery miejsca w przedziale, dwie kuszetki na górze, dwie na dole. Dają czystą, wykrochmaloną pościel i koce, ale łóżko trzeba słać samemu. Bardzo elegancka i fertyczna konduktorka naszego wagonu podała nam z rana herbatę (30 kopiejek lub 30 złotych) i do tej funkcji włożyła biały fartuszek. Przed granicznymi kontrolami rozdawała formularze i pomagała je wypełniać. W czasie kontroli szła przed urzędnikami i mówiła, jakie papierki przygotować.

Z Grodna do Wilna jedzie się trzy godziny. Pociąg staje może ze trzy razy. Krajobraz się zmienia: cały czas jedziemy właściwie przez sosnowe lasy, tu i ówdzie brzezinki. W końcu zbliżamy się do Wilna. Z daleka widać już bloki mieszkalne, typowe dla dzisiejszych miast.

Na dworcu studenci pomagają mi wynieść walizkę. Przed drzwiami wagonu stoi już pan H.P. Poznaję go od razu, mimo, że go nigdy w życiu nie widziałem. Obok niego rośla 18-latką, jego córka Migle. Dworzec ten sam, jak również placyk przed dworcem, ale uporządkowany: drzewa, kwiaty, trawa, ulice asfaltowe. H.P. ma swój samochód, rosyjską „Żiguli”, troszkę starą, ale działa. Siadamy i jedziemy ulicą Zwalną — Pilimo gatve — przecinamy tylko kawałek starego miasta i wjeżdżamy w zupełnie nowe miasto z drugiej strony Wilii, za Zakretem. Po drodze poznałem gmach i bramę Dyrekcji Kolejowej i cerkiew na Pohulance. Dojeżdżamy do bardzo przyzwoitych bloków, ładnie zagospodarowanych, trawa, drzewa.

H.P. ma żonę Edite, która również pracuje w telewizji litewskiej, córki Migle, Giedre i Linę. Sam pochodzi spod Kupiszek (ojciec sędzia, aresztowany i wywieziony w 1940 roku). Edita już wychowana w Wilnie, ale jej rodzice są spod Datnowa. Nikt po polsku w domu nie umie, ale po rosyjsku wszyscy mówią swobodnie. Ze znajomością języków na Litwie jest źle, gdyż poza mniejszością polską ludzie znają jedynie litewski i rosyjski. Edity i dwóch młodszych córek nie ma, są na wakacjach nad morzem w Świętųjųściu (Sventoji). Teściowa Viktoria przysłała nam zgotować bardzo dobry obiad; jako że jest spod Datnowa, mówi swobodnie po polsku.

Mieszkanie bardzo eleganckie, trzy pokoje plus salon-stołowy, kuchnia i mała łazienka. Masa obrazów. Poznaję na ścianie podpisaną akwatintę Matki pt. „Droga”. Również obraz Gerarda Bogdanowicza, z którym H.P. się przyjaźnił i który dopiero kilka lat temu umarł. Dużo książek litewskich autorów, jak również tłumaczeń pisarzy rosyjskich i zachodnich, encyklopedie, słowniki. Mój gospodarz jest z wykształcenia historykiem i przez kilka lat wykladał w Kielmach, tam się zapoznał z pracami i zainteresował twórczością mojej Matki. Jest również zainteresowany wszystkimi zabytkami kulturalnymi Litwy i działaczem w Litewskim Towarzystwie Krajoznawczym. Z zawodu jest już od trzydziestu lat spikerem telewizji litewskiej, co dzień rano wita widzów i czyta dziennik. Prowadzi i redaguje również programy specjalne i wywiady. Długo rozmawiamy wieczorem na przeróżne tematy. Raptem odkrywam, że po czterdziestu pięciu latach przerwy znów mówię płynnie po litewsku. Od czasu do czasu brakuje mi jakiegoś słowa, ale na ogół daję sobie doskonałe radę.

Poniedziałek, 14 sierpnia

Do południa siedzę w domu, gdyż mój gospodarz poszedł do biura przygotować nasze plany podróże. Migle dała mi dobre śniadanie. Widzimy H.P. na ekranie. Wraca z programem na następne dziesięć dni. Uwzględnione wszystkie moje życzenia, będziemy w Kownie, Kłajpedzie, Połdze, Świętųjųściu, Kretyndze, Płungianach, Telszach, Szawlach, Kielmach, Cytonianach, Rosieniach i Trokach.

Jedziemy za miasto. Pierwszy postój to Litewska Fundacja Kulturalna przy ulicy Zygmuntońskiej. Po drugiej stronie Wilii piękny kościół św. Rafała.

W Fundacji poznaję jej przewodniczącego, prof. Kudabę, i wiceprzewodniczącego, p. Tarvydasa. Kudaba jest członkiem Rady Państwa z ramienia Sajudisu, wykłada geografii na Uniwersytecie Wileńskim, jest również przewodniczącym Towarzystwa Krajoznawczego i działaczem w Sajudisie. Płynnie mówi po polsku i po białorusku. Opowiada o swojej wyprawie jachtem z Kłajpedy na wyspę Gotland, z której właśnie wrócił i gdzie brał udział w obradach XXXVI światowego zjazdu Litwinów, gdzie podpisał tak zwaną „deklarację gotlandzką”.

Opowiada ze zdziwieniem, że jadący z nimi Justas Vincas Paleckis (syn starego Paleckiego), członek Komitetu Centralnego do spraw ideologicznych, w ostatniej chwili zdecydował się razem z nim podpisać tę deklarację, żądając przywrócenia niepodległości Litwie.

Rozmowa schodzi na inne tematy. Mówimy o Cytoninach, o Romerach. Prof. Kudaba jest doskonale zorientowany. Ofiarowuje mi swoją książeczkę „Kalvotoji Zemaitija”, w której jest nie tylko wzmianka o mojej Matce, ale również reprodukcja jej akwaforty i zdjęcia Pogryżowa, kościoła cytowańskiego i bramy w Kielmach. Książka wydana w 1972 roku.

Profesor pyta mnie, za kogo się uważam, Mówię mu, że skończyłem polskie gimnazjum w Poniewieży, że studiowałem w Instytucie Handlowym w Szawlach, a potem już wszystkie dalsze studia kończyłem w Stanach Zjednoczonych. Rubryki narodowości w zachodnich dokumentach nie ma. Jest się uważanym za obywatela tego lub innego kraju i najwyżej możemy mówić o pochodzeniu etnicznym. W naszej rodzinie, po opuszczeniu Litwy, na pięcioro dzieci mamy pięć różnych obywatelstw: siostrę Australijkę, drugą Polkę, trzecią Brytyjkę, brata Kanadyjczyka i mnie — Amerykanina, mieszkającego w Belgii! Żartem przypominam mu o typowym dla naszych stron powiedzeniu z czasów różnych okupacji, że ja „tutejszy”.

Dalej mówimy o Wspólnocie Europejskiej i jak dzisiaj cała Zachodnia Europa stara się zjednoczyć, jak znikają tradycyjne animozje jak np. francusko-niemiecka, o dążeniu do wspólnego paszportu i wspólnej monety. Na to Kudaba mówi: „to nie jesteś naszym przyjacielem, gdyż my staramy się w tej chwili odłączyć od Wielkiej Rodziny”, sam jednak wkrótce zauważa, że istnieje duża różnica między dobrowolnym zjednoczeniem a przymusowym.

Uderzyła mnie wówczas, jak i niejednokrotnie później, znaczna wiedza prof. Kudaby, jak i innych wykształconych Litwinów, o naszej rodzinie. Nie chodziło tylko o rektora Michała Romera. Tak jakby studiowali Encyklopedię Litewską, wiedzieli o generale artylerii, marszałku Guberni Litewskiej i roli jego jako Wielkiego Mistrza Łoży Masońskiej Gorliwego Litwina, o Alfredzie i Edwardzie, jak również o moim ojcu.

Prof. Kudaba opowiada mi, jak kiedyś w Cytowanach pytał chłopów, czy Eugeniusz Romer znał litewski. Odpowiedź brzmiała: „czy mówił po litewsku, tego nie wiemy, ale po żmudzku to mówił bardzo dobrze”.

Wychodzimy z Fundacji i jedziemy z H.P. po Wilnie. Trzy Krzyże znów stoją na górze. Zatrzymujemy się przy katedrze. Piękne klomby kwiatów. Ulica Mickiewicza, teraz Giedymina, zamknięta dla ruchu kołowego. Kawiarnia Rudnickiego, dziś Literatów, dawniejsza Komenda Placu, na Arsenalskiej to dziś Muzeum Etnograficzne, również piękne klomby i fontanna przed wejściem. Jedziemy dalej. Kościół św. Anny ślicznie utrzymany i pełno zagranicznych turystów. Natomiast Bernardyński zupełnie jeszcze zapuszczony i w stanie dość opłakany.

Dalej śliczny kościół Misjonarzy na razie jest jeszcze ciągle szpitalem. Jedziemy potem koło Ratusza, Pałacu Reprezentacyjnego i na Małą Pohulanę (dziś Kalinauskio Gatve). Klinika Dembowskich (później dr. Janowicza i Dobrzańskiego) na rogu Pohulanki i Alei Róż stoi, bardzo dobrze utrzymana. Dziś mieści się w niej szpital czy też klinika dla sportowców. Z tyłu, gdzie była kostnica, drzewa wycięte i parking.

Zjeżdżamy w dół miasta. Część ul. Mickiewicza koło hotelu George'a (dziś „Vilnius”) otwarta dla ruchu. Plac Orzeszkowej i Lukiski zasadzone kwiatami i drzewami, fontanny i troszkę mniej udane pomniki. W gmachu sądu jak zwykle NKWD, więzienie Lukiskie nadal to samo. Kościół św. Jakuba — dziś szpital.

Stamtąd jedziemy na drugą stronę Wilii, gdzie jest zupełnie nowe miasto. Wielki hotel Inturistu „Lietuva”, pokoje małe i cena powyżej 100 dolarów. Zabawna historia: chcę się dowiedzieć, jaki jest telex hotelu, by kiedyś w razie czego móc zamówić pokój. Dowiadujemy się, że jest to „sekret”! W końcu, na interwencję mego przyjaciela, zostaje to nam ujawnione: numer jest 261 119 su. Idziemy do biura podróży i w pięć minut załatwiamy mój bilet powrotny na 24 sierpnia. Jedziemy do sklepu dolarowego „dla turystów”. Turysty tam żadnego, gdyż nikt by tego sklepu nie znalazł. Wybór towarów troszkę inny niż w polskich „Pewexach”: głównie buty, mydła, pasta do zębów, swetry itd. Oficjalnie Litwinom nie wolno tam kupować, ale tylko ich tam widziałem. Kupuję zapas podarków: kawę, pończochy, mydło, wino francuskie (Croze Hermitage po \$3) i troszkę whisky. Wracamy do domu znów na dobry obiad.

O 4-tej dalej do pracy: Uniwersytet, śliczny dziedziniec, kościół św. Jana jest jeszcze galerią obrazów, ale już kończą odnowę i mają oddać. Na jednej ścianie wisi portret rektora Michała Romera. Siadamy, by odpocząć na dziedzińcu. Następnie pięknie odnowiony kościół św. Teresy i Ostra Brama. Należy tu wspomnieć, że większość robót renowacyjnych kościołów i innych zabytków w Wilnie wykonują polskie zespoły „Budimexu”.

Wszędzie pełno modlących się ludzi. Straszna ilość schodów — ale ja się drapię na górę. Na szczęście moje nogi jakoś wszystko wytrzymują. Jedziemy do katedry i zaczynamy od krypt i podziemi, czego nikomu nie pokazują. Jemu dają klucze i idziemy we dwójkę. Musimy znaleźć w ciemnościach i po omacku kontakty elektryczne. Jesteśmy najpierw w krypcie królewskiej, odnalezionej i restaurowanej w latach trzydziestych przez prof. Lorentza. Znajdują się tam trumny Barbary Radziwiłłówny, królowej Elżbiety, Aleksandra. Potem widać szereg nowo odkopanych krypt z dziesiątkami trumien różnych bisku-

pów, kamienie pogańskie, na których pewno jeszcze Mendoga spalono itd. Wszędzie bardzo niski pułap, trzeba być półzgiętym i ciągle schodki w dół, schodki w górę. Ale mój przewodnik uważa, że muszę wszystko zobaczyć. W końcu ląduję w kaplicy św. Kazimierza, pół żywy.

Trumna św. Kazimierza, w czasie kiedy w katedrze było muzeum, znajdowała się w kościele św. Piotra i Pawła i dopiero na wiosnę 1989 roku, kiedy katedrę oddano Kościołowi, szesnastu młodych kleryków i księży przeniosło ją na ramionach, na piechotę do katedry. Trumna waży koło tony, a odległość wynosi przeszło kilometr.

W drodze do domu wjeżdżamy na Trzykrzyską Górę. Krzyże odbudowane według rysunków Wiwulskiego, tylko cokół podniesiony o parę metrów, gdyż drzewa by zarosły. Opodal leżą szczątki starych krzyży wysadzonych w powietrze. Nieustannie pojawiają się na tych gruzach świeże kwiaty. Wracając zachodzimy jeszcze do kościoła św. Piotra i Pawła. Potem do domu na zasłużony odpoczynek.

Wtorek, 15 sierpnia

Koło 10-tej rano wyjeżdżamy z Wilna. Bardzo dobra, zupełnie nowa czteropasmowa autostrada prowadzi z Wilna do Kłajpedy, omijając wszystkie miasta. Znakowanie jak na Zachodzie (najpierw dużymi literami po litewsku, a pod tym małymi po rosyjsku). Co kilka kilometrów telefony awaryjne.

Przed Kownem na Niemnie duży sztuczny zalew (ogromna elektrownia hydroelektryczna). Nad tym zalewem w Rumszyszkach, na obszarze chyba ze stu hektarów założono litewski skansen. Bardzo porządnie i ładnie, podzielone regionami Litwy: Żmudź, Suwalszczyzna, Dzukija, Gudija. Stare, strzechą kryte chaty (które do ostatniej wojny były w każdej wsi). Chodzimy po tych chatach, robię zdjęcia...

Do Kowna wjeżdżamy starą szosą Wilkomierską. Wszędzie ogromne bloki mieszkalne, Parodos Gatve. Jedziemy na Szance do garaży miejskich autobusów, gdzie przyjaciel H.P. jest naczelnym dyrektorem. Przyjmuje nas bardzo serdecznie, będziemy u niego mieszkać. Tymczasem zostawiamy tam nasz samochód, gdyż on daje nam swoją nową Wołgę z szoferem na zwiedzanie Kowna.

Jedziemy nową magistralą wzdłuż brzegów Niemna. Zaczynamy od starego zamku krzyżackiego, może zbyt starannie odnowionego. Potem dziedziniec dawnego pałacu Masalskich, dziś seminarium duchowne, starannie odnawiane. Teraz przyjmują

już tam do 50-ciu kleryków rocznie na czteroletnie studia. Ma być zresztą odtworzone w tym roku jeszcze jedno seminarium duchowne. Z tyłu, za seminarium, kościół św. Jerzego, jeszcze zupełnie zapuszczony, z zamurowanymi oknami, ale wcześniej czy później ma być odnawiany.

Dalej plac Ratuszowy, kościół jezuitów i katedra. Plac pięknie zagospodarowany, drzewa, trawniki.

Na czwartą jesteśmy umówieni w galerii sztuki z panem Oswaldem Daugelisem, wicedyrektorem galerii Ciurlonisa. Jedziemy tam, jest to nowy budynek na początku ulicy Donelaitisa, która właściwie niedużo się zmieniła od przedwojennych czasów. Pan Daugelis pokazuje nam wystawę artystów litewskich, którzy byli wywiezieni lub ucierpieli w epoce stalinizmu. Jest tam pięć akwarel Matki, między innymi „Dzimid z fajką” i „Zakonnica”. Fotografuję te obrazy i jedziemy do składów galerii Ciurlonisa.

Pan Daugelis wszystko już tam dla nas przygotował: najpierw album fotografii portretów, zrobiony jeszcze przez Matkę. Pan Daugelis prosi mnie o zidentyfikowanie osób. W większości wypadków to mi się udaje. Potem przegląd około 30-tu prac Matki. Pan Daugelis wszystko co mówię skrętnie zapisuje na kartach ewidencyjnych, a H.P. sporo z tych prac fotografuje. Daugelis mówi nam, że galeria skupuje wszystkie prace artystów z czasów przedwojennych.

Rozmawiamy o prof. Lorentzu i o możliwości wystawy. On uważa, że najłatwiej byłoby to zrobić „między muzeami”, to znaczy powiedzmy między galerią Ciurlonisa i Muzeum Narodowym. Uważa, że ponieważ twórczość Matki była najbardziej skoncentrowana w Kownie, taka wystawa powinna mieć miejsce najpierw w Kownie, potem w Warszawie.

Po paru godzinach jedziemy do państwa T., dyrektora autobusów kowieńskich. Tam już jego żona Grażyna przygotowała kolację jak stół wielkanocny: najrozmaitsze rodzaje przetworów mięsnych, szynki, kielbasy, grzybki. Posiłek, jak później zauważyłem w innych zasobnych domach i u księży proboszczów, zaczyna się od „Sowietskoje Szampanskoje”, a potem wódka, piwo, tu i ówdzie wino. Państwo T. mieszkają na ulicy Donelaitisa, w domu, w którym do wojny mieściła się siedziba nuncjusza papieskiego i który sąsiadował z dawnym gmachem Banku Polskiego.

Środa, 16 sierpnia

Wczesnym rankiem wychodzę na krótki spacer. Aleja Wolności (Laisves Aleja) teraz zamknięta dla ruchu kołowego. Dawny „Wersal” nadal istnieje, dziś to hotel „Nemunas”, a re-

stauracja z dansingiem nazywa się „Vakaras”. Gmach Banku Polskiego zupełnie nie zmieniony, ładnie utrzymany — teraz też jest tam jakiś bank. Grażyna mówiła mi, że zna ludzi, którzy mieszkają na górze w naszym dawnym mieszkaniu, w którym aresztowano w 1940 r. Aleksandra Prystora.

O 11-tej jedziemy do muzeum w domu Maironisa (wielki poeta litewski). Tam bardzo serdecznie przyjmuje nas pani Dalia L., kierowniczką dla spraw naukowych. Oprowadza nas po mieszkaniu Maironisa, które udało się zachować w stanie prawie niezmiennym, gdyż żyła tam do lat sześćdziesiątych siostra Maironisa. Stamtąd jedziemy do nowo otwartej galerii Mykolas Žylinskis, koło dawnego Soboru. Wspaniały zbiór stu kilkudziesięciu obrazów z XVII i XVIII wieku, głównie malarzy hollenderskich i niemieckich, ale jest i jeden Rubens (Chrystus na Krzyżu). Jakiś bliżej nieznaną pan Mykolas Žylinskis zebrał te obrazy po wojnie i podarował państwu litewskiemu. Skąd te obrazy? Na razie nikt nie wie.

Jemy obiad w Metropolu. Sala odrestaurowana w stylu sprzed pierwszej wojny. Jedzenie słabe. Po obiedzie wyruszamy w dalszą podróż w stronę Kłajpedy i Połagi.

Wyjeżdżamy znów na nową autostradę, która zresztą omija Kowno. Krajobraz Litwy się zmienił: prawie zupełnie nie widać małych gospodarstw. Są tylko *kołukis* (*kollektivinis ukis*, czyli kołchozy) i *tarukis* (*tarybinis ukis*, czyli sowchozy). Zresztą, różnica między nimi mała. Są to olbrzymie jednostki. H.P. mówi mi, że w tym popełniono błąd, gdyż są one za duże (po 6 do 8 tysięcy hektarów) i często robotnicy muszą jechać 15 km na miejsce pracy.

Nie widać zupełnie koni ani owiec. Wszędzie są kombajny, traktory, wsie kompletnie zmotoryzowane. H.P. tłumaczy mi, że każdy pracownik *kołukisu* czy też *tarukisu* może dostać 25 × 25 = 625 m² ziemi na własność, na której może postawić sobie jednorodzinny domek, oraz prawo do używania 6.000 m² ziemi na paszę dla własnych zwierząt czy też na prywatną uprawę. Na takim terenie może wyhodować do trzech krów, a przeciętny dochód z jednej krowy wynosi 1.500 rubli. Daje mu to dodatkowego dochodu więcej niż jedna dobra pensja. Nic dziwnego, że połowa mleka na Litwie pochodzi z „prywatnych” krów. Podobno te krowy dają po 6.000 litrów mleka rocznie, a „państwowe” zaledwie połowę tego.

Przejeżdżając koło tych gospodarstw widać wszędzie jednorodzinne domki pracowników, ładnie zagospodarowane, z kwiatami, drzewami owocowymi naokoło. Te gospodarstwa zwracają pracownikom połowę kosztu budowy domków (przeciętna wartość od 30 do 50 tys. rubli). Domki są stu procentową własnością pracowników, którzy mogą je sprzedać lub zostawić dzieciom w spadku. Budownictwa drewnianego zupełnie się nie widzi.

Wszędzie cegła lub bloki. W Olicie jest fabryka takich prefabrykowanych domków, zresztą bardzo atrakcyjnie wyglądających, ale, jak mówi mój przyjaciel, są drogie (50 tys. rubli) i łatwopalne.

Należy zanotować, że dziś na Litwie wypada jeden samochód na 10 mieszkańców. Cała Litwa jest zelektryfikowana i do wszystkich wielkich miast jest doprowadzony gaz ziemny z Rosji, a po wsiach i małych miasteczkach ludzie mają gaz w butlach.

Dzień jest strasznie upalny, powyżej 30° Celsjusza. Autostrada idzie mniej więcej tym samym szlakiem co stara szosa, ale o kilka kilometrów obok, omijając wszystkie miasta. Koło Rosień widzimy jakieś nowe gospodarstwo rybne, stawy, których dawniej tam nie było. W Kryżkalisie, na skrzyżowaniu starego Traktu Katarzyńskiego, stoi ogromny pomnik. Omijamy Kłajpedę i po trzech godzinach (234 km) jesteśmy w Połdze. Całe stare miasteczko jest zamknięte dla ruchu kołowego, ale mój przyjaciel ma „magiczną twarz” znaną z telewizji. W pięć minut mamy na szybie nalepkę, upoważniającą nas do jeżdżenia tam, gdzie innym nie wolno.

Jedziemy do pałacu Tyszkiewiczów na Birucie. Park cudownie utrzymany. H.P. mówi mi, że odnawiając starano się nawet znaleźć lub zrobić kopię figury Chrystusa, który tam stał i podobno pochodził z Francji. Również w grocie nie ma figury Matki Boskiej z Lourdes.

Sam pałac odnowiony. Mieści się tam dzisiaj Muzeum Bursztynu, bardzo starannie i dobrze urządzone. Są ładne ekspozycje. Przejeżdżamy przez miasteczko. Masa starych drzew. Poznaje przedwojenny *Kurhaus*. Dalej na północ od starej Połagi nowe miasto, troszkę jak w Hiszpanii, z wysokimi blokami mieszkaniowymi nad samym morzem. Przypomniała mi się też Ostenda. Odwozimy Migle do Świętųjų. Zmieniło się zupełnie. Dziś to bezładnie zabudowane kurortowe miasteczko, gdzie każdy stawiał sobie, co chciał. Nawet portu rybackiego prawie nie ma. Widzę kilka małych barek. Z trudem poznaje i odszukuję dom Venckusa, w którym spędziłem ostatnie tygodnie na Litwie w 1944 roku.

Wracamy do Połagi i nocujemy w „domku ogrodowym”, czyli daczy następnego przyjaciela H.P., który jest eks-pilotem i cały ten dom własnoręcznie zbudował.

Czwartek, 17 sierpnia

Wstajemy wczesnym rankiem. Najpierw nad morze. Wchodzę na molo w Połdze. Przypominają mi się stare czasy. Ale o 10-tej jesteśmy już na drodze w stronę Szawel.

Zatrzymujemy się na chwilę w Kretyndze, ale tam pałac Tyszkiewiczów musiał być zniszczony i postawiono jakiś nowy budynek na jego miejsce. Drzewa i stawy pozostały. Jedziemy dalej. W Pługinach zajeżdżamy do pałacu Ogińskich, który jest pięknie odnowiony i park dobrze utrzymany. Mieści się tam teraz jakieś technikum. Następny postój to Telsze. Przejedźdżamy przez miasteczko i nową dzielnicę nad jeziorem, po czym jedziemy do muzeum. Mają tam kilka grafik Matki i dużo prac Józia Perkowskiego. Po salach drepcie jakaś wycieczka z Turkmenii w barwnych strojach. Młode nauczycielki i nauczyciele. Odkrywają, że mogą kupić zeszyty szkolne. Każdy wychodzi z paczką kilkudziesięciu zeszytów.

W małej wiosce koło Kurszan zatrzymujemy się, żeby zjeść. Proste zdrowe jedzenie (samoobsługa): królik z pomidorem i kluskami, kefir i sok owocowy. H.P. płaci po 75 kopiejek (w Metropolu było po 6 rubli).

Do Szawel dojeżdżamy koło 3-ej po południu. Miasto nie do poznania. Ulica Wileńska zamknięta dla ruchu kołowego. Plac przed kościołem zadrzewiony, trawniki i kwiaty. Gdzie dawniej był „Bobturgis”, dziś ogromny gmach sekretariatu partii. Kościół ładnie odnowiony. Na Varpo Gatve też same ogromne bloki mieszkaniowe. Szawle liczą 130.000 mieszkańców, kilkanaście szkół średnich, Instytut Pedagogiczny itd. Ogólnie biorąc, na Litwie większość młodzieży kończy albo pełne gimnazjum, albo 6 klas szkoły podstawowej i jakieś technikum. Na uniwersytety lub inne wyższe studia idzie 8 do 10%.

W Szawlach zatrzymujemy się przede wszystkim w Ausros Muzeum, a ponieważ większość prac Matki jest w składach, umawiamy się na następny dzień rano. Jest też filia muzeum w dawnej rezydencji Węclawskich. Jedziemy do dobrze znanego mi domu. Kierowniczką działu artystycznego, pani Eugenia J., przyjmuje nas bardzo serdecznie. Dużo rozmawiamy o starej pani Węclawskiej (która była wielką działaczką litewską). Obiecuję przysłać wspomnienia mojej Matki z rozmów z nią i również, jeśli mi się uda, dostać fotografię jej grobu na cmentarzu w Waterbury, rysunku Michała Nagórskiego.

Pani Węclawska była w okresie międzywojennym szowinistycznie antypolska, ale we wrześniu 1939 r. otworzyła swój pałacyk dla dziesiątków wojskowych i uciekinierów z Polski. Po przyjeździe Niemców chowała w swojej piwnicy Żydów, nie zwracając uwagi na to, że góra jej domu była zajęta przez komendanturę niemiecką.

Na noc zatrzymujemy się u ciotecznej siostry H.P. Znów zbieg okoliczności: ci państwo mieszkają na Varpo Gatve 1, w tym samym domu, w którym w czasie wojny mieszkali Olgierdowie Ławcewiczowie i gdzie byłem częstym gościem.

Wieczorem znów stół zastawiony jak na Wielkanoc. Pan domu jest wielkim myśliwym i prezesem koła myśliwskiego. Ciekawostka: stan zwierzyny bardzo się zmienił na Litwie. Jest teraz pełno nie tylko saren, ale i łosi, lisów, a od dzików trzeba odgradzać tu i ówdzie pola. Wyginęły natomiast zające. Przypisują to albo środkom owadobójczym, albo kombajnom. Pan domu z tryumfem pokazuje nam wspaniałą skórę wilka, których też się sporo namnożyło.

Mówimy o urbanizacji, która, jak wszędzie na świecie, nastąpiła też na Litwie. Dziś mniej niż 35% ludności mieszka po wsiach. Wilno liczy blisko 600.000 mieszkańców, Kowno 405.000, Kłajpeda 195.000, Szawle 140.000 i Poniewież 120.000. Z aprowizacją są duże kłopoty, są kartki na cukier (z powodu samogonu), mydła nie ma, o mięso trudno. Na szczęście więc miasta ze wsią jest jeszcze bardzo silna, gdyż urbanizacja nastąpiła stosunkowo niedawno i każdy ma jeszcze ciotkę czy wujaszka na wsi, którzy go zaopatrują w wyroby mięsne. Mleka, masła, jajek i serów nie brak i nie są drogie. Również nie brak nigdy mąki i różnych makaronów, a owoców miejscowych jest bardzo dużo. Rozmowa przeciąga się do późna. W końcu ustalamy plan na dzień następny i idziemy spać.

Piątek, 18 sierpnia

Po spędzeniu ranka w Ausros Muzeum jedziemy o 12-tej na tzw. Wzgórze Krzyży. Jest to wzgórze może o 6 czy 8 km na północ od Szawel, pokryte krzyżami. Uprzednie władze starały się wielokrotnie wzgórze uniedostępnić przez budowanie przegród czy przez sztuczny zalew; starały się też je zniszczyć, ale krzyże na tym wzgórzu wciąż „rosną” i dziś są ich dziesiątki tysięcy. Obecnie miejsce to uważane jest za prawie święte i zjeżdżają się tam wycieczki i pielgrzymki z całej Litwy i sąsiednich krajów.

Po powrocie do Szawel zabieramy się starym Katarzyńskim Traktem do Kielm. W miastach jak Szawle, Kielmy i tym podobne trudno opisać zmiany: wprost wszystko jest inne. Podjeżdżamy pod dwór Kielmiński, utrzymany w dobrym stanie, jak również brama. Drzewa tylko bardzo wyrosły. Dwór ten jest jednym z najstarszych na Żmudzi, od kilku wieków własność rodziny Gruzewskich. Robię zdjęcia. Zbór kalwiński jest w stadium odnowy. Jako ciekawostka, w rodzinie Gruzewskich wszyscy mężczyźni byli kalwinami, a kobiety katoliczkami. Zachodzimy do proboszcza kościoła katolickiego, Butkusa. Przemiały siwy staruszek, który spędził dziesięć lat na wygnaniu. Teraz właśnie wrócił z czterotygodniowego pobytu w Kanadzie.

Dużo i z entuzjazmem opowiada, m.in. o tym, że mu płacono po 100 dolarów za kazanie niedzielne! Gospodyni z Widukl pamięta jeszcze Janczewskich. W końcu nie możemy odmówić zaproszenia na „kawę”, która staje się szampanem z węgorzem.

Jedziemy do Cytowian. Szeroka droga asfaltowa idąca starym szlakiem. Na Dubisie nowy most. Koło stacji młyna i tartaku nie ma, ale poza tym niewiele się zmieniło.

Przyjeżdżamy do miasteczka. Znów zbieg okoliczności. Zatrzymujemy się u bardzo miłego młodego małżeństwa, doktora D. Mieszkają oni w domu doktora Pugirskiego, na ulicy od niedawna nazwanej imieniem mojej Matki.

Wieczorem jedziemy do dworu w Cytowianach. „Krótkiej drogi” nie ma i jedziemy tak zwanym gościńcem. Białych krzyży ani w lesie ani na skrzyżowaniu dróg nie ma. Podjeżdżamy drogą od Pogryżowa. Wielka stodoła stoi, jak również dąb, który Matka tyle razy rysowała. Na tym podobieństwo się kończy.

Mówią mi, że zaraz po wojnie był we dworze przytułek i szkoła dla dzieci. Że nic się nie paliło, tylko że z biegiem czasu wszystko się rozpadło, ludzie porozbierali co lepsze materiały, a natura przejęła resztę.

Przychodzi pszczelarz, który ma w ogrodzie 16 uli i częstuje nas świeżym miodem. Mieszka sam w Szawlach i tylko dojeżdża do swoich pszczół. Ogród owocowy to też džungla, ale widać tu i ówdzie jabłonie pokryte owocami. Można rozpoznać aleję lipową, ale tylko po wierzchołkach drzew. Poznają okna do piwnicy w ogrodzie. Z ciężkim sercem wracam do miasteczka.

Doktorostwo wiozą nas nad jezioro Brydwoisz. Ładnie zagospodarowane, plaża, łódki, pomost na wyspę nadal zarośniętą sosnami. W ogóle w tej części miasteczka szereg nowych ulic, zabudowanych eleganckimi, jednorodziennymi, murowanymi domkami. Jedziemy dalej. Poznają dom Pietrkiewiczów, gdzie sto lat temu siadywał na ganeczku Marszałek Piłsudski. Poznają również starą pocztę. Objeżdżamy ślicznie odnowiony i odmalowany kościół. Od września mają również zwrócić Kościołowi budynki klasztorne, które dotychczas były używane na szkołę.

Wracamy do domu. Jest już po dziewiątej. Wszędzie elektryczne oświetlenie, bieżąca woda, kanalizacja i centralne ogrzewanie. Rozmawiam z gospodarzami, którzy już od 14-tu lat są w Cytowianach. Doktor mówi nam, że jest tam obecnie czterem lekarzy, którzy „nie leczą, a urzędują”. Jest też klinika i szpital dla dzieci. Miasteczko zmieniło charakter: to już nie kurort, do którego zjeżdżali się letnicy, a raczej „daczowisko” nomenklatury i zamożniejszych osobistości.

Sobota, 19 sierpnia

O 8-ej rano, po dobrym śniadaniu, zabiera nas redaktor kielmieńskiej gazety, p. Pikturna, który jest członkiem Towarzystwa Krajoznawczego i dobrze pamięta czasy wojny i pierwsze lata powojenne. Po raz drugi jedziemy do dworu.

Wyjeżdżamy w stronę Gudel. Tam widać, że gospodarstwo idzie dobrze, ale dworek w stanie kompletnej ruiny. W Johampolu Gruzewskich niewiele się zmieniło. W Kiewnarach stoi drewniany zabytkowy dworek; jest pod ochroną. Jedziemy również do Poszawsza, gdzie pod koniec pierwszej wojny światowej były walki z Bermondczykami. Wspólny cmentarz żołnierzy niemieckich i rosyjskich. Stamtąd jedziemy przez Podubiś Sienkowskich w stronę Kielm. W Podubiśiu tylko drzewa zostały. Nie ma śladu starego, pięknego, drewnianego dworu. (Swoją drogą ciekawe, że na Litwie nigdzie nie powycinano drzew).

Jedziemy do Króz. Jutro ma się tam odbywać największy doroczny odpust Świętego Rocha. Przyjmuje nas młody proboszcz w koszulce sportowej i džinsach i oprowadza po kościele. Pokazuje ławki, do których były przywiązane kozackie konie w czasie rzezi w Krozach. Widzę na ścianie wmurowaną tablicę nagrobną z fotografią księdza Polikarpa Maciejowskiego (zmarł w 1965 r.). Ksiądz prowadzi nas na plebania na śniadanie. Godzina 11-ta rano — dostajemy doskonałe zimne zakąski, a potem gorący kotlet. Znowu „Sowietskoje Szampanskoje” (podobno to najłatwiej można dostać), ale potem „Teachers Scotch”...

Jedziemy do Kielm i zwiedzamy dwór. Na dole są jakieś sale zebrania i biura, zaś na górze muzeum, zorganizowane głównie przez H.P., gdzie jeden pokój jest poświęcony pracom Matki.

Godzina 1.30 — musimy wstąpić do kierowniczk, gdyż przygotowała specjalnie dla nas „kugiel”. Znów jedzenie. To już trzeci suty posiłek z wódką. W końcu koło 3-ej dobijamy do Cytowian.

Odpoczynek nie trwa długo: już przed 4-tą jedziemy do torfowni, gdzie w sali fabrycznej zeszło się koło setki osób „żeby mnie zobaczyć”. H.P. długo mnie przedstawia, opisując historię rodziny, jej zasługi kulturalne i polityczne dla Litwy, areszty, wywożenia i zsyłki na Sybir. Potem ja zabieram głos. Opowiadam dzieje rodziców i rodzeństwa, ciężkie początki, osiągnięcia, rozrzucenie po świecie itd. Wszystko razem trwa około godziny. Na koniec piękna dziewczyna w stroju narodowym litewskim wręcza mi bukiet żółtych gladiolusów, przepasuje wstęgą ludową no i... całuje. Cała sala wstaje i śpiewa „*Ilgiausiu metu, ilgiausiu*” (litewska wersja „stu lat”). Podchodzi do mnie

siwy chłop, mówi że się ożenił z naszą służącą Zośką i że moja siostra jest chrestną matką ich córki. Prosi, by ją pozdrowić.

Po tej ceremonii jedziemy do lokalnego rzeźbiarza, który ma wyrzeźbić kapliczkę żmudzką ze „Smutkelisem”, którą postanowiono postawić we dworze na miejscu, gdzie dawniej stał krzyż. Oglądamy przygotowany do tej pracy, ścięty już dąb, dyskutujemy projekt, robimy zdjęcia.

Niedziela, 20 sierpnia

O 8-ej przyjeżdża po nas doktor K., który już od trzydziestu lat mieszka w Cytowianach. Zaczynał jako doktor w Pogryżowie, gdzie dziś jest szpital dla gruźlików. Jedziemy do Pogryżowa. W lesie cytowiańskim jest nowa dróżka do miejsca, gdzie się bronili powstańcy z 1863 roku i gdzie zginął Cytowicz. Stoi tam również pomnik. W Pogryżowie klomb, drzewa i park są porządnie utrzymane; sam pałac jako tako. Pogryżów jest dziś centrum około 7.000 ha, bardzo zamożnego kołchozu. Koło Kiszkoń — ogromna hodowla świń. Wieś Kiszkonie nie istnieje, ale na stawie młynu wodnego te same trzy sosny na wyspie.

Jedziemy do Szydłowa. O ile wszędzie główne drogi są asfaltowe, tu ze sześć kilometrów starego, żwirowanego gościńca. Mówi mi, że to umyślnie, wszystkie dojazdy do Szydłowa zostawiono w takim stanie, by utrudnić życie pielgrzymkom do świętego miejsca.

W Szydłowie kaplica Wiwulskiego odnowiona, troszkę za dużo złota jak na mój gust. Kościół również bardzo ładnie odnowiony, ale w tej chwili zamknięty, gdyż proboszcz dostał zezwolenie na założenie tam centralnego ogrzewania. Bardzo się spieszą, by skończyć roboty przed dorocznym odpustem 8 września.

Z Szydłowa jedziemy przez piękny sosnowy las do Lidowian. Troszkę sosen wycięto zaraz po wojnie na budowę tymczasowego mostu kolejowego w Lidowianach, gdyż stary Niemcy wysadzili w powietrze. Teraz most jest odbudowany i niczym nie różni się od starego. Mały kościółek był w czasie działań wojennych spalony i potem, w latach 1948-62, prawie własnoręcznie odbudowany przez miejscowego proboszcza, księdza Kazlauskasa. Ładny stary cmentarz.

Z Lidowian przez Sawdyniki (dziś nazwane Maironiai) i Pogryżów wracamy do Cytowian. Na obiad przychodzi prof. dr Simulis, najstarszy pediatra Litwy, profesor Uniwersytetu Wileńskiego. Podają nam tradycyjne „cepeliny”, czyli „kartacze” — wyjątkowo nawet zupełnie jadalne.

Po obiedzie jedziemy najpierw do kąpieli grobowej Prze-

ciewskich, którą obecnie odnawiają, a potem do kościoła. Tam czeka już na nas obecny proboszcz. Kościół bardzo ładnie odnowiony i wewnątrz i z zewnątrz. Wygląda lepiej niż przed wojną i jest pod ochroną jako zabytek historyczny. Niestety większość bernardyńskich fresków w krużgankach zamalowano, ale udaje mi się odszukać „sen żony Piłata” (scena przedstawiająca kobietę wynurzającą się spod kołdry i przeglądającą się w lustrze!). Ławek kolatorskich nie ma. Również srebrne „vota” zdjęto z ołtarza św. Antoniego dla zabezpieczenia przed kradzieżą. Idziemy za główny ołtarz do tzw. stalli bernardyńskich. Proboszcz pokazuje nam odnaleziony habit Bernardyna wraz z różańcem zrobionym z pestek wiśniowych. Jest na nim nie pięć, a siedem paciery.

Obchodzimy klasztor, do którego proboszcz nie ma jeszcze kluczy, gdyż przejmie go dopiero 1 września. Zabudowania gospodarcze będą zwrócone 1 stycznia. Przez okna oglądam piękny sufit refektarza. Tablicy nad drzwiami nie ma. Tłumaczę ten napis i wypisuję go dla księdza:

*Comedite ex oblatiis
Quod Deus dat Vobis gratis
Si non habebite satis
Mementote Pauperatis*

H.P. pyta proboszcza, czy po oddaniu klasztoru można by było w którymś z pokoi urządzić stałą wystawę prac Matki. Ksiądz się zgadza z entuzjazmem i mówi, że najodpowiedniejsza byłaby sala bezpośrednio nad refektarzem, gdzie za dawnych czasów była biblioteka.

Rozmawiam sam na sam z proboszczem, proszę go, by odprawił mszę św. w rocznicę zgonu Matki, 23 sierpnia. Składam ofiarę na kościół w wysokości 20 dolarów, które proboszcz szybko chowa do sutanny.

Jeszcze tego samego dnia, po pożegnaniu naszych gospodarzy wyruszamy w drogę powrotną do Wilna.

Poniedziałek 21 sierpnia

Koło 11-tej jedziemy do Fundacji Kulturalnej, odbieramy mój paszport (całą Litwę zjeździłem bez dowodu osobistego) i spotykamy się z prof. Kudabą. Rozmawiamy o Litwie, o moich wrażeniach, o możliwości wystawy prac Matki. Mówi mi, że w październiku wybiera się do Polski na zjazd „Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Litwy”, który organizuje dr Leon Brodowski. Prosi o książki Czesława Miłosza wydane przez paryską *Kulturę*. Ma już „Dolinę Issy”, ale chciałby przeczytać „Rodziną Euro-

pę”, „Zdobycie władzy” i „Zniewolony umysł”. (Dostarczyłem mu te książki kilka miesięcy później).

Następnie zaczynamy mówić o stosunkach polsko-litewskich. Prof. Kudaba mówi, że kraje, w których nie ma mieszanki kultur stają się sterylne, jałowięją. Dziś na Litwie żyje 80% Litwinów, 9% Rosjan, 9% Polaków i 2% pozostałych mniejszości jak Białorusini, Żydzi, Tatarzy i Karaimi. Rosjanie są głównie skoncentrowani w trzech punktach: Wilnie, Kłajpedzie i Ignalinie (elektrownia atomowa — identyczna jak Czarnobyl). Polacy są w okolicach podwileńskich, Żydów jest około 15.000, głównie w Wilnie, Kownie i innych miastach.

Skąd się bierze nowa fala antagonizmu polsko-litewskiego? Jest to objaw smutny, ale nie tak trudny do zrozumienia. Przede wszystkim gros inteligencji polskiej z tych stron albo zostało wywiezione przez Rosjan, albo zlikwidowane w czasie wojny przez Niemców. Pozostali w latach 1945-1948 wyjechali do Polski. Zostawiło to mniejszość polską bez przywódców. Mimo, że na Litwie jest dziś około 90 szkół polskich, miejscowi Polacy chcąc zapewnić lepszą przyszłość swoim dzieciom, łatwiejsze przyjęcie na uniwersytety i kariery w Związku Sowieckim, w wielu wypadkach oddają swoje dzieci do miejscowych szkół rosyjskich. Gdy w czerwcu 1988 roku zaczął się na Litwie ruch separatystyczny i samoobrona przed stałym napływem rosyjskim, Sajudis i ustawy wprowadzające język litewski jako obowiązkowy, to Polacy, względem których Litwini tradycyjnie byli niechętni, postanowili stanąć po stronie mniejszości narodowych i wspólnie z Rosjanami bronić swych praw. Zresztą nie ma też zgody między Polakami na Litwie. Jedni do tych spraw podchodzą tak, a drudzy inaczej.

Po tej długiej i ciekawej rozmowie jedziemy do notariusza, gdzie wyrabiam zaproszenie do Belgii dla H.P. i jego żony. Ciekawe wydarzenie: w biurze notariusza maszynistka nie tylko nie zna języka litewskiego, ale nie umie czytać łacińskiego alfabetu!

Wieczorem rozmawiamy o przemyśle na Litwie. Nadal istnieją trzy duże cukrownie w Mariampolu, Kurszanach i Poniewieżu, Szawlach, Taurogach, Olicie, Druskiennikach i Kłajpedzie. Również fabryka przetworów rybnych w Kłajpedzie. W większych miastach Litwy są również kombinaty mleczarskie. W ogóle rolnictwo wytwarza około 30% dochodu narodowego Litwy.

Są trzy wielkie elektrownie: jedna ciepła (gaz) w Elektrenai (zupełnie nowe miasto między Kownem a Wilnem, liczące dziś 30 tys. mieszkańców); hydro-elektrownia na zalewie Niemna powyżej Kowna, koło Rumszyszek, no i atomowa w Ignalinie. Poza tym istnieje szereg mniejszych elektrowni.

Telewizory są robione w Wilnie i w Szawlach, zaś radia w Kownie. W Wilnie jest rozwinięty przemysł lekki: robią tu motory elektryczne, świdry elektryczne, szlifiarki i frezarki. Poza tym jest tu ogromny przemysł elektroniczny dla celów wojskowych. Jedna fabryka („Skrzynka pocztowa Nr 5”) zatrudnia około 5 tys. pracowników i Litwini żartują, że jak oni zastrajkują, to rosyjskie rakiety i satelity przestaną latać.

W Olicie jest ogromna fabryka lodówek i prefabrykowanych domków. W Oszmianach cementownia i jeden z największych kombinatów łupków oraz żelbetonowych elementów konstrukcyjnych. Są fabryki przeróbki drzewa i szereg fabryk mebli. W Możejkach znajduje się wielka rafineria, która zaopatruje wszystkie trzy kraje bałtyckie w paliwo. Doprowadzony jest do niej rurociąg z Rosji.

Litwini oczywiście się złością, gdyż mówią, że Rosjanie zostawiają im zaledwie 10% produkcji, a resztę zabierają. Poza tym, przyjeżdżają z Rosji i innych republik „pociągi przyjaźni” i wszystko wykupują ze sklepów. Doszło do tego, że na Litwie i Łotwie pewne artykuły w sklepach sprzedawane są tylko za okazaniem paszportu, wykazującego zamieszkanie na terenie republiki.

Wtorek, 22 sierpnia

Rano jedziemy do Wajdotów. Jest to piękny majątek koło samego Wilna. Stary park ze srebrnymi topolami. Pałac Łeckich, dach przecieka, przepiękne parkiety gniją... Naprawdę jest to zadziwiające, że ten kraj, który pod tyłu względami jest tak ładnie zagospodarowany, szanuje drzewa, lubi kwiaty, ma schludne domki i mieszkania, tak zupełnie doprowadził do ruiny tyle przepięknych dworów i pałaców. Musiała to być jednak jakaś świadoma akcja, lub też połączenie klasowej i narodowej niechęci, by zniszczyć tak wspaniały dorobek kulturalny. Z przeszło pięciu tysięcy pięknych dworów i rezydencji pozostały zaledwie nieliczne.

Z Wajdotów wyruszamy do Trok. Troki to piękne miasteczko otoczone jeziorami. Na wyspie ruiny zamku Giedymina. W miasteczku, na wzniesieniu, jeden z najstarszych kościołów na Litwie, wybudowany jeszcze przez Wielkiego Księcia Witolda w XIV wieku.

Kościół czy też fara jest teraz odnawiany. Restaurator, z którym rozmawialiśmy, pracował nad głównym ołtarzem, ale znajdującą się tam kaplica romerowska też zostanie prawdopodobnie odnowiona.

Po wyjściu z kościoła jedziemy ulicą Karaimów. Inna mor-

fologia ludzi; widać wpływ południa. Stoi piękny biały Kneset Karaimów. Mówią mi, że Karaimowie do dziś dnia zachowali nie tylko swoją religię, ale i swój język, podczas gdy Tatarzy, których jest jeszcze szereg wioszek z meczetami, zachowali już tylko religię.

Jedziemy dalej. Na wyspie zamek, troszkę zanadto odnowiony. Następny postój to cmentarz na Rossie. Grób serca Marszałka i jego Matki przykryty świeżymi kwiatami, jak również wiele grobów legionistów. Idę na grób rektora Michała Romera — napis tylko po litewsku i na kamieniu nagrobnym wryta podobizna i charakterystyczny podpis. Grób ten znajduje się niedaleko grobu Kudirki i Syrokomli.

Po obiedzie spędzamy kilka godzin w dawnej Bibliotece Wróblewskich, dziś „Mokslo Akademijos Centrine Biblioteka”. Pokazują mi najpierw albumy z fotografiami, prosząc o identyfikację. Niestety większość tych albumów pochodzi z Janopola i niedużo osób może poznać. Robię notatki. Jest tam dużo bardzo ciekawych rękopisów, listów, materiałów. Z najbardziej interesujących mnie: wspomnienia i dziennik Heleny Romer Ochenskowskiej, podróże po dworach opisane w 1843 roku przez Henryka Romera i inne.

Wieczorem widzimy w telewizji ogromne manifestacje na Górze Trzykrzyskiej w przeddzień 50-lecia paktu Ribbentrop-Mołotow. Przemawiają przywódcy Sajudisu i partii. Śpiewy patriotycznych pieśni litewskich. Na ogół Litwini trzymają się bardzo ładnie razem. Połowa członków Sajudisu to członkowie partii. Zasadą jest, że najpierw się jest Litwinem, a potem komunistą lub czymś innym i nie ma tak strasznego podziału na „my” i „oni” jak np. w Polsce.

Od kilku dni telewizja pokazuje program mającego się jutro odbyć „łańcucha” od Wilna przez Rygę do Tallinna. Podaje instrukcje, jakie miasta czy powiaty są odpowiedzialne za jaki odcinek drogi, gdzie będą czekać autobusy, gdzie należy parkować prywatne samochody itp.

Środa, 23 sierpnia

Zasadniczy mój program jest już prawie zakończony. Dziś jedziemy przejść się po sklepach, które są lepiej zaopatrzone niż w Polsce, ale też raczej słabo. Mleka, kefirów, jajek, serów żółtych i białych w bród, jak również mąki, makaronów i tym podobnych, ale z mięsa to tylko głowy świńskie i nóżki. Jednym słowem z głodu nie umrzesz, ale na dłuższą metę to nudne. W sklepie ubraniowym podobnie: goły nie bédziesz, ale konkursu mody nie wygrasz. Lepiej jest z koszulami, podko-

szulkami, skarpetkami i pończochami. Są sklepy dolarowe dla obcokrajowców i Litwinów, którzy takie posiadają. Na Litwie „zielone” są dobrze znane. Według oficjalnych danych, pokrycie rubla towarem wynosi zaledwie 17%. Skutkiem tego ludzie mają „za dużo” pieniędzy. W Polsce stosunek oficjalnego dolara do wolnorynkowego był wówczas 1:8. Tam oficjalnie dostaje się za dolara 63 kopiejki, a po „czarnym kursie” 10 do 15 rubli, czyli 1:18.

Jedziemy do pałacu Masalskich w Werkach. Tylko w jednym skrzydle jest około 8 pokoi odnowionych, nawet niezłe. W jednej sali ładne, stare, czeczotkowe meble. Mówią mi, że pochodzą one z przedwojennego poselstwa Litwy w Moskwie. Wracamy przez Zielone Stawy, piękne sosnowe lasy, Wołokumpie i Antokol.

Po południu czeka mnie jeszcze oficjalny wywiad w telewizji litewskiej. Pytają mnie o zwyczaje w naszym domu, sposób pracy Matki, losy rodziny. Dziękuję Fundacji za zaproszenie i mówię o projektowanej wystawie. Wreszcie, by nie było nieporozumień lub też fałszywej interpretacji, wspomina, że Ojciec był jednym z przywódców mniejszości polskiej na Litwie, ale jednocześnie lojalnym obywatelem państwa litewskiego, że całe życie walczył o konstytucyjne prawa mniejszości polskiej i o szkolnictwo polskie na Litwie.

Wracamy przez miasto. Wszędzie pełno ludzi i samochodów z zapalonymi światłami, znak, że jadą na tworzący się łańcuch ludzki od Wilna do Tallinna. Podobno służba bezpieczeństwa jest w pełnym stanie gotowości, ale jej jest tutaj stosunkowo niedużo, a milicji w ogóle się nie widzi.

Czwartek, 24 sierpnia

Rano jedziemy jeszcze do Muzeum Etnograficznego Litwy, mieszczącego się na Arsenalskiej, w gmachu dawnej komendy. Nie mam ani czasu, ani energii, żeby dużo tam oglądać, ale idziemy do pokoju, gdzie przedstawiony jest ruch wolnomularski na Litwie, historia Łoży Gorliwego Litwina. Poza zbiorami przeróżnych oznak i symboli masonskich wisi tam piękny duży portret olejny marszałka Michała Romera, Wielkiego Mistrza Łoży, malowany przez Rustema.

Po południu H.P. z Edną odwieźli mnie na dworzec. O 18-tej pociąg odchodzi w stronę Warszawy.

Andrzej T. ROMER

Flaga

Niejaki Puko, dozorca domu przy Alei Zwycięstwa, został oskarżony o sabotaż. Do jego obowiązków należało wywieszanie flagi państwowej podczas państwowych uroczystości. Otóż zdarzyło się, że owej flagi nie wywiesił, kiedy był powinien.

Przed sądem tłumaczył się, że dokładał wszelkich starań, żeby flagę wywiesić, ale — według jego własnego sformułowania — „flaga ta wywiesić się nie chciała”.

To absurdalne nieprzyjęcie odpowiedzialności pogorszyło tylko jego sytuację. Jednakże jego obrońca, na podstawie długich i cierpliwych z nim rozmów, a następnie wizji lokalnej ustalił, że oskarżony rzeczywiście starał się wywiesić flagę. Ale nie mógł, ponieważ niósł ją poprzecznie, skutkiem czego drzewce flagi zawadzało o framugę drzwi wyjściowych i — pomimo dobrej woli i wielokrotnie ponawianych wysiłków oskarżonego — nie pozwalało na umieszczenie flagi na zewnątrz budynku.

Pytanie, dlaczego oskarżony nie niósł flagi na sztorc, czyli równolegle, a nie prostopadle do kierunku wyjścia na ulicę, pozostało otwarte. Obrońca postawił tezę, że oskarżony — jako niezbyt rozzgarnięty od urodzenia — nie dysponował dostateczną ku temu inteligencją. Zażądał więc uniewinnienia na podstawie owej niedyspozycji.

Czym oburzył opinię publiczną. Bowiem jego teza, oparta na założeniu, że istnieją różne stopnie inteligencji, była z gruntu reakcyjna.

Nie znaczyło to jednak, że opinia publiczna była po stronie oskarżyciela. Oskarżenie było państwowe, zaś państwo nie cieszyło się popularnością. Sympatia publiczna była po stronie oskarżonego, który wnet stał się bohaterem ugrupowań liberalnych i anarchistycznych. Na murach pojawiły się napisy: „Uwolnić

Puko!” i „Puko na Prezydenta!”. Doszło do manifestacji i starć z policją.

Rząd zebrał się na nadzwyczajnym posiedzeniu i rozważył alternatywy.

1. Wycofać oskarżenie. Ale wtedy narazić się opinii publicznej przyjmując tezę, że oskarżony jest niewinny, bo głupi. W dodatku okazać słabość wobec anarchistycznych żądań.

2. Podtrzymać oskarżenie. Ale wtedy rozdrażnić liberałów oraz wywołać anarchistyczne rozruchy.

Rząd znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Sąd jednak znalazł wyjście. Powołując się na Prawa Człowieka uznał, że każdy ma prawo wywieszać flagę w taki sposób, w jaki mu się podoba. Fakt, że drzwi były za wysokie, aby oskarżony mógł wywiesić flagę swoim sposobem, a więc poprzecznie, uznano za obiektywną przyczynę kryzysu.

Sąd postanowił sprawę umorzyć, a drzwi poszerzyć na koszt państwa.

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. • Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London 3W5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madam C. Piquard-Zabłocki,

12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,

Tel.: 42 85 79 45

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

PIEŚŃ O NIBELUNGACH, ALE BEZ PIERŚCIENIA

(trylogia dramatyczna poety Chr. Fr. Hebbła, przedstawiająca walkę między duchem gasnącego pogaństwa niemieckiego i posłaniem ewangelicznym. Wersja uaktualniona, przejrzana i poprawiona).

Trzynastka znowu okazała się feralna. Konferencja, która z początkiem lutego sprowadziła do Ottawy państwa członkowskie Paktu Atlantyckiego i Paktu Warszawskiego, miała — oficjalnie — zająć się sprawą „otwartego nieba”, to znaczy dopuszczeniem samolotów zwiadowczych jednego paktu do latania i szpiegowania nad terytorium drugiego paktu. Sprawa niepoważna, bo oba paktory i tak wszystko o sobie wiedzą, choćby z satelitów, a także z obserwacji własnych, lądowych, stąd nie trzeba się dziwić, że w istocie, zamiast otwierać niebo, konferencja zajęła się zamykaniem drzwi. Przez niektórych jej uczestników przed innymi jej uczestnikami. Jak mawiał Orwell, wszyscy w Ottawie byli równi, ale niektórzy byli równiejsi.

Wczesnym rankiem owego feralnego 13 lutego, kiedy większość ministrów państw obu bloków błędziła z nudów po kulisach Centrum Kongresowego w Ottawie, dwóch panów, skromnie, jak para zakochanych, stanęło w kącie hallu kongresowego i szeptało sobie do ucha. (Mówię dwóch, choć faktycznie było ich trzech. Trzecim był tłumacz, ale tłumacze nie mają płci). Parą zakochanych nie mających wspólnego języka byli panowie Baker i Szewardnadze, ministrowie spraw zagranicznych USA i ZSSR.

Szeptanie było ważne, nie tylko dla obu państw. W kącie w Ottawie załatwiona mianowicie została sprawa sposobu, w jaki przeprowadzone zostanie zjednoczenie Niemiec. Niby drobiazg, a cieszy.

Zmierzch bogów

Trzeba było wielodniowego wysiłku kilku najzdolniejszych reporterów, aby odtworzyć historię tej szeptanki. Oto jej opracowany i uzupełniony przez *Kulturę* przebieg.

a) Wszystko się zaczęło niedługo po obaleniu muru, kiedy zawały się wszystkie scenariusze opracowane na koniec roku 1989. Nawet najbardziej desperacki „gryplan” nie przewidywał takiego tempa i takiego parcia NRD na zachód. Kiedy więc tylko dyplomaci amerykańscy wyszli z zaskoczenia i doszli do wniosku, że zjednoczenie Niemiec jest nie tylko nieuniknione, ale że, spontanicznie lub pod kontrolą, nastąpi w bardzo szybkim terminie — rozpoczęły się konsultacje Waszyngtonu z Londynem i Paryżem co do metody zjednoczenia. Chodziło o uzyskanie konsensusu zanim przystąpi się do rozmów z Moskwą.

b) Konsensus polegał m.in. na ustaleniu decydującej roli tzw. wielkiej czwórki w kontroli procesu zjednoczenia i włączeniu RFN do dyskusji od samego początku.

c) Projekt naturalnie nie wywołał sprzeciwu RFN. Odwrotnie, kiedy tylko RFN została dopuszczona do super-wielkiego stołu, od razu zażądała nie tyle zmiany menu, co ograniczenia liczby biesiadników: nikt z innych zainteresowanych, poza NRD, nie zostanie dopuszczony do grona wybranych.

I tak się stało. W ten sposób narodził się koncept „dwa plus cztery”. Dwa, to znaczy dwa państwa niemieckie, które mają uzgodnić między sobą polityczne, gospodarcze i prawne warunki zjednoczenia. Cztery, to znaczy czterej zwycięzcy drugiej wojny światowej, którzy załatwią resztę, to znaczy elementy wojskowe i międzynarodowe zjednoczenia, w tym sprawy bezpieczeństwa sąsiadów, granic itd.

Autorzy pomysłu i uczestnicy biesiady postanowili przy tym utrzymać wszystko w głębokiej tajemnicy przed natrętami, to znaczy ich własnymi sojusznikami. *Man kann singen, man kann tanzen, aber...* państwo znają resztę.

d) Kiedy już, w trakcie rozmaitych — mniej lub bardziej spiskowych — spotkań (z Francuzem Dumas Baker spotkał się, oczywiście potajemnie, w trakcie międzyładowania, na jakimś lotnisku w Irlandii), formuła „dwa plus cztery” została przez Zachód uzgodniona, nie pozostało nic innego jak tylko sprzedać cały pomysł Kremłowi (NRD nie warto było nawet pytać o zdanie).

7 lutego Baker wylądował w Moskwie. Tej samej nocy miał randkę z Szewardnadze. Ale gdy tylko wyjął z kieszeni swój pro-

jekt „dwa plus cztery”, Szewardnadze zaniemówił. To nie dla mnie, powiedział, z tym trzeba iść do szefa.

8 grudnia rano, przy ogromnym stole w sali Katarzyny na Kremlu, Baker zreferował projekt szefowi. Gorbaczow uważnie wysłuchał, ale entuzjazmu nie zdradził. Wyraził tylko pogląd, że byłoby przyjemniej rozmawiać w czwórkę, bez Niemców, ale nie dał żadnej wiążącej odpowiedzi.

Następnego dnia, a była to już sobota, Baker opuszczał Moskwę. O tej samej godzinie do Moskwy przylatywał Kohl z Genscherem. Baker mógł się z nimi spotkać, ale — człowiek dobrze wychowany — nie chciał urazić i wzbudzić podejrzenia Francuzów i Anglików, że coś kręci za ich plecami, więc zostawił tylko Kohlowi kilkustronicowe memorandum na temat rozmowy z Gorbaczowem. Po czym, tranzytem przez Rumunię i Bułgarię, udał się do Ottawy, gdzie udawał, że otwiera niebo, a faktycznie szeptał po kątach.

Reszta ministrów nawet się dziwiła, że wielka czwórka jest tak często nieobecna, ale w końcu otwieranie nieba to nie prosta sprawa.

W istocie Baker biegał od Dumasa do Hurda i Genschera, albo odwrotnie, a potem do Szewardnadze. Ktoś z otoczenia Bakera powiedział potem, że gdyby kanadyjski wywiad nagrał (może nagrał?) rozmowy telefoniczne między ministrami, to miałyby zapis najbardziej fascynującego epizodu w powojennej dyplomacji.

Ów 13 lutego zaczął się od pierwszego śniadania zachodnich ministrów w ambasadzie RFN w Ottawie. Przy kawie projekt komunikatu o „dwa plus cztery” był gotowy. Pozostawało dać go do podpisania Szewardnadzemu. Wydarzenia w Niemczech rozwijały się już z taką szybkością i ryzyko utraty wszelkiej kontroli nad żywiołem jednoczeniowym było tak duże, że Kreml powinien się zgodzić.

Baker dopadł Szewardnadze w owym historycznym kącie w hallu. Miał w ręku świstek papieru, z którego, poprzez tłumacza, czytał projekt tekstu komunikatu. Szewardnadze poprosił, aby tłumacz mu ten tekst napisał po rosyjsku i powiedział, że musi go przeczytać Gorbaczowowi. I poszedł do telefonu. Baker zaś poszedł otwierać niebo. Wiedział, jak funkcjonują telefony w Moskwie i zgodnie z logiką nie spodziewał się szybkiej odpowiedzi.

Ale nie minęły dwie godziny, a Szewardnadze był z powrotem. Gorbaczow się zgadza, ma tylko niewielkie poprawki. M.in. z myślą o Polakach (Pan wie, jacy oni są wrażliwi), Gorbaczow proponuje, aby do komunikatu dopisać zdanie, że „dwóch plus czterech” zajmą się również „kwestią bezpieczeństwa sąsiadów” zjednoczonych Niemiec.

Teraz już można było wezwać fotografów i reporterów. Nikt z nich nie wiedział, po co ani dlaczego akurat tych sześciu ministrów uśmiechniętych, gotowych do pamiątkowego zdjęcia. Niektórzy z pozostałych kilkunastu ministrów — ale to nie pierwszy raz — dowiedzieli się o kombinacji „dwa plus cztery” od dziennikarzy w barze, a inni po prostu z radia i prasy. Paru ministrów, belgijski czy włoski np., chcieli się wmieszać i wnieść poprawki do komunikatu, w sensie uwzględnienia bezpieczeństwa nie tylko sąsiadów, ale w ogóle Europy, ale odpowiedziano im krótko i węzłowato, żeby się nie mieszało do nie swoich spraw, bo ta dziedzina jest prawnie zastrzeżona dla wielkiej zwycięskiej czwórki, a nie dla byle pęćtaków.

Złoto Renu

Tak więc, wiek XX kończy się tak, jak się zaczął: zjednoczony Reich jest największą potęgą na kontynencie. Wszyscy wydają się zaskoczeni. Przez 45 lat wołali, że Europę zdradzono w Jałcie, przez 30 lat żądali zwalania muru, wraz z Kennedym wszyscy byli berlińczykami, wraz z Reaganem dumnie wzywali: „Mr. Gorbaczow, *bring this wall down*”.

Ale kiedy Gorbaczow wysłuchał, zwałił mur, wyszedł z Jałty i uruchomił proces jednoczenia Niemiec, kiedy historia zaczęła się naprawdę spieszyć, wtedy okazało się, że dla nich to za szybko, że nie są do tego przygotowani.

Wir sind wieder wer, znowu jesteśmy kimś — powiedzieli Niemcy — a po Europie powiało grozą. Okazało się, że zjednoczone Niemcy to coś więcej niż suma dwóch państw niemieckich. I po Europie powiało chłodem.

Najpierw przemówiła Historia. Przypomniano sobie, że nowoczesne Niemcy były dwa razy zjednoczone: po 1871 roku przez Bismarcka i po 1933 przez Hitlera. Analogia jest nieprzyjemna: dwa zjednoczone Reichy wywołały dwie wojny światowe. Ja wiem, że to uproszczenie, ale historia nie jest subtelna. Słowa Elie Wiesela, że „my Żydzi nie możemy patrzeć na zjednoczenie Niemiec bez uczucia wewnętrznego niepokoju”, dotyczą także — naturalnie — Polaków, Francuzów i w ogóle wszystkich.

Genscher bez przerwy powtarza słowa Tomasza Manna z 1952 roku, że „my chcemy europejskich Niemiec, a nie niemieckiej Europy”, ale niestety to wszystko kwestia nie literatury, a wyobraźni. I pamięci. Zresztą Genscherowi wystarczy zacytować słowa innego Niemca, trzeźwego politologa Arnulfa Baringa z Berlina, zaczerpnięte z jego nowego best-sellera „Nasza nowa megalomania”. Niemcy — powiada Baring — mają „nieodpartą

tendencję do przeceniania się, do irracjonalnej wiary, że my Niemcy potrafimy przenosić góry”.

Do tego można dopisać posag, jaki wniesie do ogólnoniemieckiego małżeństwa państwo pod nazwą NRD. Dopiero na łożu śmierci Niemiecka Republika Demokratyczna uznała, że zamieszkująca ją część narodu niemieckiego także ponosi odpowiedzialność za okropieństwa hitlerowskie, Oświęcim i Warszawę. W sprawie syjonizmu NRD była najlepszą uczennicą sowietyzmu, ale resentymenty 16 milionów obywateli NRD nie ograniczały się do Żydów. W NRD nie lubiano także np. Polaków, o czym można się było przekonać w ostatniej fazie historii NRD, kiedy tuż przed obaleniem muru w witrynach sklepowych pojawiły się napisy *Nur für Deutsche*, skierowane tym razem do nie Żydów, a do Polaków.

Trzy pokolenia wschodnich Niemców były wychowane w prusko-komunistycznym poglądzie na świat. Nikt nigdy im nie tłumaczył, że hitleryzm powinien stać się częścią także ich sumienia i ich pamięci. Odwrotnie, teraz im się wmawia, że to oni są prawdziwymi ofiarami nacjonalizmu hitlerowskiego, że to oni zapłacili największą cenę za porządek pojałtański, tak jakby to nie Niemcy, a ktoś inny odpowiedzialny był za wojnę i hitleryzm.

Otóż wielu z nich, za kilka lat, uczestniczyć będzie w rządzeniu już nie tylko wschodnimi Landami zjednoczonych Niemiec, ale w rządzeniu Niemcami w ogóle. Jakie wartości wniosą ci przeszczepieni Niemcy do przyszłego państwa niemieckiego?

To nie będzie banalne państwo. Zjednoczone Niemcy to nie wymazanie granicy między dwoma państwami dotąd figurującymi oddzielnie na mapie Europy. To będzie inna jakość. Niemcy będą pępkiem kontynentu. Fakt przejścia całej Europy środkowej i wschodniej, a częściowo i ZSSR, na tory gospodarki rynkowej, w istotny sposób powiększy ciężar gatunkowy Niemiec w statystykach kontynentu.

Już dziś Niemiecka Republika Federalna to najpotężniejsza gospodarka europejska. RFN jest pierwszym partnerem handlowym wszystkich (z wyjątkiem Irlandii, związanej ciągle z Anglią) pozostałych państw Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Pierwszym także (z wyjątkiem Norwegii) wszystkich państw o gospodarce rynkowej spoza EWG i absolutnie pierwszym partnerem, bez żadnych wyjątków, dla wszystkich byłych państw komunistycznych. 80 % importu NRD pochodzi — ale to normalne — z RFN, ale także 40 % importu Węgier, 39 % — Czechosłowacji, 36 % — Polski itd.

W sumie RFN to dziś jedna piąta całego eksportu OCDE, czyli organizacji zrzeszającej 24 państwa kapitalistyczne, najbardziej uprzemysłowione. Ja wiem, że cyfry są nudne, ale to co dalej warto przeczytać uważnie:

Zjednoczone Niemcy to 15 % powierzchni EWG, 23 % jej ludności, 25 % jej siły roboczej, 30 % jej PNB czyli produktu narodowego brutto, i 31 % eksportu OCDE.

Inaczej mówiąc eksport zjednoczonych Niemiec przekroczy 354 miliardy dolarów, będzie wyższy od eksportu USA (321 miliardów), Japonii (265 miliardów), no i naturalnie daleko od ZSSR z jego nieco ponad 110 miliardami rocznie. Co ciekawsze i zaskakujące, nadwyżka w bilansie płatniczym RFN jest już dziś wyższa nawet od legendarnej pod tym względem Japonii. W statystyce PNB, czyli wytworzonego bogactwa ale w przeliczeniu na jednego mieszkańca, USA przodują — prawie 20.000 dolarów na głowę, przed Japonią — 14.300, zjednoczonymi Niemcami — 14.000, no i przed ZSSR — 8.850.

Fachowcy nas uspokajają. Zjednoczenie będzie dla RFN bardzo kosztowną operacją, powiadają. Czyżby? Niewiele wiadomo na temat prawdziwego stanu gospodarki wschodnioniemieckiej. Kilka legend na ten temat mamy już za sobą. Ale przyjrzyjmy się temu bliżej. Sytuacja jest bez precedensu: nigdy jeszcze w historii jedno państwo nie musiało i nie mogło wykupić innego państwa, tak jak to jest w tym przypadku. RFN musi wykupić NRD, bo inaczej zjednoczenie się odbędzie tylko na zachodniej części przyszłego zjednoczonego państwa: żaden Niemiec wschodni przy zdrowych zmysłach nie będzie przecież chciał za wszelką cenę mieszkać po wschodniej stronie, za byłym murem, gdzie poziom życia jest dwukrotnie niższy, gdyby RFN nie chciał pokryć różnicy.

Tak więc dziś już nie ma wyboru. Klamka zapadła. Aby zjednoczenie wyhamować, nie mówiąc już o jego wstrzymaniu, trzeba by zbudować nowy mur, ale tym razem od strony zachodniej. Brednia. W 1989 roku — przypominam — kiedy przez ponad 10 miesięcy istniała jeszcze NRD Honeckera, 350.000 Niemców wschodnich przedostało się do RFN. W tym roku ludność RFN zwiększa się o 50.000 wschodnich Niemców miesięcznie. Ten proces trzeba wstrzymać. I to rzeczywiście musi kosztować.

Ile? Obliczenia oscylują wokół 500 miliardów DM w ciągu 10 lat. Suma kolosalna rzeczywiście, oszałamiająca. A jednak... 500 miliardów DM przez 10 lat daje 50 miliardów rocznie, co równa się dokładnie 2 % zachodnioniemieckiego PNB. Inaczej mówiąc, przy umiejętnym rozłożeniu ciężarów między państwo, przedsiębiorczość prywatną i banki, nie będzie to operacja zbyt bolesna.

Zresztą, jak się okazuje, na początek trudność polegać będzie nie tyle na uruchomieniu zachodnioniemieckich rezerw finansowych, co na możliwości ich rozumnego wykorzystania w

Niemczech wschodnich. Według fachowych obliczeń, obecny pułap wschodnioniemieckiej absorpcji zachodnioniemieckiego kapitału wynosi 20 miliardów DM rocznie, czyli mniej niż połowę tego, co RFN powinna i zapewne mogłaby wstrzyknąć. Zjednoczenie będzie więc drogie, ale na krótką metę nie zrujnuje Zachodu, a na dłuższą nawet go wzbogaci.

Zemsta Krymhildy

Niedługo więc 80 milionów Niemców zajmie w ramach zjednoczonego państwa niemieckiego obszar między Renem a Odrą. Nie chodzi tylko o geografie i o mapy, które trzeba będzie na nowo rysować. Chodzi o politykę. Zjednoczenie Niemiec zmieni naturalnie to, co się zwykle określać jako równowagę sił w Europie. Nie teraz miejsce na analizowanie powodów, dla których tak się stało, a przede wszystkim logiki polityki sowieckiej w tym zakresie (to inny temat). Jasne jednak, że sytuacja strategiczna jest dziś inna niż była, kiedy potencjał gospodarczy i wojskowy państwa wschodnioniemieckiego był elementem składowym potencjału bloku wschodniego, a przede wszystkim Związku Sowieckiego. Koniec NRD oznacza (jeszcze jeden) koniec Paktu Warszawskiego, co z kolei oznacza wzmocnienie pozycji Zachodu w ogóle, a nowego państwa niemieckiego w szczególności.

Jeżeli zsumować potęgę gospodarczą zjednoczonych Niemiec, dynamikę ekspansji eksportowej, potencjał demograficzny (najliczniejsze państwo Europy, poza ZSSR) oraz liczebność wojsk (połączone wojska niemieckie liczyć będą 1,8 miliona ludzi w służbie czynnej i rezerwie), to kroi się obraz nowej super-potęgi w sercu kontynentu.

Nie chodzi o super-potęę w klasycznym rozumieniu tego pojęcia. Sytuacja się zmieniła i kryteria także. Świat jest w okresie stabilizacji i ogólnej równowagi, wojna światowa nam nie zagraża, czynnik wojskowy stracił na znaczeniu. Kiedy możliwe są już tylko konflikty lokalne, i to z dala od tradycyjnych, to znaczy europejskich linii najwyższych napięć między USA a ZSSR, to wtedy inne kryteria, przede wszystkim gospodarcze i finansowe, determinują status super-potęgi.

Niemcy zachodnie (i Japonia, ale to też inny temat) miały szczęście: przegrały wojnę i zostały zniszczone. Dzięki temu nie tylko musiały wybudować nowoczesny przemysł i nowoczesną infrastrukturę i logistykę gospodarczą, ale także przez dłuższy czas były zmuszone do nieponoszenia wydatków na zbrojenia. Dziś zresztą ciągle nie wydają centa na bronie nuklearne.

Mniejsza o przyczyny, konkluzja jest jasna: Niemcy zjednoczone będą taką właśnie super-potęgą czasów końca XX i początku XXI wieku. Gospodarczą, ale i psychologiczną także.

Podzielone Niemcy były częścią nie tylko strategicznego, ale i psychologicznego porządku w Europie. Teraz i ten porządek ulega zmianie. Niemcy bogate, ale podzielone, były „skromne”. Zjednoczone Niemcy przestaną nimi być. *Newsweek* cytuje anonimowego — jak zwykle w takich przypadkach — doradcę kanclerza Kohla. „My możemy i chcemy przewodzić — powiada doradca. — Niech Stany Zjednoczone zajmą się Ameryką środkową, a my zajmiemy się Europą wschodnią”.

To, co publicyści nazywają arogancją Kohla, to nie jest tylko arogancja. Kohl tylko wysnuwa wnioski z pozycji, jaką jego kraj zajmuje już i zajmie w Europie i na świecie. Nawet gdyby Kohl nie był zdolny (bo rzeczywiście robi to nieudolnie, o czym później) albo nie chciał takich wniosków wysnuwać, to zrobiłby to ktoś inny. Taka jest bowiem logika i mechanizm potęgi: ona sama stwarza dynamikę przewodzenia, politycy się do niej tylko dostosowują.

Politologzy nam tłumaczą, że to nie ci sami Niemcy, że to inni od tych, którzy poszli za Hitlerem. Obecni Niemcy — powiadają — są przywiązani do demokratycznych wartości. Nie raz przecież to udowodnili. Wojsko niemieckie nie jest groźne, będzie coraz mniej liczebne, bo i tak idzie rozbrojenie. Być może. Może rzeczywiście wchodzimy w fazę tego, co jeszcze niedawno określaliśmy jako utopię ogólnego kochajmy się, w którym Niemcy siac będą tylko ziarno zgody, dostatku i postępu. Ale historia *magistra vitae*. Ona uczy, że potęga gospodarcza rodzi ambicje polityczne.

Tak więc można bez większego ryzyka powiedzieć, że choć nadal wszyscy będą równi w EWG i w Europie, to Niemcy będą równiejsze. Bruksela się zastanawia, czy Niemcy zażądają większego wpływu na decyzje w tych organach, w których — jak w Radzie Ministrów EWG na przykład — wielkie państwa mają więcej głosów od małych. To pytanie nie ma sensu, tu nie chodzi o proporcje statystyczne. Niemcy BĘDĄ miały większy wpływ na decyzje, bo będą więcej ważyć. Kiedyś alfą i omegą strategii zachodniej Europy była równowaga między Francją a Niemcami. Kto dziś, a zwłaszcza jutro, może w ogóle o takiej równowadze mówić?

Wierzę Genscherowi, kiedy woła, że nie chce niemieckiej Europy, a chce europejskich Niemiec, ale to nie wystarczy. Do tego trzeba nie tylko Niemiec, ale i Europy. A Europy jeszcze nie ma. Ta, która jest, jest na super-potęężne Niemcy za słaba.

Europejska wspólnota gospodarcza to jeszcze nie Europa, to na razie 12 państw złączonych unią celną. Po to, aby zycze-

nie Genschera mogło się ziszczyć, potrzeba czegoś więcej. Taka Europa, która byłaby w stanie rzeczywiście wchłonąć niemiecką super-potęęgę, musiałaby mieć nie tylko wspólny handel wieprzowiną (choć i to nie jest takie pewne), ale i wspólną obronę i wspólną politykę zagraniczną. A do tego daleko.

„Nie będzie czwartego Reichu” — zapewnia Brandt.
Będzie.

Zygfryd Mazowiecki

We współczesnej Europie historycy i politycy prawidłowo nie przewidzieli właściwie niczego. Żeby zostać w naszych czasach, wystarczy wymienić pakt Hitler-Stalin, agresję Hitlera na ZSSR, zerwanie ZSSR z Chinami, no i naturalnie, teraz niedawno, polską Solidarność, pucz Jaruzelskiego, nadejście Gorbaczowa, rozbicie muru berlińskiego, upadek sowieckiego imperium itd. Można by przypomnieć Cromwella, który przestrzegał ówczesnych politologów, ojców Kościoła szkockiego: „Weźcie pod uwagę, że możecie się mylić”, ale to się ani wtedy na nic nie zdało, ani dziś się na nic nie zda. Tak więc jedyną rzeczą, którą można dziś bez ryzyka powiedzieć to to, że idzie nowa seria niespodzianek.

Inaczej mówiąc, rząd polski — tak zresztą jak wszystkie inne rządy w Europie czy na świecie — nie miał w chwili padania muru żadnej tzw. polityki niemieckiej, nie miał wiarygodnego scenariusza na okoliczność błyskawicznego przenoszenia się państwa NRD do państwa RFN, inaczej zwanego procesem jednoczenia się Niemiec.

Tadeusz Mazowiecki miał jednak szanse pokazania światu, że polska polityka niemiecka istniała. Było to w Brukseli na przełomie stycznia i lutego tego roku. Mazowiecki prowadził konferencję prasową akurat tego dnia, kiedy Modrow, po powrocie z Moskwy, powiedział, że połączenie Niemiec *musi* zakładać neutralizację nowego państwa niemieckiego. To była chwila, na którą politycy czekają lata. 200 dziennikarzy z całego świata tłoczyło się w małej sali centrum prasowego, wszyscy rwali się do głosu i gdyby dopuszczono wtedy do mikrofonu najmądrzejszych i najważniejszych, to zadaliby to samo pytanie: co myśli polski premier o neutralizacji Niemiec?

Otóż gdyby wtedy, zamiast wykręcać się tradycyjnym unikiem pt.: „Ja nie znam tekstu deklaracji Modrowa”, Mazowiecki powiedział:

a) że Polska stoi na stanowisku prawa narodu niemieckiego do samostanowienia, ale nie uważa, że neutralność zjednoczonych

Niemiec leży w interesie Polski i Europy,

b) że idealnie byłoby, gdyby zjednoczone Niemcy mogły być włączone w jakiś nowy ogólnoeuropejski system bezpieczeństwa. Ponieważ jednak taki system jeszcze nie istnieje, a sytuacja polityczna w Europie rozwija się żywiołowo, może wymknąć się spod kontroli, niesie więc ryzyko destabilizacji, to — zdaniem Polski — zjednoczone Niemcy powinny, i to w znacznie większym niż dzisiaj stopniu, pozostać we wszystkich możliwych wspólnotach zachodnich, a przede wszystkim w NATO.

c) że Polska wie, że jest to operacja dla ZSSR kosztowna, bo włączenie całych Niemiec do NATO to nowy układ sił w Europie. Ale wszak to nie ten nowy, a stary porządek europejski był rezultatem gwałtu na prawie i moralności w stosunkach międzynarodowych. Stąd Polska uważa, że bolesny na krótką metę, nowy porządek okaże się korzystny — na dalszą metę — także dla interesów ZSSR — co zresztą nie jest już sprawą Polaków.

d) że w tych warunkach uznanie granicy zachodniej Polski musi się dokonać nie po, a przed zjednoczeniem Niemiec. Forma tego uznania jest do dyskusji, ale powinno to być politycznym celem nie tylko Polski, ale i wszystkich pozostałych zainteresowanych państw.

Gdyby to wszystko polski premier powiedział wtedy w Brukseli, to wówczas — naturalnie — byłoby Polsce o wiele łatwiej dobić się do kombinacji „dwa plus cztery” i byłoby łatwiej Polsce uniknąć wszystkich innych niespodzianek, a w tym zygzaków Kohla, już widzącego się kanclerzem zjednoczonego państwa narodu niemieckiego¹.

Na szczęście Kohl w sprawie Odry i Nisy tak narozrabiał, że pozwolił Polsce nadrobić straty spowodowane opóźnieniem w ogłoszeniu polskiego programu niemieckiego i nawet zjednął jej ogromne — choć, patrząc bez złudzeń, tylko koniunkturalne — poparcie międzynarodowe. Co nie mniej ważne, postępowanie Kohla przyczyniło się do osłabienia skutków monumentalnej gaffy dyplomatycznej, jaką moim, i nie tylko moim zdaniem było włączenie sprawy stacjonowania wojsk sowieckich w Polsce *ausgerechnet* w kontekst gwarancji przeciwko „niemieckiemu rewanżyzmowi”...

1. (Niech w tym miejscu nikt mi nie wytyka, że mądry Unger po szkodzi, bo, w skrócie oczywiście, natychmiast po wyjeździe Mazowieckiego to samo powiedziałem przez Wolną Europę. Ukryłem wtedy tylko złość z powodu nieobecności w Brukseli — przez cały następny dzień po konferencji prasowej — jakiegoś przedstawiciela delegacji polskiej. Dziennikarze uganiaли się za polskim komentarzem, ale cała delegacja wolała towarzyszyć premierowi w wycieczce kulturalno-oświatowej po Flandrii).

W Bonn opowiadają, że kiedy Adenauer przekraczał Łabę, to zwykł mawiać: „Teraz wjeżdżamy do Azji”. Cytuję te słowa, bo podróż w kierunku odwrotnym też wymaga jasności myślenia. Granica polska na Odrze i Nysie nie była i nie jest w istocie zagrożona. Nie była i nie jest problemem strategicznym, a psychologicznym i symbolicznym.

Co nie znaczy że nic Polsce nie grozi. Polska kampania w sprawie Odry i Nysy była, to jasne, dyplomatycznie i moralnie słuszna. Patrząc jednak z Brukseli, chwilami ocierała się o histериę, wyraźnie stała się — jak to zresztą powiedział sam Mazowiecki — „obsesją” Polaków. Zamieniła się w dogmat, przesłaniała inne istotne priorytety. Polityka zagraniczna nie powinna bowiem być obsesją ani dogmatem, a powinna opierać się o hipotezy robocze, oparte o prawidłowe elementy wyjściowe.

Rozwód z Attyłą

Chcę zapronować dwie tylko.

Pierwsza to założenie, że ZSSR w obecnym kształcie nie ma Polsce już niczego do zaoferowania, że więc interes Polski polega na trwałej i silnej więzi z Zachodem. Otóż droga Polski do Europy zachodniej i jej instytucji prowadzi tylko — i to wyłącznie tranzytem — przez zjednoczone państwo niemieckie. Inaczej mówiąc, Polsce powinno zależeć, żeby po drugiej stronie jej bardzo długiej granicy zachodniej znajdowało się państwo będące bardzo trwałym elementem zachodniej wspólnoty. To jedyny sposób nie tylko na poddanie, mówiąc brutalnie, zjednoczonych Niemiec jakiegokolwiek, na ile to możliwe, skutecznej kontroli politycznej, ale także finansowej. Chodzi, nie krępijmy się, o forszę. O to, aby nowe państwo niemieckie nie skierowało całego swojego bogactwa na dofinansowanie *prosperity* wyłącznie swych przyszłych wschodnich Landów, a utrzymało swój udział w programie „Phare”, finansując pomoc EWG dla demokratyzującej się Mitteleuropie.

Inaczej mówiąc, nie uda się uniknąć otwartych rozbieżności z Moskwą. To będzie dla polskiej dyplomacji sytuacja nowa, ale trzeba się do niej przyzwyczaić, inaczej nie będzie można mówić o polskiej dyplomacji.

W chwili kiedy piszę te słowa (10 marca), Rosjanie stawiają veto, ale nie mają wiarygodnej alternatywy dla obecności zjednoczonych Niemiec w NATO. Można naturalnie wymyślać szereg półśrodków. Plan Genschera np., to znaczy niestacjonowanie wojsk NATO na terytorium obecnej NRD. Można też — jak powiedział Mazowiecki — utrzymywać przez jakiś czas ograni-

czony kontyngent wojsk sowieckich na terytorium byłej NRD. To, przyznał Mazowiecki w Londynie chyba, „byłby bardzo dziwny stan rzeczy, ale Berlin także żył przez 40 lat w bardzo dziwnej sytuacji”. Można, jak Czesi, nawet żartować. Dienstbier powiedział, że oni są przyzwyczajeni do życia w kręgu Szwejka, Kafki i Stalina równocześnie. Ale Polacy mają inne poczucie humoru.

Oczywiście, kiedy w tym miejscu mówię o ZSSR, to przesadzam. Tam także nie ma jednolitego frontu. Walenty Falin, były ambasador w RFN i obecny szef wydziału międzynarodowego KC KPZS powiedział np., że jeżeli Zachód uprze się przy członkostwie zjednoczonych Niemiec w NATO, to zjednoczenia w ogóle nie będzie. Ale Falin to spadek po Breżniewie, więc nie wiem, ile ma do powiedzenia. Szewardnadze bowiem stwierdził, że „rozwiązaniem idealnym byłyby neutralne Niemcy”, ale, niestety, „nie wiem, jak realna jest ta koncepcja”.

Skądinąd wiadomo — m.in. z mojej rozmowy z tzw. dobre poinformowanym polskim źródłem — że w Moskwie im wyżej się rozmawia, tym bardziej elastyczne są poglądy. Oficjalnie Kreml stoi — to rozumiałe — na stanowisku, że tylko oba paktów stanowią instrumenty mogące zapewnić równowagę w Europie, że postęp w kierunku niemieckiego zjednoczenia musi się rozwijać równoległe do postępu w tworzeniu europejskiego systemu bezpieczeństwa.

W istocie to nic nie znaczy. Paktu Warszawskiego już nie ma i nic go nie wskrzesi, a wszelka próba aby sztucznie lub na siłę powstrzymać proces jednoczeniowy musiałaby się skończyć katastrofą. NRD przeniosłaby się po prostu na Zachód, a cała zachodnia dyplomacja Gorbaczowa ległaby w gruzach. Pakt Atlantyczny nie zniknie, zanim nie powstanie nowa ogólnoeuropejska struktura bezpieczeństwa. A ponieważ, jak już wiemy, na to się na razie nie zanosi, więc...

Naturalnie mogą być komplikacje. W Ottawie np. Vitaly Czurkin, rzecznik delegacji sowieckiej, oznajmił, że państwa Paktu Warszawskiego zebrały się na marginesie konferencji „otwartego nieba” i „poruszyły sprawę niedopuszczalności przynależności zjednoczonych Niemiec do NATO”. Dzień później Czurkin musiał się wycofać i zmienić formułę, ale się i nie poddał. Państwa Europy wschodniej — powiedział w drugiej wersji rzecznik sowiecki — wysłuchały oświadczenia Szewardnadze „nie zgłaszając sprzeciwu”.

Sprzeciwu wobec czego? Jeżeli polski, węgierski czy czeski minister nie powiedzieli Szewardnadze, że oni uważają, iż dopóki raju na ziemi nie ma, to oni wolą żeby Niemcy *pozostały i były* w NATO, to bardzo szkoda...

Tym bardziej, że ze źródeł amerykańskich wiadomo mi, iż

w prywatnych rozmowach ministrowie wschodni nie kryją, że tak właśnie powinno być. Jedynymi, którzy tego nie wiedzą, są więc czytelnicy ich własnych gazet. Po sezonie?!

Tym, którzy w tym miejscu zechcą mi przerwać i przypomnieć, że Zachód Polskę tyle razy już zdradził, że Monachium 1939 i Jałta 1945, mogę tylko odpowiedzieć, że:

a) To prawda, ale było także Rapallo i pakt z 23 sierpnia 1939,

b) że lepiej szukać gwarancji, w tym stopniu w jakim są one możliwe, na Zachodzie, gdzie Polska (Czechy, Węgry, niepotrzebne skreślić) chcą i tak być, anizeli na Wschodzie, gdzie Polska itd. być nie chcą.

Helmut Hildebrand

Druga hipoteza robocza, to ta, że prawdziwy problem, to nie granice, a ludzie. Granice w Europie, tak jak w Afryce, są nienaruszalne, nie dlatego, że narzuca to sprawiedliwość dziejowa, bo taka nie istnieje, ani nawet siła, bo nikt nie ma takiej przewagi, aby ją zastosować, a dlatego, że żadnej granicy nie wolno ruszać. Jeżeli jedną się przeniesie na zasadzie „słusznych rewindykacji narodu”, popartych argumentami siły wojskowej i gospodarczej, to zadrżą wszystkie, a niektóre polecą, jak domino: od Mołdawii i Bałkanów aż po, dlaczego nie, Lotaryngię i Alzację.

Ktoś — już nie pamiętam kto — tak był wzburzony, że streścił sens kilkugodzinnej wizyty Jaruzelskiego i Mazowieckiego, 9 marca, w Paryżu, przypominając okrzyk Francuza Floquet: „*vive la Pologne, Monsieur*”, rzucony pod adresem Aleksandra II. Bardziej jednak pasowałby inny okrzyk, tym razem rzucony przez tego samego cara Aleksandra II, ale do Polaków i to w Warszawie: „*point de rêveries, messieurs*”.

Jeżeli bowiem Francja zdecydowanie, choć grubo za późno, poparła Polskę i przyjęła ostentacyjnie w Paryżu pierwszą drużynę reprezentacyjną Warszawy, to nie dlatego, że bała się rewizji polskiej granicy zachodniej, a dlatego, że Francuzi nastraszyli się Kohla i podobnych do niego jego ewentualnych następców.

Słownik epitetów użytych dla określenia zachowania Kohla w okresie ostatnich kilku miesięcy wypełniłby dobrych kilka stron. Kohl w końcu ustąpił i wydusił z siebie zgodę na jakiś typ uznania granicy, ale nikt nie ma wątpliwości, że przekonania i priorytetów nie zmienił. Nawet Kohl nie może bezkarnie lekceważyć wspólnego frontu od Waszyngtonu po Moskwę i nie mógł,

w najbardziej gorącym momencie od końca wojny, ryzykować konfliktu także w NATO, kryzysu rządowego i rozpisanie nowych wyborów.

Ale psycho-polityko-analiza Kohla czy w ogóle sylwetki kanclerza niemieckiego pozostaje do naszkicowania. Kohl miał szansę przejść do historii jako kanclerz jednoczących się i zjednoczonych Niemiec. Tę szansę definitywnie zmarnował. Kanclerzem może będzie, ale do historii przejdzie z innych powodów. Kohl nie sprostał wyzwaniu chwili. Zachował się jak słoń w składzie porcelany, a było to najłagodniejsze określenie ze wszystkich, jakich dane mi było wysłuchać w publicznych, a zwłaszcza prywatnych rozmowach, i to nie z byle kim.

Kohlowi mianowicie udało się naznaczyć proces jednoczenia się Niemiec, burzliwy, spontaniczny, niebezpieczny nawet, ale w zasadzie, jakby to powiedzieć, uczciwy, piętnem machlojki, kombinatorstwa, politykierstwa (to ostatnie określenie jest nie moje, ale mój wysoki rozmówca prosił, abym go nie cytował, bo tu jednak chodzi o kanclerza bogatego kraju).

Kohl dał przykład jak kanclerz wielkiego państwa może, pod wpływem koniunkturalnych, wyborczych przesłanek, przeistoczyć się w ogromnego Dyzia, *kolossal* ucznia czarnoksiężnika. Afera, tak ją trzeba nazwać, z Odrą i Nysą, to nie jest pierwszy akt arogancji i nielojalności ze strony Kohla, nie wobec Polski, no bo to łatwo, ale wobec jego najbliższych sojuszników. Nie pierwszy i nie ostatni. Wizja własnego siebie na tronie kanclerskim zjednoczonych Niemiec w Berlinie tak oślepiła Kohla, że udało mu się ugodzić Europę w najczulsze miejsce: wzbudził na nowo strach przed potężnymi Niemcami. Ktoś ważny streścił to dla mnie, mówiąc: „My się teraz boimy, bo nie wiemy co jeszcze zaślepiony Kohl może wymyśleć”.

Europa, powiedział, na tym etapie historii oczekiwała ze strony Niemiec dyplomacji typu *Fingerspitzengefühl*, delikatnego podejścia na czubkach palców, a usłyszała ciężkie podkute buty. Inaczej mówiąc, nie wolno zapominać, że kiedy pojałtańska Europa szła w gruzy, a Mazowiecki w „obsesji” wołał o solidarność aliantów z czasów drugiej wojny światowej, Mitterrand był w Pakistanie, gdzie sprzedawał elektrownię atomową. Francja, powtarzam, stanęła u boku Polski nie kiedy Mazowiecki zawołał „gore”, a kiedy w Paryżu narodziło się podejrzenie co do intencji i... inteligencji Kohla.

Paryż, Londyn itd. przypomnieli sobie nagle, że to nie pierwszy „numer” kanclerza. Swoją 10-punktową program *Anschluss* u Kohla ogłosił także nie uprzedzając żadnego sojusznika, nawet Francji. Zapowiedział zastosowanie wobec NRD art. 23 konstytucji, zakładającego po prostu zwyczajne wchłonięcie wschodnich rubieży bez żadnej procedury, nie pytając o zdanie

nawet Genschera (dodajmy, że chodzi o paragraf, na mocy którego Dolny Śląsk, Pomorze i Prusy czy Sudety też mogą teoretycznie zostać poddane takiej operacji). Zaproponował unię monetarną z NRD nie konsultując nawet prezesa... banku narodowego. Popenił przy tym nieostrożność, sugerując w tym właśnie kontekście wyhamowanie unii monetarnej EWG, inaczej mówiąc sprawił wrażenie, że przeznacza środki na natychmiastowe wykupienie NRD kosztem programu integracji europejskiej. W sumie, udało mu się zjednoczyć swoich sojuszników przeciwko sobie, a wokół Polski. I sprawić, że Polska, choć fizycznie nieobecna, jednak zasiądzie przy stole „dwa plus cztery”. Kto myślał, że Kohl to mąż stanu, powinien zmienić zdanie: to tylko polityk.

No i na koniec chyba najważniejsze. Nie trzeba naturalnie przesadzać ani wyolbrzymiać konsekwencji postępowania Kohla. Nie ulega jednak kwestii, że w pogoni za głosami skrajnej prawicy i potomków wypędzonych z ziem zachodnich, bez których, jak sądzi, nie wygra wyborów i nie będzie kanclerzem IV Reichu, Kohl ożywił niemiecki nacjonalizm w RFN, ale także w NRD. I rzucił cień na przyszłość i intencje rodzącego się państwa niemieckiego.

W konkluzji trzy tylko krótkie uwagi. Pierwsza to ta, że Kohl zagrał w „sowieckie ręce”, zmusił Mazowieckiego do katastrofalnego błędu, jakim była aluzja do stacjonowania armii czerwonej w Polsce i umożliwił Jaruzelskiemu bezkarne stwierdzenie — w wywiadzie dla *Liberation* — że to Związek Sowiecki jest gwarantem (!) nienaruszalności polskich granic. To duży „sukces” dyplomacji zachodniemieckiej.

Druga to ta, że ten interes się Kohlowi nie opłacił. Według najbardziej optymistycznych obliczeń, różnica głosów, jakie Kohl może zarobić na nacjonalistycznych pokrzykiwaniach, w żadnym wypadku nie będzie decydująca dla wyników wyborów. Niektórzy twierdzą, że Kohl raczej stracił niż zyskał głosy, tak nieudolna była operacja ożywienia demonów przeszłości: prawica, zwłaszcza skrajna, nie lubi zygzaków, lubi pewniki. Wcale niewykluczone więc, że Kohl przysporzył głosów nie sobie, a socjaldemokratom.

I trzecia to ta, że straty na reputacji i Kohla i Niemiec są dziś już większe, niż mogą być kiedyś hipotetyczne zyski w urnach wyborczych. Inaczej mówiąc, może się okazać, że lepiej stracić kilka głosów, niż stracić dziewictwo. Jeżeli założyć, że coś takiego w polityce istnieje...

Leopold UNGER

Przyszłość stosunków japońsko-sowieckich

Japonia, której polityka zagraniczna w przeciągu minionej dekady dokonała milionowych przeobrażeń na arenie międzynarodowej, pozostawała jeszcze do niedawna chłodna wobec nowej polityki odprężenia Zachodu z ZSSR. Na bierność taką składało się wiele przyczyn, z których na pierwszy plan wysuwa się przewlekły, ciągnący się przez cały okres powojenny, zły stan stosunków z Moskwą. Chodzi tu przede wszystkim o głęboko zakorzeniony brak zaufania do szczerości sowieckich intencji, mający podłoże psychiczne w długiej historii konfliktów z Rosją na Dalekim Wschodzie, a po wojnie podtrzymywany niezadowolonym sporem o Wyspy Kurylskie. Drugą główną przyczyną to pretensje Tokio, iż wysiłki odprężeniowe skupiają się jednostronnie na Europie, z pominięciem Azji. Fakt szczególnie irytujący dla kraju, którego „filozofia odprężeniowa” opiera się na doktrynie nieodłączności i wzajemnych powiązań zimnowojennych w obu częściach kontynentu euro-azjatyckiego.

Nie ulega wątpliwości, iż historyczne, lawinowe wydarzenia w Europie Wschodniej pod koniec ub. r. przyczyniły się do stworzenia, po raz pierwszy od czasów Gorbaczowa na Kremlu, nowego klimatu odprężeniowego w kołach rządowych Tokio. Brak interwencji sowieckiej jest tu odbierany jako pierwszy namacalny dowód poważnych zmian w polityce imperialnej Moskwy, rokujący pomyślnie dla możliwości analogicznych zmian na Dalekim Wschodzie. Upadek reżymów komunistycznych w krajach Europy Wschodniej nie oznacza jednak jeszcze, w ocenach ekspertów japońskich, końca „systemu jałtańskiego” w Europie. W czasie spotkania Busha z Gorbaczowem na Malcie w grudniu ub.r. obwieszczono wprawdzie koniec starej, a początek nowej ery w stosunkach Wschód-Zachód, lecz dalej pod patronatem supermocarstw. Maltańska zмова na utrzymanie, jak najdłużej, paktów NATO i Układu Warszawskiego jest niczym innym jak osłoną dymną dla ostatniej, rozpaczliwej próby supermocarstw utrzymania swoich wpływów w Europie. Postanowienia maltańskie są w rzeczywistości próbą wprowadzenia w życie „treści Jałty” (wolne wybory, wolność wewnątrz-polityczna), a nie są końcem „systemu jałtańskiego”, którego istotą jest system układów bezpieczeństwa w Europie w oparciu o koncert supermocarstw. Zdaniem dr. Nakajima Mineo (Wydz. Nauk Politycznych, Tokyo Daigaku), w praktyce „system jałtański” w Europie będzie trwał dopóty, dopóki nie załatwi się raz na zawsze stałości i nienaruszalności granic, a więc dopóki nie stworzy

się podstaw nowego bezpieczeństwa zbiorowego w Europie. W Jałcie nie podjęto nawet wstępnej dyskusji tego zagadnienia, zadowalając się gołosłownymi deklaracjami o zastąpieniu „starego ładu” nowym.

Jak wygląda, na tle takich ocen sytuacji w Europie, perspektywa normalizacji stosunków Japonii z ZSSR? Długa lista problemów do załatwienia obejmuje nie tylko sprawy odprężenia w Azji (redukcja sowieckich arsenałów zbrojeniowych na Dalekim Wschodzie, sprawa potencjalnego konfliktu na Półwyspie Koreańskim, sprawa szerszego systemu bezpieczeństwa z Chinami itd.), lecz przede wszystkim cały szereg problemów bilateralnych, z których na pierwsze miejsce wysuwa się bezspornie jako główny powód przewlekłego impasu — problem Wysp Kurylskich. Przypomnę tutaj, iż Wyspy Kurylskie (jap. Chishima) zostały przyznane Sowietom w Jałcie (na mocy tajnego protokołu, ujawnionego dopiero w 1946 r.) w zamian za obietnicę przystąpienia do wojny z Japonią. Podobnie jak w całym układzie jałtańskim, tak i tu Stalin Roosevelta oszukał, wmawiając mu, iż wyspy zostały Rosji „nielegalnie zabrane”. W rzeczywistości na mocy Traktatu Shimoshida z r. 1855 północna część Kuryłów przypadła Rosji, a południowa Japonii. Dwadzieścia lat później, podpisując traktat w Petersburgu, Rosja oddała resztę Kuryłów Japonii w zamian za południowy Sachalin.

Strategiczne znaczenie Kuryłów, szczególnie od czasu rozbudowy baz wojskowych od r. 1978 (po zawarciu przez Japonię Układu Przyjaźni z Chinami), jest głównym powodem niechęci Moskwy do ich oddania. Stąd też ewidentna gotowość ZSSR do rewizji dotychczasowych założeń strategicznych w Europie leży u podłoża nowej inicjatywy dyplomatycznej Tokio, rozpoczętej po wizycie Aleksandra Jakowlewa w Japonii jesienią ub. r. Wyjaśnia to również nieskrywane preferencje japońskich kręgów opiniotwórczych dla nowego systemu bezpieczeństwa zbiorowego w Europie (z udziałem ZSSR) co, z natury rzeczy, otworzyłoby drogę dla nowego, podobnego układu na Dalekim Wschodzie, w miejsce bilateralnego Układu Bezpieczeństwa Japonii z USA.¹ W takim układzie tzw. „doktryna Gromyki”, stawiająca likwidację układu USA — Japonia jako główny warunek ewentualnego zwrotu Kuryłów, straciłaby automatycznie na ważności.

Do zasadniczego przełamania impasu w sprawie Wysp Kurylskich doszło w styczniu br., równocześnie na dwu frontach. W dn. 14-24 stycznia przybył do Tokio specjalny wysłannik Gorbaczowa Boris Eliszyn (członek Politbiura i KC), przedstawiając rządowi

1. Rozumowanie takie kręgów opiniotwórczych w Tokio wskazuje tylko na przyszły, możliwy kierunek rozwoju polityki japońskiej. Oficjalna polityka Tokio, co trzeba tu podkreślić, nadal uważa układ z USA za podstawowy filar strategii bezpieczeństwa narodowego, a nie należy się spodziewać zasadniczych zmian polityki, co najmniej do czasu podpisania układu pokojowego z ZSSR.

japońskiemu pięciopunktowy plan załatwienia sporu o Kuryle. Przewiduje on:

- Publiczne przyznanie przez Gorbaczowa, podczas przewidzianej na r. 1991 wizyty w Tokio, uzasadnienia roszczeń japońskich do tych wysp;
- Stopniową demilitaryzację Wysp Kurylskich;
- Formalną propozycję zawarcia układu pokojowego z Japonią;
- Stworzenie wolnej strefy ekonomicznej na Kurylach;
- Ostateczne załatwienie własności wysp przed upływem obecnego stulecia.

Ostatni punkt propozycji sowieckich zakłada albo wspólne zarządzanie Kuryłami, albo ewentualne oddanie ich pod kontrolę Japonii. Wg. wyjaśnień Eliszyna, demilitaryzacja wysp zajęłaby ok. 7-8 lat, co może opóźnić podpisanie traktatu pokojowego. Prawie w tym samym czasie (a równoległe z wizytą premiera Kaifu w Warszawie) został przyjęty na Kremlu przez Gorbaczowa sekretarz rządzącej Partii Liberalno-Demokratycznej, były minister spraw zagranicznych S. Abe, z delegacją innych notabli partyjnych. Rozmowy Abe w Moskwie, w których poruszono wszystkie możliwe problemy odnośnie normalizacji wzajemnych stosunków, uważane są przez ekspertów japońskich za kluczowe w przełamaniu sowieckiego oporu w sprawie Wysp Kurylskich. W zamian strona sowiecka spodziewa się szeroko zakrojonej pomocy gospodarczej, której rozpaczliwie potrzebuje. Wg. ostrzeżeń B. Eliszyna w Tokio, bez szybkiej pomocy z Zachodu gospodarka sowiecka może nie przetrzymać dalszych 4-5 miesięcy. Rzecz jednak w tym, czy kapitał, oceniający bardzo sceptycznie obecne możliwości inwestycyjne w ZSSR, będzie skory do lokowania olbrzymich sum dla ratowania praktycznie nieuleczalnej gospodarki.

Konsekwentny upór Japonii w odzyskaniu mało urodzajnych, na wpół wulkanicznych wysp ma głównie głębokie podłoże emocjonalne. Przed wojną były one gęsto zaludnione przez liczne, sięgające długiej rozpiętości pokoleń osady rybackie, z dostępem do obfitych wód Morza Ochockiego. Po wojnie część ludności została siłą przesiedlona na przyległe Hokkaido, a część wywieziona do łagrów syberyjskich. Jeszcze do niedawna dziesiątki tysięcy repatriantów z Kurył ludziło się powrotem zaginionych krewnych i bliskich, jak również nadzieją na powrót na wyspy, które uważają za swą naturalną ojczyznę. Wg. niedawnych badań opinii publicznej przez pismo *Hokkaido Shinbun*, co najmniej dwie trzecie byłych Kurylczków jest gotowe w każdej chwili wrócić, jeżeli wyspy wrócą do Japonii.

Dziś Wyspy Kurylskie, wg. oszacowań japońskich, zamieszkuje ok. 30.000 ludności, zatrudnionych głównie pracą na sowieckich bazach wojskowych. Jeszcze do niedawna, w warunkach szczelnej izolacji, Japończycy niewiele wiedzieli o dzisiejszych mieszkańcach

Kuryłów. Dopiero po pewnych ułatwieniach wizowych, z których po raz pierwszy latem ub.r. skorzystali dziennikarze japońscy, zaczęły napływać świeże wiadomości co do osadnictwa na wyspach. Otóż okazuje się, iż tzw. „ludzie sowieccy”, na których „głębokie przywiązanie” do wysp powołuje się Moskwa, to w 80% przymusowo tam osiedleni zesłańcy z krajów bałtyckich, głównie z Estonii i Łotwy. Jest również sporo Litwinów, nawet trochę Polaków. Wg wyjaśnień redakcji tygodnika politycznego *Sekai Shuho* (6.2.1990), są oni głównie niedobitkami zesłańców z łagrów syberyjskich, których po wojnie przesiedlono głównie na Kuryle i Kamczatkę. Większość z nich pragnie powrotu do stron rodzinnych, co jednak dotychczas spotykało się z ostrym sprzeciwem władz sowieckich.²

Obecne ożywienie dyplomatyczne na osi Tokio-Moskwa jest tylko początkiem w przełamaniu impasu na drodze do autentycznej normalizacji stosunków japońsko-sowieckich. W międzyczasie należy się spodziewać wzmożonej akcji dyplomatycznej Japonii w sprawie powrotu Wysp Kurylskich do macierzy. W grudniu ub.r. gubernator Hokkaido, p. Takahiro Yokomichi, zwiedził szereg stolic zachodnioeuropejskich, lecz z nikłymi wynikami. Można by mieć nadzieję, iż w świetle japońskiego zaangażowania i wsparcia dla nowopowstałych demokracji w Europie środkowo-wschodniej, kraje Zachodu wykażą większe niż dotychczas zrozumienie dla problemów i aspiracji japońskich na Dalekim Wschodzie.

J. MONDRY

2. Jeżeli sprawa zwrotu Wysp Kurylskich wejdzie w fazę konkretnych rokowań, jest możliwe iż rząd Japonii podejmie również sprawę ich repatriacji do republik bałtyckich. Są to na razie tylko spekulacje, gdyż na oficjalne stanowisko rządowe w tej materii jest jeszcze za wcześnie.

Wywiady «Kultury»

Konsultanci

ROZMOWA Z KSIĘCIEM KARL JOHANNEM
VON SCHWARZENBERGIEM

AURELIUSZ M. PEDZIWOL: — *Przed kilkoma tygodniami stanął Pan na czele komitetu doradców prezydenta Czechosłowacji Václava Havla. Chciałbym od Pana usłyszeć wszystko o tym Komitecie: jacy ludzie do niego weszli, jakie są jego podstawowe zadania, jakie formy działania?*

KARL JOHANN VON SCHWARZENBERG: — *Przed wszystkim trzeba zacząć od pewnego rozróżnienia między doradcami, którzy wspierają prezydenta Havla w kraju, a konsultantami, czyli ludźmi żyjącymi poza granicami Czechosłowacji, ale z niej się wywodzącymi i nadal z tym krajem związanymi. Chodzi oczywiście o ludzi, którzy coś osiągnęli tam, gdzie dziś żyją, przy czym nie jest wcale istotne, w jakiej dziedzinie: w gospodarce, kulturze, nauce. Ważne jest, czy mogą być w jakiś sposób użyteczni dla Czechosłowacji. Mnie właśnie prezydent Havel powierzył zebranie grupy takich ludzi.*

A.M.P.: — *Czy może Pan zdradzić kilka nazwisk?*

K.J.v.S.: — *Ależ oczywiście. Fabrykant butów Tomasz Bata, pisarz i dramaturg Pavel Kohout, ekonomista profesor Ota Sik w Bazylei, poeta i publicysta Petr Kabeš w Waszyngtonie, reżyser Miloš Forman, wydawca miesięcznika *Listy Jiří Pelikan* i wydawca kwartalnika *Svědectví* Pavel Tigrid.*

A.M.P.: — *Ilu ich jest w sumie?*

K.J.v.S.: — To trudno powiedzieć, bo wszystko znajduje się jeszcze w stadium organizacji. Niektórzy dostali już nominacje, inni jeszcze nie. Powiedzmy... dwa tuziny.

A.M.P.: — *Jakie są ich zadania i uprawnienia?*

K.J.v.S.: — Uprawnienia żadne. Natomiast zadania? Wykorzystać kontakty i przekazać ze swej wiedzy wszystko, co może być użyteczne dla Czechosłowacji. Gdyby na przykład prezydent miał jechać do Włoch, to zwołalibyśmy tych wszystkich, którzy byli lub są we Włoszech, i poprosilibyśmy ich o przygotowanie propozycji trasy podróży i spotkań, jakie należałoby podczas niej odbyć. Albo inny problem: tworzenie instytucji demokratycznych w Czechosłowacji. Tu może być bardzo przydatny głos tych ludzi, którzy działali w instytucjach demokratycznych na obczyźnie. Aby powiedzieli na przykład, jak się przeprowadza wybory.

To wszystko jednak znajduje się jeszcze w stadium rozruchu. Komitet powstał oficjalnie przed miesiącem, pierwsi konsultanci mianowani zostali przed dwoma tygodniami. Ale już na przykład niektórzy z nich aktywnie uczestniczyli w przygotowaniu wizyty prezydenta Havla w USA i Kanadzie.

A.M.P.: — *Czy ludzie ci mają również — w jakimś sensie — reprezentować Czechosłowację za granicą?*

K.J.v.S.: — Reprezentowanie Czechosłowacji za granicą jest zadaniem dyplomatów. To jednak oczywiście nie wyklucza, że w pewnych szczególnych okolicznościach prezydent poprosi jednego z konsultantów, by reprezentował jego samego czy też Czechosłowację. Na przykład wydaje mi się, że na festiwalu filmowym Miloš Forman, a na kongresie medycznym któryś ze znanych lekarzy spełniliby to zadanie dużo lepiej niż zawodowi dyplomaci.

A.M.P.: — *W ten sposób doszliśmy do jednego z ważnych problemów, stojących przed każdym z krajów, które wyruszyły w drogę ku wolności: do problemu placówek dyplomatycznych. Obsadzone są przez ludzi w znakomitej większości mianowanych jeszcze przez dawne ekipy. Domyślam się, że wielu nie będzie łatwo wymienić od razu. Jak widzi Pan ten problem, jaki jest stosunek komitetu konsultantów do przedstawicielstw dyplomatycznych Czechosłowacji?*

K.J.v.S.: — Z tym będzie zapewne różnie i każdy będzie miał swe własne zdanie na ten temat. Ja mogę jedynie powiedzieć, że z szefem korpusu dyplomatycznego, panem Dienstbierem, jesteśmy starymi przyjaciółmi. Podczas swej ostatniej wizyty w USA i Kanadzie widziałem, że tamtejsi dyplomaci wielce się natrudzili...

Widzi Pan, urzędnicy są urzędnikami. Oni są po to, by służyć państwu. Myślę, że większość z nich będzie służyć państwu w nowej formie.

A.M.P.: — *Być może ma Pan rację. Z drugiej strony jednak zapewne uzasadnione są podejrzenia większości uchodźców, że spora część tych urzędników to po prostu agenci tajnej policji, Státní bezpečnosti.*

K.J.v.S.: — No cóż, nie jest moim zadaniem zajmowanie się problemami kadrowymi placówek dyplomatycznych. To jest problem i zmartwienie ministra Dienstbiera. *Státní Bezpečnost* wprowadzie rozwiązanie, ale zapewne jeszcze nie raz będziemy mieć kłopoty z tymi ludźmi.

Po czterdziestu latach policyjnego systemu, jeśli uwzględnimy tych wszystkich, którzy w tę machinę w jakiś sposób zostali wciągnięci, dojdziemy zapewne do trzech czwartych miliona ludzi, jeśli nie więcej. Nie możemy ich wszystkich wyłączyć z życia narodu. Z tą hipoteką musimy po prostu żyć.

Wielki niemiecki kanclerz, który po drugiej wojnie światowej doprowadził Niemcy do demokracji, Konrad Adenauer, powiedział kiedyś mojemu przyjacielowi, już także nieżyjącemu sekretarzowi stanu w urzędzie kanclerskim, Gutenbergowi, gdy ten oburzał się na jakichś ludzi w Bonn: „*Herr von Jutenberg*! czy mógłbym Panu coś poradzić? Niech Pan bierze ludzi takimi, jacy są. Innych i tak Pan nie znajdzie”.

A.M.P.: — *Ale jednak dla wielu z tych, którzy opuścili Czechosłowację, oficjalne jej przedstawicielstwa z tymi samymi ludźmi, co przed listopadem '89, zapewne będą jeszcze długo nie do zaakceptowania. Sądzę, że zechcą oni rozmawiać raczej z ludźmi z komitetu, niż z dyplomatami w ambasadzie czy konsulacie. Czy jesteście na to przygotowani?*

K.J.v.S.: — Mogę tylko mieć nadzieję, że czechosłowackie przed-

1. W niektórych regionach Niemiec „g” wymawiane jest jako „j”.

stawicielstwa za granicą zyskają możliwie jak najszybciej zaufanie swych rodaków. Inaczej minęłyby się ze swym powołaniem. Niewątpliwie jednak w okresie przejściowym każdy z członków komitetu stać będzie do dyspozycji swych rodaków i gotów będzie służyć im radą i pomocą.

A.M.P.: — *Zmienmy teraz temat i zajmijmy się jeszcze krótko inną instytucją, której przewodniczącym jest również Pan. Myślę o Międzynarodowej Federacji Helsińskiej Praw Człowieka². Jaki jest sens istnienia Federacji i jej przyszłość w nowej Europie?*

K.J.v.S.: — Mam ponure przecucie, że — przynajmniej chwilowo — pracy nam przybędzie. To prawda, że wielka część tego, z czym mieliśmy dotąd największe kłopoty, nam odpadła. Ale nie we wszystkich krajach doszło do zmian. W Turcji na przykład do dziś torturuje się ludzi. Nie mamy jeszcze pewności, jak rozwine się sytuacja w Związku Sowieckim, w Rumunii czy w Bułgarii.

Wielce niepokoi nas — i jest to bardzo ważna kwestia — że w tych krajach odżywa to, co już raz nam rozbiło Europę: nacjonalizm. To widać wszędzie: w Związku Sowieckim, w Rumunii, w Bułgarii, w pewnym sensie również w Czechosłowacji, a ostatnio także w NRD. Nacjonalizm powraca. A ja się bardzo boję, że z tego znów będzie ten straszny szowinizm, jak w latach trzydziestych. Że narosną narodowe podziały i że będziemy mieć z tym straszne problemy. Jeśli nie uda nam się zażegnać tego niebezpieczeństwa, to pojutrze znajdziemy się w tej samej sytuacji, w jakiej już raz byliśmy.

A.M.P.: — *A jak Pan widzi — dziś nie można o tym nie mówić — problem niemiecki?*

K.J.v.S.: — Problem niemiecki? Myślę, że Niemcy się zjednoczą, to rzecz oczywista. Że faktycznie Niemcy mają prawo do tego, jak każdy naród. Polacy wiedzą o tym najlepiej, ponieważ wiedzą, co to znaczy, kiedy naród jest podzielony.

Inną kwestią jest fakt, że zjednoczone Niemcy będą europejskim mocarstwem. I każdy ich mniejszy sąsiad będzie musiał jakoś się z tym problemem uporać. Myślę, że najistotniejsze będzie, by odbywało się to bez zbytnej emocji, tak wewnątrz Niemiec, jak i w sąsiednich krajach. Będziemy musieli na to

2. International Helsinki Federation for Human Rights, IHF.

spoglądać bardzo rozważnie, bardzo spokojnie i nie zapominać przy tym, że Niemcy będą mieć sami ze sobą wielkie problemy.

Różnice między Niemcami zachodnimi a wschodnimi istniały już w dawnych czasach. Różnice między Prusami i Saksonią a zachodnimi krajami niemieckimi były bardzo istotne już przed pierwszą wojną światową. Po czterdziestu latach jakże odmiennego wychowania, jakże różnych systemów gospodarczych mogły się one tylko pogłębić. Jedna część jest bogata, druga uboga. A jak pan wie, nie ma nic nieprzyjemniejszego, niż gdy przyjedzie biedny krewny, urządzi się w mieszkaniu i powiada: „*Teraz jestem tutaj, a ty jesteś po to, by mnie wyżywić*”. To będzie jeszcze budzić wielkie uprzedzenia. No i — jak w całej Wschodniej Europie — istnieje już i tu niebezpieczeństwo, że z tego rozwine się wielki nacjonalizm. I że zmieni się równowaga polityczna w Niemczech, ponieważ Saksonia, Turynia, okolice Berlina, to były za dawnych czasów twierdzą partii socjaldemokratycznej. I dziś zdaje się to potwierdzać. To wszystko są sprawy, które trzeba dobrze przemyśleć, konsekwencje, o których trzeba wiedzieć. Ale czynić to trzeba w sposób bardzo spokojny...

A.M.P.: — *Przed kilkoma tygodniami, przy okazji wiedeńskiej konferencji okrągłego stołu „Europa” rozmawiałem z pańskim rodakiem, Antoninem Liehmem, wydawcą paryskiego pisma literackiego Lettre Internationale. Powiedział on wtedy jedno znamienne zdanie, że mianowicie komunizm zakonserwował stan, jaki był przed nim: feudalną Rosję, demokratyczną Czechosłowację, a w NRD — Niemcy, jakie były przed czterdziestu laty. Czy Pan się zgadza z taką opinią?*

K.J.v.S.: — Do pewnego stopnia tak. Sam mówiłem, że komuniści byli zawsze najbardziej konserwatywną siłą. Myślę jednak, że byłoby wielkim błędem spoglądać na Niemcy dzisiejsze, jakby to były Niemcy przedwojenne. Sytuacja po pierwszej wojnie światowej była zupełnie inna, niż dzisiaj: bezmierna nędza, szok przegranej wojny. Dziś to już nie jest tak silne. Nie, ja bym się z tym nie zgodził.

Nie wolno zapominać, że w Niemczech rozwinęła się wielka demokratyczna kultura i świadomość odpowiedzialności...

A.M.P.: — *Ale to w Niemczech Zachodnich!*

K.J.v.S.: — To prawda, ale to wciąż jeszcze jest większość.

Zresztą i we Wschodnich Niemczech bardzo wielu ludzi sprawia dobre wrażenie. Nie wiemy jeszcze, kim będą reprezentanci Wschodnich Niemiec. Nie mamy najmniejszego pojęcia. Sądzę, że okaże się coś odwrotnego. Powinniśmy zakładać, że nie będą oni ani trochę lepsi, ale i nie gorsi, niż cała okolica. Inaczej mówiąc: ja bym wierzył człowiekowi z Lipska tak samo, jak wierzę człowiekowi z Pragi czy człowiekowi z Krakowa.

A.M.P.: — *Wróćmy na koniec tej rozmowy do Czechosłowacji. Chciałbym Pana poprosić o kilka zdań o prezydencie Czechosłowacji.*

K.J.v.S.: — Co mam powiedzieć o prezydencie Havlu? Sądzę, że jest to w pewnym stopniu jedyne, a do tego bardzo czeskie zjawisko. Wydaje mi się, że nie mamy dziś na świecie żadnego innego przywódcy państwa, który by z jednej strony wywodził się ze środowiska twórczego, a z drugiej spośród dysydentów, a który — choć był w opozycji — zachował i w tym stanie swą integralność.

Niech pan spojrzy: na całym świecie mamy mnóstwo ruchów wyzwolenicznych. Zwykle skłaniają się one ku terroryzmowi lub podobnej działalności. Havel i Karta 77 nigdy o to niebezpieczeństwo nawet się otarli. Jest to bardzo ważne dla jego autorytetu moralnego.

Inny aspekt: określona kultura polityczna wytwarza stale podobne zjawiska. To jest dla mnie bardzo ciekawe, że do pewnego stopnia ów pedagogiczny typ czeskiego prezydenta się uchował. To jest to, w czym widzę podobieństwo między Havlem a Masarykiem, choć obaj bardzo się od siebie różnią. Obaj są — w najlepszym sensie tego słowa — nauczycielami swego narodu. Dla Polski na przykład charakterystyczny jest zupełnie odmienny, bojowy typ: Piłsudski. Dla Czechów interesujący jest człowiek raczej rozważny, raczej wychodzący z tego pedagogicznego stanowiska.

To interesujące, że człowiek, który wyszedł z takiego środowiska, ma godny uwagi polityczny instynkt. Nie mówię, że nie popełnia on błędów. Popełnia, również polityczne, jak każdy człowiek. Ale ma bardzo zdrowy instynkt, a myślę, że w jakimś stopniu pomaga mu też jego zawód. On wie, jak należy inscenizować wydarzenia, aby ów wielki narodowy, polityczny dramat doprowadzić do finału.

Ale ja myślę, że nie ma sensu o nim wiele mówić. Trzeba czytać jego książki, w których się bardzo dobrze wypowiadał:

bardzo osobiste *Dopisy Olze*³, czy *Moc bezmocnych*⁴, czy też *Do ruzných stran*⁵. Z tego najlepiej widać, co to za człowiek.

A.M.P.: — *Dziękuję bardzo i życzę powodzenia.*

Rozmawiał Aureliusz M. PEDZIWIOL

Wiedeń 28.II.1990 r.

3. Václav Havel: *Dopisy Olze, červen 1979 — září 1982 (Listy do Olgi, červenec 1979 — wrzesień 1982)*, Praga, styczeń 1983, Listy z aresztu śledczego i więzień, opracował Jan Lopatka, postowiem opatrzył Jiří Dienstbier; *Sixty-Eight Publishers*, Toronto 1985.

4. Václav Havel: *Moc bezmocných (Síla bezsilných)* datowane w październiku 1978, w: *O lidskou identitu: úvahy, fejetony, protesty, polemiky, prohlášení a rozhovory z let 1969-1979 (O ludzką tożsamość: uwagi, felietony, protesty, polemiki, oświadczenia i rozmowy z lat 1969-1979)*, zestawili Vilém Prečan i Alexander Tomský, *Rozmluvy*, Londyn 1984; polskie wydanie: *Síla bezsilných*, z przedmową Adama Zagajewskiego, *Veto Verlag*, Berlin 1987.

5. Václav Havel: *Do ruzných stran: Eseje a články z let 1983-1989 (W różne strony; eseje i artykuły z lat 1983-1989)*, opracował Vilém Prečan, *Ceskoslovenske středisko nezávisle literatury*, Scheinfeld-Schwarzenberg 1989.

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Kraj

Dziennik zewnętrzny

Pierwszego dnia po świętach o godzinie 13-ej mam spotkanie z ministrem MSW Czesławem Kiszczakiem. Tak oto uroczyście Wielki Urząd zwraca mi zabraną w roku 1984 maszynę do pisania, rękopisy oraz garść książek.

Podaję przez telefon numer rejestracyjny mego małego Fiata i muszę rozstrzygnąć, czy wjadę od Rakowieckiej, czy od strony Super Samu. Zaciągam się tym dylematem jak zapachem wolności. Wjeżdżam oczywiście od Rakowieckiej, niestety przebudowanym wjazdem, a więc nie przesmykiem, gdzie tak uroczyście został niegdyś wessany biały Polonez, a w nim ja w modnych wówczas kajdankach. Było wtedy ponure listopadowe południe 1982 roku i mogłem zauważyć, że zza szyb takiego pojazdu miasto wygląda bardzo szczególnie. Ludzie poruszają się powoli, jakby zwlekali, jakże głupio nie doceniając krzyczącego faktu, że są wolni.

Maszynę zabrano mi dopiero po rewizji w roku 1984. A więc przez wiele lat bezkarnie uprawiałem na niej swój złowrogi proceder. Zabrano ją za karę, jakby obudzenie o 6-ej rano nie było wystarczającym okrucieństwem. Karano mnie za perfidną ostrożność, albowiem niczego istotnego u mnie nie znaleziono. Przyjechali więc już z Rakowieckiej ponownie, specjalnie po maszynę. Młody funkcjonariusz, który ją niósł, nie wiedział, że była na niej pisana książka „Mickiewicz”, którą pewnie czytał w szkole, bo jest w szkolnych lekturach. Jadąc tym razem z lekkim sercem na Rakowiecką, czułem jak wiatr rzuca mi w twarz strzępki ubeckich głosów z różnych lat:

— Pana ojciec umiera, to przez pana umiera, bo jest pan działaczem podziemia.

— Pana wiersz jest wtórny wobec wiersza H., możemy to udowodnić.

— Wytoczmy fikcyjny proces.

— Wsiadam i idę się za pana pomodlić do tego kościółka (w drodze do Białoleki, niepokojąco blisko mieszkania, gdzie zgromadziłem wspaniały materiał dowodowy na własny proces).

— Od rana zaczynamy od nowa (bardzo nieprzyjemne słowa po całonocnym przesłuchaniu).

I najwspanialszy dialog, 15-minutowe milczenie i wymiana spojrzeń, walka na gombrowiczowskie miny z pułkownikiem, szefem wydziału do spraw artystów. A potem jego wybuch: „co tak patrzy, myśli, że się zamienimy na miejsca” (i aż dziw, że koszmar nocny oficera SB staje się dzisiaj ciałem i wkrótce wyrzucę ze stolka pewnego pułkownika z tego właśnie resortu). Nagły wstyd, że te strzępki jakże nędznej mojej „martyrologii” zostaną mi poczytane za samochwalstwo. Zdaję sobie sprawę z żalności tamtej szarpaniny, szczególnie w kontekście dzisiejszego gnijącego kompromisu czy w porównaniu z losem tych, którzy siedzieli długo i naprawdę. I nie były te ubeckie peregrynacje jakąś wielką torturą. Zostało jednak poczucie obrzydzenia, życie przez rok poza domem, a przez lata w domu bez drzwi i co za słabość, zszarpane nerwy.

Narysowałem ten własny i jakże skromny rozdział z Rakowieckiej, by wytłumaczyć lekkie wzruszenie, jakie szło ze mną pod ramię, gdy zanurzyłem się w północnym skrzydle gmachu, gdzie rezyduje minister. W tej części budynku korytarze są puste jak w kafkowskim śnie o urzędzie. Tylko gdzieś w dali na kolejnych piętrach siedział mundurowy, nie wiadomo, z wosku czy prawdziwy. I czułem, że zaraz zgubię się na amen w tym sterylnym i obszernym labiryncie. Jestem w końcu na ostatnim piętrze, a tam jak niebieski duch wyłania się bezszelestny milicjant i proponuje grzecznie, że jeśli mam ochotę, to mogę powiesić płaszcz. Robię to i odruchowo wyjmuję z niego portfel i wsuwam do kieszeni spodni. Dorodna sekretarka, a obok dorodny chłopak z obstawy, uśmiechnięci, radośni. Pukam grzecznie do drzwi, by stwierdzić bezsens tej nawykowej czynności, bo drzwi są podwójne. A po tamtej stronie już stoi generał, uśmiechnięty, radosny. Gabinet niezwykle obszerny, szacuję okiem, czy dałoby się przerobić go na salę do gry w tenisa. Na obszernym stole moja maszyna do pisania, obok teczka z maszynopisami. Chwila wielkiego zakłopotania, bo generał nie wie, czy prowadzić mnie do maszyny, czy do stolika dla gości. Bo jak tu zarazem oddać co zagrabione i zaprosić na pogawędkę. W końcu siadamy, a ładna dziewczyna przynosi nam herbatę z cytryną. Rozglądając się, czuję pewne poruszenie, bo przecież w tym gabinecie podejmowano decyzje, które zmieniły całe moje życie i połamały kości kraju, który do dziś pozostaje w gipsie. Teraz niezwykłym zrzędzeniem losu władzę niejako na

na szczyt stanu wojennego, by na jego kanciastym zwieńczeniu, które wrzyna się w tyłek, zasiąść wraz z głównym współarchitektem tej już zabytkowej budowli, która porasta mchem czasu. Czy z tego miejsca wiele widać? Raczej męt i zamęt, kłęby dymu i kurzu.

Generał opowiadał, jak wertował w przeddzień godziny zero listę ludzi do internowania, kilku skreślił, ale nie wyłuskał nazwiska profesora Klemensa Szaniawskiego. Głupia sprawa, bo przecież z Szaniawskim i Gieysztozem w przeddzień pił koniak.

Oj, jak to się na tym świecie plecie — pomyślałem. — Toż owo przeoczenie profesora w lesie 10 tysięcy nazwisk ludzi, którym potem wyłamywano drzwi, napędziło mi potężnego stracha. Bo oto gdy tej pamiętnej nocy, minąwszy się w biegu z czterema osobnikami z łodem, którzy zmierzali do mego mieszkania, zwiadałem kolejno stacje — bardziej groteski niż męki — dotarłem w końcu do wieży przy kościele św. Anny, gdzie z trudem dobudziłem księdza N. Ksiądz bardzo się zdenerwował i zapytał mnie, czy ma włożyć sutannę. On w sutannie a ja bez skoczyliśmy w spokojny i puszysty śnieg, by dobiec do pobliskiej zakrystii, gdzie nie bez trudu wyrwaliśmy na cztery ręce ze snu proboszcza. (Miałem wtedy naiwny pomysł, że koniecznie trzeba obudzić prymasa, gdy już raczej należało się zwrócić do Pana Boga). Proboszcz był wyraźnie niezadowolony, że mu przeszkadzamy spać, szczególnie że 15 minut przedtem był już niepokojony przez młodych ludzi, którzy przybyli z wiadomością, że aresztowano profesora Szaniawskiego. „Żona go nie chciała opuścić, to aresztowali go razem z żoną” — rzekł spokojnie proboszcz i ziewnął. A ja poczułem, że przeszedł mi mroźny dreszcz po plecach — bo skoro zamknęli nawet łagodnego profesora, na dokładkę z małżonką, to znaczy, że jesteśmy w Kambodży...

Wpadam w korkociąg dygresji, ale jak tu się powstrzymać... Po opuszczeniu przykościelnej sypialni, żegnany przez księdza znakiem krzyża, tak wyraźnie, że nagle poczułem jego ciężar na plecach, już na ulicy doświadczyłem, jak może być dolegliwa bezradność. Zbyt wiele widziałem tej nocy domów bez drzwi albo domów z drzwiami, które kryły rozespanych ludzi przytrzymujących koszule i piżamy na miękkich, jakże miękkich brzuchach. I to „Wesele” u mych przyjaciół, gdzie pijane pary tańczyły, nie słysząc mojego krzyku. Zdradzony przez przyjaciół i księży, postanowiłem zwrócić się do ludu Warszawy i ruszyłem wozem na pobliski postój taksówek, gdzie w cieniu kolumny Zygmunta stał obszerny tłum. Wychyliłem się z samochodu, by wygłosić swoją powstaniową mowę. Tłum wyraźnie poruszony wali ku mnie, by niespodziewanie zaatakować oparami alkoholu. Uciekam w panice do wozu i ruszam, koła ślizgają się w głębo-

kim śniegu. Pijani oblepiają pojazd, ich twarze są na przedniej szybie, z boku, z tyłu, dłonie jak lepkie macki. Jadę coraz szybciej, a oni odpadają jak pijawki.

No a potem... rok stanu wojennego i rozkosze konspiracji. (Tę konspirację powinno się wziąć w cudzysłów, ale tylko z jednej strony).

Wspomnienia tańczą ironicznie, dałbym głowę, że ironicznie, na rozkołysanej tafli herbaty, którą zgodnie i harmonijnie wlewamy do swoich otworów gębowych, ja i minister.

Naiwnością jest spierać się z architektem stanu wojennego o jego sensowność. A nawet strach, bo już bym go przekonał — a wtedy generał musiałby popełnić samobójstwo — albo ja bym został przekonany, i też coś bym musiał popełnić. Unikałem więc stawiania tak sprawy, ale nie udało się uniknąć jego zapewnienia, że „inaczej weszliby Rosjanie, a naciski po wprowadzeniu 'stanu' były od zewnątrz i wewnątrz nawet większe, niż przedtem” — i minister dał do zrozumienia, że trudno nam sobie nawet wyobrazić, jak było ciężko. Ciekawe, pomyślałem, że wszyscy wtedy tak się męczyli. A jeszcze ciekawsze, że nawet jeśli to prawda, owa prawda nie stanowi usprawiedliwienia. W ramach pytań szczegółowych zainteresowałem się, jak podjęto decyzję, by zastosować przebiegły chwyt wojenny w postaci puszczenia przez radio podsłuchanych rozmów telefonicznych, nie mówiąc już o nietelefonicznej rozmowie Wałęsy z bratem. Chwyt ów tylko z pozoru jest bardziej niewinny od tortur, bo w rzeczywistości państwo, które potrafi dokonać takiego zabiegu, mówi swoim poddanym: możemy każdemu kto niegrzeczny zrobić publicznie lewatywę, a nawet zabrać życie jak ochłap psu.

Minister ubolewał nad tym państwowym podglądaniem, ale mężnie rzecz wziął na siebie. Nie dawał wtedy rady, musiał odpocząć, zdecentralizował decyzje, a nieustannie wołano: „tu potrzebny materiał na tego, tu na tamtego”. Poszedł spać, zamiast nie przespać następnych kilku nocy, i stało się. Ale bierze rzecz na siebie. Prawda, że ładnie?

Na koniec rozmowy ja też zachowałem się ładnie, bo wyraziłem zgorznienie, że zwracają mi maszynę i resztę zagrabionych rzeczy niejako po protekcji, a nie na zasadzie obowiązującej reguły. Są przecież tysiące ludzi, którym zabrano więcej i którzy nie otrzymali zwrotu czy choćby zadośćuczynienia. Okazało się, że resort ma dobrą wolę, ale część rzeczy została już dawno oddana w rozmaite ręce, no i jak to teraz odzyskać? „Takie prawo było jakie było, ale jednak prawo” — oświadcza minister.

Miałem nadzieję, że wychodząc z paszczy lwa, oprócz swej maszyny wyniosę na pamiętkę choćby jeden spróchniały ząb. Wyszedłem tylko z maszyną, bo zębów tam już nie ma.

Krystalizuje się na naszych oczach idea stworzenia dwóch partii, już je nazwano — centro-lewica i centro-prawica. Dwupartynność sprawdziła się na świecie, problem tylko w tym, że u nas to się nie wykształciło, a zostało wymyślone przez polityczne głowy. No i jak to się ma do naszego temperamentu i politycznych tradycji? Oto „Solidarność” rozpadnie się na te dwie części i będzie wchłaniać — lewica resztki PZPR — prawica co jest do strawienia w ruchu narodowym. Trudno sobie to wszystko na razie wyobrazić, ale gdyby pomysł się udał, to będziemy mieć dwie nogi i niewiele więcej. Zapomniałem o Wałęsie, wątpię, czy to będzie głowa, ale ma stworzyć organ, który zamierza spajać całość — a więc jednak prezydent Lech. (Mój młody znajomy, który widział się z Wałęsą, aż trzykrotnie od niego usłyszał — gdybym był Prezydentem — i jakby tego było mało, Lech miał zapalenie spojówek i paradował w ciemnych okularach).

Wracając do dwunoga. Będzie się on poruszał po terenie zupełnie spustoszonego materialnie, jak również ideowo. Nieśmiało rosnące inicjatywy polityczne zostaną wchłonięte albo rozdeptane rozklapającymi stopami. A chłopci? Znowu zapomniano o chłopach! Ale oni się nie dadzą, już widzę, jak biegają między nogami dwunoga wymachując kosami i kłonicą. Plany planami, a życie jak to zwykle u nas i tak zaskoczy wszystkich jakimś łamańcem.

A co słyhać u tak zwanej opozycji pozaparlamentarnej? Idąc do Sejmu na spotkanie z partiami politycznymi spoza Okrągłego Stołu miałem — nikłą co prawda — nadzieję, że będzie to nieco inne towarzystwo niż menażeria, którą podziwialiśmy w tak zwanym „Otwartym Studio”, czyli w naszym telewizyjnym Hyde Parku (Hyde Park urzędowo wyznaczony za plecami Pałacu Ujazdowskiego przyciągnął tylko wiewiórki). Do Sejmu przybyło kilkanaście partii politycznych z kilkudziesięciu istniejących. Prawie wszyscy nieufnie nastroszeni, jak koty, które wąża do psiej budy. Oprócz PSLu, KPNu i PPSu towarzystwo raczej małe i karłowate. Są oczywiście narodowcy w kilku postaciach, mówią naród, wola narodu, Polska sprzedawana kapitałowi nie musi być częścią europejskiego domu, bo tu jesteśmy we własnym domu. I robią miny, niuchając czy gdzieś nie pachnie Żydem albo Niemcem. Wspaniałe typy do zoologicznej obserwacji i nawet całkiem to pocziwe, ale dopóki są w klatce. Jest oczywiście Partia „Słowian i Narodów Sprzymierzonych”, a nie zabrakło młodych monarchistów w nieskazitelnych białych koszulach z wysokim kołnierzem. Przedstawiciel „Solidarności Walczącej”, której przywódca podobno nadal w ukryciu, wyglądał jak człowiek, który przed chwilą wyszedł z lasu i strzepuje z brody na sweter igliwie. Trudno nie być za dawaniem pola roz-

maitości ludzkiej, ale jeśli ta różnorodność pójdzie nie w głąb, a wszerz, to zamienimy się w jeden wielki ogród zoologiczny, gdzie będzie można podziwiać okazy już dawno wymarłe w Europie.

Może więc dwupartynna koncepcja jest słuszna? Ale ona jak się wydaje minimalizuje szanse, by chorzy poszli do piachu lub ozdrowieli, a zdrowi urośli.

Biorę na bok młodego chłopca ze szkoły jeszcze, który do niedawna redagował pismo *Młody Wywrotowiec*. Pismo przestało istnieć, podobnie jak setki innych mniej lub bardziej wywrotowych młodzieżowych inicjatyw. Opowiada, że aktywność młodzieży zabił Okrągły Stół. Młodzi nie mają teraz poczucia sensu jakiegokolwiek działalności politycznej. „Kiedy słyszę w radiu lub TV, że powstaje jakaś nowa partia, wyłączam od razu aparat” — mówi inny młodzieniec.

Niedawno przybyła do mnie pachnąca mlekiem grupka ze szkoły podstawowej, robią czy chcą robić pismo, ale — podkreślają — „nie polityczne”. Mówią: „Mamy dosyć polityki, wszystkie inicjatywy polityczne w szkołach zdechły. My chcemy sztuki”. Nie pomogą jednak dobre chęci, bo oto nie ma w młodym pokoleniu niczego, co się wyróżnia w piśmie, mowie i śpiewie. Pustynia, na którą musiałem wejść, szukając tematów dla znajomej z Finlandii, która ku memu utrapieniu zamierza zrobić film o naszej młodzieży.

Lech Wałęsa po mszy w kościele św. Brygidy został skazany na dyskusję z przedstawicielami kilku młodzieżowych organizacji, ledwie żywych, zle gniewnych. „Polska to nie draka — pouczył młodych — nawet jeśli macie rację, nie rozbijemy Polski przez głupotę i warcholstwo”. W czasie wiecu starsi jego uczestnicy zaczęli krzyżeć: „dzieciaki do domu”. I grupy młodzieży wycofały się, skandując: „Przepraszamy, że żyjemy”. Poczulem, że coś ścisnęło mnie za gardło. Uruchomiono bombę zegarową, a materiał wybuchowy to nasze dzieci.

Aids w Polsce zaczyna przybierać postać diabła. Po aferach w Szczecinie, po hysterii w kilku szpitalach można tego było oczekiwać. Oto gdy grupa młodych chorych sprowadziła się do domu w Kawęczynie, okoliczni mieszkańcy postanowili zło przepędzić ogniem i kamieniem. Nawet milicja bała się interweniować. Nieszczęsnych uratowała jak się wydaje ich choroba, której gniewna ludność tyleż nienawidzi, ile się panicznie boi. Nie pomogli nasi posłowie, senatorowie i księża, a nawet wyglądający jak Bóg Ojciec z kościelnego obrazu Aleksander Małachowski. Chorych trzeba było usunąć. Zamierzano ich przenieść do Legionowa, ale tam wybuchło niemal powstanie przeciwko zadżumionym.

Polacy powstawali wielokrotnie. Teraz nadszedł czas budowania barykad przeciwko umierającym na *aids*. Poczucie zagrożenia,

niepokój, w którym toniemy, znalazły wreszcie kawałek stałego gruntu.

W największej warszawskiej księgarni „Uniwersus” pustawo, książki zdają się leżeć przytwierdzone łańcuchem cen. Widzę nagle osobne stoisko dla książek i pism drugiego obiegu, a tam na honorowym miejscu *Wezwanie*, pismo literackie, które z grupką przyjaciół robiłem od pierwszych miesięcy stanu wojennego i dociągnąłem je z trudem i niemal z płaczem do wczoraj. Na własnym biurku sam lepiłem okładkę, uważając za nierozsądne, że czynię to w domu. A teraz ten egzemplarz jak zbłąkany ptak z innej epoki przysiadł na grzędzie oficjalnej półki. Ale jak tu czuć triumf, gdy zamiera życie artystyczne, zdychają teatry, wydawnictwa, kolejne tytuły pism. Wymarza cienka i delikatna tkanka kultury, która narosła mimo ustrojowych ograniczeń. Mamy wolność. Otwarto wszystkie okna i drzwi, jest tlen, ale coraz zimniej, hulają przeciągi i ściemnia się. Jeśli nawet zdarzy się jakieś wydarzenie kulturalne, spada — ale nie jak kamień w wodę, tam przynajmniej rozchodzą się kręgi — jak w smołę.

Gorycz naszej wolności, po wielekroć gorycz.

Ukradziono mojemu synowi w szkole buty. Doprawdy trudno wyjaśnić dlaczego, ale zupełnie mnie to załamało.

Obiadowe wizyty mojej mamy dostarczają niezwykle bogatego i sensacyjnego materiału ze świata emerytów. Emeryci, jak wiadomo, zostali skazani na śmierć głodową, nie opracowano natomiast żadnych metod przerabiania padłych emerytów na pokarm dla emerytów jeszcze żyjących. Marnotrawstwo u nas nawet w czasie głodu ogromne. Najnowsze sensacje dotyczą napadów na emerytów. Warszawa rzeczywiście stała się nagle w tej dziedzinie Nowym Jorkiem. Sensacyjna wiadomość o emerytce, na którą napadnięto, a ona napastnika ugodziła w czułe miejsce tuszką króliczą. (Komentarz wielu emerytów — skoro stać ją było na tuszkę króliczą, zasłużyła na napad).

Ważna informacja przekazana pocztą pantoflową — można kupić mrożonego indyka, nie do wiary, tylko po 4 tys. za kilogram. Podobno przy umiejętnym dozowaniu starczy na tydzień.

Moja mama w panice zbiera się do drogi, by przed zmrokiem dojechać do domu. Zmrok dla ludzi starszych stał się godziną policyjną.

Swój dramat przeżywają właściciele samochodów. Wczoraj dwa komunikaty od mych znajomych. P. ukradziono dwa koła, wyważono maskę bagażnika i wyrwano gaźnik (kilkaset tys. na czarnym rynku). Pani M. zaś utraciła tylko przedni zderzak. Nocą wyją samochodowe alarmy i jak stada wilków zaciskają pierścień wokół mojej dzielnicy. Dlatego od niedawna śpię z uszami zakneblowanymi zatyczkami. Tej nocy jednak wyją alarm

przebił się przez blokadę. Zerwałem się na równe nogi, narzuciłem na pizamę płaszcz i słyszałem, jak pod czołem pracuje potężny silnik napędzany adrenaliną, powielając myśl: kradną mój samochód! Otworzyłem drzwi, a wtedy mroczny i zimny korytarz dał mi w pysk i ocknąłem się. Przecież mój samochód nie ma alarmu. Wróciłem do łóżka zadowolony, że to kogoś innego okradają.

I pomyśleć, że jeszcze wczoraj narzekaliśmy na zbyt liczną i brutalną milicję. Teraz równie groźne, że milicjantów prawie nie ma, a jak są, to w telewizji, gdzie opowiadają jak zmuszono ich do wejścia w wilczą skórę, gdy tak naprawdę są owcami. I obiecują, że już nigdy więcej nie pójdą do łóżka z SB.

W radiu słynni więźniowie Moczulski i Bielecki przesłuchują szefa SB Karpacza, a ten cichutko śpiewa. „Czemu pan jest taki smutny” — pyta oficera SB na swoim radiowym przesłuchaniu wielekroć niegdyś przesłuchiwana Janka Jankowska. Ten, również bliski placu, tłumaczy się, prosi o zrozumienie: „Padł ofiarą reżimu”. A ja przedtem jakoś nie potrafiłem dostrzec, że przesłuchują mnie takie pocziwe bidaki. Pamiętam ich z Rakowieckiej w listopadzie 82, jak szykując się do stłumienia zapowiedzianego strajku generalnego mocowali zamasyście pistolety na szelkach, impotenci, którzy chwalą się sztucznym członkiem.

Znowu niezastąpione Otwarte Studio w TV, gdzie generałowie MO i SB wiją się jak nadziane na hak piskorze, torturowani na oczach milionów przez tych, którym jeszcze wczoraj mogli bezkarnie wybijać zęby albo targać za uszy. Co najbardziej mnie zaskoczyło? Że to odwrócenie ról wcale mnie nie bawi, zupełnie nie cieszy, już prędzej napawa niesmakami.

Na krótko do Pragi. Cóż za piękne miasto, nie spodziewałem się aż takich uroków. Oszałamia dawna architektura, wszystkie style, świetnie zachowane fasady kamieniczek i ten widok z mostu św. Piotra na hradczański zamek wyrastający jakże triumfalnie ze wzgórza. (O ileż my zawsze byliśmy dalej i biedniej od Europy). Chodzimy wokół imponującej gotyckiej katedry, która jak przewrócony pterodaktyl wyciąga swoje chude nogi ku niebu i w pałacowym kompleksie szukamy okna, gdzie Vaclav Havel pisze najbardziej niebezpieczny ze swych dramatów.

Havel uśmiecha się z tysięcy plakatów, wiele kolorowych, robionych techniką niejako husakowską. Trochę to nawet drażni, że ten sam kolor, w dobrej co prawda sprawie. I to już niemal kult jednostki, mam nadzieję pocziwy.

Miasto wydaje się dobrze funkcjonować, kolejki tylko po książki i pisma polityczne. Ludzie mają gęby jeszcze bardziej gębiaste niż u nas, ale to bracia i siostry, od razu widać, kość z

naszej kości, i nie są te oblicza zjadane troską codzienną. I ten język, który pozwala wzajemnie się rozumieć, gwarantując przy tym zabawne nieporozumienia. I piwo, rzeki piwa, wszędzie piwo z białym grzebieniem piany. Tam króluje kultura piwa, przyjemnego oszalańniania się, co stępią polityczne emocje. Oszołomieni piwem piwośze w toaletach piwiarni, gdzie bywał Haszek, bardzo głośno wypowiadali się za polsko-czeską konfederacją. Co myślą po trzeźwemu, nie wiem. Wiem jednak, że póki istnieje u nas pustka w sklepach, a tam pełnia, nie ma mowy o konfederacji, bo nasza pustka zjadłaby ich z butami. Po trzeźwemu czuje się tam ciężenie ku Niemcom i Austrii, nic dziwnego, że chwilami wydawało mi się, że jestem w Bawarii.

„My Czesi cholerni, przekłęci konformiści, a zamiast dostać w dupę, ładujemy miękko, a wy za nas dostajecie po tyłku, co za łajdactwo historii” — piekli się pewien czeski intelektualista. Zaś młody działacz „Forum”, L., okazał się gorliwym czytelnikiem *Kultury* i moich tekstów. Zaprasza na obiad i oczywiście na piwo. Nie rozumie, jak to możliwe, że „Dziennik” gorszy kogokolwiek ostrym tonem. Ja za to zrozumiałem, że oni mają o wiele większą łatwość wzajemnej krytyki oraz ironii. Powołuję się w rozmowie na Szwejka, co mojego rozmówcę doprowadza do szczerzego gniewu. „Dajcie nam spokój z tym Szwejkiem, to tylko Polakom wydaje się, że to klucz do naszej mentalności”. Patrzę na L., na jego młodych kolegów pracujących w jednym z biur „Forum”, na tę zaciekłą krzątanicę i nagle czuję w ustach smak naszego „Sierpnia” i tych gorących 16-tu miesięcy. Kiedy zachodzę do toalety, już wiem, że jednak nie jestem w Polsce. Publiczne ustępy w Pradze dokładnie w pół drogi między Zachodem a naszym niechlujstwem. Kto wie, czy właśnie publiczne ustępy nie są najbardziej czułą miarą stanu cywilizacji i ducha narodu.

W nocy, szukając w labiryncie uliczek hotelu, uzyskuję pomoc od młodego człowieka, który prowadzi mnie bardzo pośpiesznie. Pytam, dokąd się tak śpieszy. Wyjaśnia mi obrazowo, jest palaczem, będzie czynił ciepło dla ludzi, a jutro — śmieje się — „jutro będę ministrem”. To oczywiście aluzja do opozycjonistów wczoraj jeszcze pracujących jako palacze, a dzisiaj już przy piecach wielkiej polityki. Jaki Polak cieszyłby się, że wykonuje tak podły zawód i tak lekko kpił ze swej przyśrodkości, przecież wiadomo, że nie ministerialnej.

Sami Czesi wydają się być o wiele mniej optymistyczni co do własnej przyszłości, niż my przyjezdni, zachłystujący się względną normalnością tego kraju, który został przez socjalizm nadgryziony, ale na szczęście na poziomie kolan, a nie, jak nam się zdarzyło, szyi.

Podobnie jak u nas kłopot, co zrobić z nomenklaturą, trud-

ność nawet w jej policzeniu. Inny problem ze wsią. U nas wieś toczyła zaczęła swoją walkę z miastem, u nich wieś skolektywizowana i o dziwo dostatnia, popiera dość licznie komunistów. A przecież tam komuniści łajdaczyli się jeszcze bardziej niż u nas. Niedawno odkryto hotel dla nomenklatury, którego luksusy rozpalają policzki plotkarzy. Zarazem jednak skurwienie całego społeczeństwa było o ileż bardziej powszechne niż u nas, gdzie sarmacka duma kazała trzymać wysoko głowę. Płacimy za to cenę powszechnego nabzdyczenia, a demoralizacja wlaźła niejako bocznymi drzwiami, poprzez otwór niezrealizowanych ambicji konsumpcyjnych.

Podobnie jak niegdyś u nas cmentarzysko kwiatów w miejscach zbiorowej pamięci, pod pomnikiem Wacława i tam gdzie spłonął Palach. Te moknące na deszczu i od razu zmarniałe zwłoki kwiatów są znakiem, jak trudna i znikoma jest nasza pamięć, jak rozpaczliwie szuka trwałości, ale nadaremno.

Zachodzę na spotkanie światowych konserwatystów, gdzie gościem jest sprawujący pieczę nad policją Czarnogórski, wczoraj więzień instytucji, którą dzisiaj kontroluje. Dlatego w hallu siedzi dwóch młodych i bardzo przystojnych chłopców z obstawy. To nie jest nowy nabór, jeszcze niedawno chronili tych, co podejmowali decyzję, by zamknąć Czarnogórskiego. W dzisiejszej Europie wschodniej ta figura nie ma nawet zapachu paradoksu. Pachnie nudą.

A na granicach ciągle jeszcze rządzą celnicy. I umieram ze strachu, że znajdą w mej torbie cztery rolki papieru toaletowego, które przemycam.

Mam grypę, siedzę przy biurku i piszę z trudem, jakbym przechodził w bród przez rzekę własnego kataru. Dzwoni telefon. W słuchawce odległy głos pyta: „No i co?” Poznają niejakiego P. z telewizji, „Jak to co?” — odpowiadam ostro, bo mam wrazenie, że traktują mnie niegrzecznie. Okazuje się, że czekają na mnie od pół godziny w studio. Pomyliły mi się dni. W rozpaczy, z mytą w biegu głową, z koszulą dopinaną już w samochodzie jadę na Woronicza i ze złości na siebie dzwonię zębami. Budynek wydaje się wykopaliskiem archeologicznym, dawno odkopanym i ponownie zapomnianym. Tylko podwójny napis „Solidarność” czerwieni się wyzywająco, jak umalowane jaskrawo usta staruszki. Strażnik, który ma obowiązek sprawdzać przepustki, udaje, że śpi. Brudno, ciemno, niemrawo. Wszystko, co się tu dzieje, wydaje się nieważne. Moje spóźnienie też.

Znajoma, która pracuje w Radiu mówi: „Czuję się teraz o wiele gorzej niż w roku 82. Tkwimy w tych samych kłatkach co kiedyś, tylko teraz wpuszczono tam stado rozhisteryzowanych

solidarnościowych ciotek". Nie inaczej mówią inni pracujący od dawna lub od wczoraj w radiu i telewizji. Stare skostniałe struktury, stara kadra i grupa ludzi nowych, ale często niekompetentnych. I to okrutne prawo urzędu, że stare a nieruszone infekuje od razu nowe. I co za żalność, znówu te telefony z któregoś piętra lub ministerstwa, że tego nie nadano, a tamto powinno się pokazać inaczej. Wszyscy moi znajomi marzą o rezygnacji z tej pracy. Łapię się za głowę — dzisiaj, gdy mass media są wolne, gdy opadły pęta cenzury i gdy informacja ma znaczenie gardłowe!? A jeżeli jest źle, czemu nie brać tego we własne ręce, nie zmieniać siłą, jeśli nie daje się po dobremu. Dzisiaj już nikt nie wyjmie pistoletu. Teraz jedyną przeszkodą jesteśmy tylko my sami. Cóż za naiwność mówić tylko o, bo przecież my właśnie bywamy najgorszym, najbardziej upartym i niebezpiecznym wrogiem dla siebie. Okazało się, że jesteśmy wszyscy amatorami, co gorzej zwykle przekonani o swoim profesjonalizmie. Czy dlatego rząd, który zdecydował się w gospodarce na szalenie odważne chirurgiczne cięcia, w dziedzinie personalnej obcina tylko paznokcie? I oto co się dzieje, nomenklatura przepoczwarza się w spółki-nie-spółki albo rozpuszcza się i jak smoła oblepia wszystko. Tu już miotła nie da rady, konieczny jest nóż, by zeszkrobywać. A skąd brać nowych ludzi? Jeśli ja mogę coś radzić — mniej z notesów, a więcej z ulicy. Niestety póki co furkoczą tylko kartki notesów.

Jak pisać nekrolog drugiemu obiegowi, skoro on nadal żyje, ale w coraz bardziej żalnej postaci? Już niepotrzebny, często w łachmanach, zdemoralizowany przez lata tułaczki. Ci, którzy z niego wyszli ko wygodniejszemu światu, nie są mu wierni. Biję się teraz we własne piersi. Nie była mu wierna *Res Publica*, chociaż z niego powstała. Czy jest mu wierna matka „Nowa”? A nasze, już nasze, Ministerstwo Kultury? Możecie umyć ręce, koledzy, idźcie do domu, praca skończona. A przecież „drugi obieg” to jedyne w świecie, unikalne zjawisko. Ponad tysiąc tytułów pism, kilkaset tytułów książek rocznie, i to wszystko w podziemiu. Z tego źródła wypłynęła „Solidarność” i dzięki podziemnemu słowu mogła zmartwychwstać. Jak niewielu z tych, co zaczynali, dotrwało do dzisiaj. Pamiętam swoją pierwszą wizytę w tajnej drukarni. Był chyba rok 78. Jechałem swoim małym fiatem, jeśli dobrze pamiętam, z Mirkiem Chojeckim. Był mroczny wieczór, Konstancin i jego pałacyki w pół ruinie. Mały domek w bezczelnej bliskości komisariatu milicji. Powitali nas gospodarze, prości ludzie o otwartych twarzach. Ubogi zaniebany przedpokój i ciemne schody w dół, do piwnicy. A tam wewnątrz, które wydało mi się katakumbami, gdzie odbywa się religijne misterium. Przy blasku żarówki siedział wąsaty Wiesiek

Kęcik, jak dobry gospodarz z rękami za łokcie czarnymi od farby i walkiem powiewał kartki, obok mała dziewczynka, córka właścicieli domu, wykonywała podobną czynność, a mały warkoczyk podskakiwał wesoło na jej plecach. Przy jakimś zdumiewającym, archaicznym urządzeniu mechanicznym stał malutki, półnagi i cały w tatuażach Romek Wojciechowski, i czule doglądał charczącej maszyny, która z trudem wypluwała zadrukowane strony. Przystojny i wtedy bardzo młodzieńczy matematyk Konrad Bieliński pakował sterty kartek. Wszędzie pięturył się papier, wszędzie czarna farba i czarny kot, który spał zwinięty w kłębek, nieświadomy, że bierze udział w złowrogiej i przestępczej działalności mającej obalić PRL.

Wiesiek Kęcik, potem znany działacz chłopski, teraz w Szwecji, gdzie ostatnio zajął się działalnością religijną. Chojecki, wiadomo, w Paryżu i dziś w konflikcie z firmą, którą założył. Bieliński, po latach konspiracyjnej działalności, w stanie wojennym prowadził sekretariat podziemnego Bujaka, wyładował w USA. A Romek Wojciechowski? Jemu muszę poświęcić więcej uwagi. Przesiedział od początku lat 50-tych w sumie lat 15, działacz tyle podziemna politycznego, co kryminalnego. Potem najlepszy drukarz „Nowej”. I kto wie, czy nie jedno z lepszych w Polsce piór. Napisał dwa, trzy świetne opowiadania wspomnieniowe, a potem zapił się niemal na śmierć. Pewnie dlatego na początku stanu wojennego załamał się w śledztwie, jak się okazało niegroźnie dla innych, ale groźnie dla siebie. On, któremu został już w życiu tylko honor, stracił go. Siedział w jednej celi z Maciejem Szczepańskim, ministrem Glazurem i księdzem Zychem. Opowiadał mi niesłychane rzeczy o tej celi, której nie wymyśliłby dla pisarza nawet zaprzyjaźniony diabeł. (Scena, gdy pomagał byłemu ministrowi pisać list do najwyższych władz, że kły słonia nie zostały ukradzione a podarowane, jemu ministrowi, przez czarnego kacyka). Błagałem go, by to opisał, by opisał swoje życie, by nareszcie powstała wielka proza o naszej Polsce Ludowej, a wtedy mógłby zaistnieć, wyjść na światło z kloaki życia. Na próżno. Część środowiska odrzuciła go, jak odkopuje się zdrajcę. Wtedy po raz pierwszy z przerażeniem ujrzałem, ilu totalitarystów jest wśród nas, którzy za główny cel życia postawiliśmy walkę z komunizmem.

Mijają miesiące władania nowego rządu i może martwić, że tak trudno z jego ust usłyszeć jakieś istotne propozycje polityczne. Banalem jest już pisać, że ten rząd nie najlepiej potrafi rozmawiać ze społeczeństwem. Fatalny też się wydaje jego stan zdrowotny. Jak wiadomo, podczas *exposé* premier Mazowiecki zasnął. A i teraz wygląda trochę blade. Jacek Kuroń jakiś czas temu wygłaszał swoje wzruszające kazania telewizyjne ze szpitala (wcale nie kpię — naprawdę są wzruszające). Jedni ministrowie

okrutnie tyją, inni chudną. W tym sensie są znakomitymi reprezentantami naszego społeczeństwa, które w zastraszający sposób o sobie nie dba, pali na śmierć i na śmierć pije, fatalnie jada i nie uprawia sportu, a więc pełna autodestrukcyjna. Przeciętą życia leci na łeb na szyję, a mass media biją na alarm, że jak tak dalej pójdzie, to na serce wymrą nam wszyscy mężczyźni w wieku, jak to się ładnie nazywa, produkcyjnym. Ja sam, z powodu nieustannych wokół zawałów serca i podstępnie pelzającego raka, rozglądam się z coraz większym niepokojem, bo jak w czasie ataku na wrogie okopy, kula co chwila obala w pobliżu kogoś ze znajomych.

Roztrzaskała się PZPR. W wielkiej, obojętnej ciszy, w pierścieniu codziennych kolejek, w oddechu zagonionego codziennego tłumy, w sładnie dymu z palonych archiwów partyjnych i policyjnych. Na pogrzebie PZPR Mieczysław Rakowski całkiem zgrabnie stepował na wieku trumny. „Powiedzmy wyraźnie, należały nam się zdrowe cięgi” — stukał obcasami. Słuchałem tego stepowania w stołówce pewnego przykościelnego pensjonatu na dalekiej prowincji, obok siedział ksiądz i odmawiał złośliwą modlitwę za umierających, a po brzegu szklanej miseczki z marmoladą spacerowała biedronka. Zimowe biedronki i PZPR jak niemowlę, pędzące na saneczkach ku swojej skale. Niewielki, ale dumny oddział wyprowadził z sali Kongresowej Fiszbach i nazwał go „Unią Socjaldemokracji R.P.”. Fiszbach namaszczone ręką Wałęsy, zaś Kwaśniewski z błogosławieństwem Michnika. Z sali wyprowadzono sztandar PZPR jak chustkę do nosa zwisającą z widelca i powstał z czerwonych foteli gębiasty tłum towarzyszy w ciemnych garniturach, by w ciągu sekundy w cudowny sposób z komuchów przemienić się w socjaldemokratów i odśpiewać: „bój to jest nasz ostatni”. I nareszcie słowo stało się ciałem.

Trybuna Ludu przeistoczyła się w *Trybunę Kongresową*, by stać się nagą *Trybuną*. Sprzedawca w kiosku, gdy proszę o egzemplarz pisma, nie może go odnaleźć, bo nie wie, czego szuka. Wskazuję mu gazetę ze słowami: „To Pan nawet nie wie, że to pismo istnieje, że PZPR nieboszczką jest”. „Coś słyszałem, ale nic mnie to nie obchodzi, nikogo nic to już nie obchodzi” — mówi, a głos ma czelka inteligentnego.

Wyszedłem na głupią mniejszość, którą to trochę jeszcze obchodzi. Idąc rzucam okiem na pierwszą stronę i oto czytam dramatyczny komunikat o chorobie prymasa Glempa. Będący w bardzo ciężkim stanie prymas przyjął prezydenta Jaruzelskiego. Komunikat mówi: „Podczas trzygodzinnego spotkania Wojciech Jaruzelski życzył choremu prymasowi szybkiego powrotu do zdrowia. (...) Wizytę przerwała konieczność przeprowadzenia

drugiego zabiegu operacyjnego u chorego pacjenta”.

Dławię komentarz z trudem jak kichnięcie.

Zdumiewające, jak wiele w polityce, a i w życiu, buduje się nie na pamięci, ale właśnie na jej braku. Gdyby zestawić słowa wielu naszych polityków wszystkich orientacji z ostatnich lat, gdyby zamknąć opinie z tych dwóch czasów w klatkę, to rzuciłyby się do bratobójczej walki na śmierć i życie. Można zrozumieć zmianę poglądów, trudniej zasad. Pamięć papieru długa, ale chora na papier.

W niektórych swych tekstach śledziłem wędrówki, jakie odbywa nasz język po wyboistej drodze ostatnich burzliwych lat. I muszę dziś odnotować niezwykłą karierę, jaką w naszej tak zwanej polityce zrobiła „utrata dziewictwa”. Zaczęło się chyba od Okrągłego Stołu, przepraszam pana Freuda, ale upieram się, że kształt tego mebla nie ma żadnego znaczenia. Mówić się wtedy zaczęło, że opozycja traci dziewictwo. Potem dziewictwo zaczęła tracić druga strona. Mam zbyt bujną wyobraźnię i bardzo męczy mnie ta metafora, szczególnie w stosunku do tak zasłużonych w nierzędzie.

Kilka dni temu spotkałem w autobusie Stanisława Wyganowskiego, wybitnego urbanistę, mojego sąsiada z dzieciństwa i lat młodości. W strasznym tłoku jak tonący próbowaliśmy utrzymać na powierzchni niewesołe miny i usta, by narzekać na gorzki smak naszej wolności.

Pierwszego dnia stanu wojennego już bezdomny nocowałem u niego, a więc piętro nad moim rodzinnym mieszkaniem. Kiedy kładliśmy się spać, zamyślił się i powiedział: „Byłem właśnie w Pana wieku, gdy szedłem do lasu do AK. Nie wiedziałem, że historia tak będzie się powtarzać”. Aresztowany przez gestapo. Opowiadał z lekceważeniem o torturach. „Byli brutalni, mało wyrafinowani, ja traciłem od razu przytomność i miałem to z głowy”. Bardziej bał się w czasach stalinowskich, kiedy tylko cudem wyszedł cało. Czemu piszę właśnie o Wyganowskim? Bo nagle i niespodziewanie — konkurując z Bujakiem! — został prezydentem Warszawy. A więc prezydentem wielkiej masy upadłościowej. Nie mam już prawie znajomych, którzy by nie byli gdzieś na górze. Na górze jest również, nieznany mi bliżej, generał Jaruzelski, on też prezydent. To nie mogło nam się przyśnić, gdy tej grudniowej nocy układaliśmy głowy do ciężkiego snu.

Coraz rzadziej mam poczucie, że czytając książkę wpadam w nią jak w pełną światła studnię. Okropne a zarazem przyjemne uczucie, z którego wiem, że wyjdę dopiero po lekturze ostatniego słowa. Od jakiegoś czasu zwykle nad książką tylko się pochylałam i od razu czuję nudności. I oto jak za dawnych czasów wpadłem w autobiografię Jacka Kuronia „Wiara i wina”.

Poruszająca lektura, mimo mielizn, wynikłych chyba z tego, że była bardziej spisywana niż pisana. Wynotowałem sobie dwa zdania: „...tak samo jest ze wszystkimi tymi rewolucjami — robiłem je po to, żeby dziewczyny parzyły herbatę i patrzyły na mnie z podziwem”. Jacek zgodziłby się ze mną, że jednak nie tylko po to, ale lubię, serdecznie lubię rewolucjonistów, którzy potrafią tak powiedzieć, lubię, bo nie boję się ich. Gdzie indziej pisze o pewnym schorzeniu naszej opozycji, które ma niezwykle uporczywą i trwałą postać. „Każda, dokładnie każda trwała różnica zdań, z którą mamy dziś do czynienia, wywołuje konflikt, w którym po obu stronach pojawiają się w jakimś stopniu postawy paranoidalne”. Do ust mi to podał jak kubek źródlanej wody. Czemu źródlanej, skoro smakuje tak cierpko? Bo prawda, choćby strzelona w pysk, działa ożywczo.

Teraz jeszcze w skrócie kilka krajowych węzłków. Narasta strach przed niemieckim zagrożeniem, że nas kupią, a potem zjedzą. I, co za niespodzianka, słyhać całkiem liczne głosy, że wojska radzieckie w tej sytuacji powinny u nas zostać.

Szokująca metamorfoza niektórych, jeszcze nielicznych sklepów i zakładów usługowych, gdzie widać, że komuś na handlu i usługach zależy. Ale brak nadal ziewa szeroko, obnażając koszarne ceny.

Chcąc zadzwonić z automatu, poprosiłem kogoś o monetę dwudziestozłotową i zostałem okrutnie wykpiony. 20 zł na telefon kosztuje 1000 zł. Podobno pasuje do zachodniemieckich automatów.

Scena z Sejmu — jeden z posłów OKP, M., krzyczy: „Tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem Polska jest Polską, a Polak Polakiem”. Bęcwałstwo niektórych posłów przez nas samych wybranych staje się faktem publicznym. I faktem jest, że reprezentują nie tylko siebie.

Inflacja zdaje się zdychać w naszych ramionach. Jej łeb tak ciężki, że ciekawe, czy nie obalimy się wraz z jej trupem. I gardłowy problem, czy na pustyni, którą tworzy teraz gwałtowna recesja, będzie można zacząć odbudowę. Banalne pytanie z nieznaną niebanalną odpowiedzią — czy cierpliwość umęczonego społeczeństwa, która jak się wydaje zaskakuje nawet optymistów, ma jeszcze jakieś zapasy? I czy ta cierpliwość jest siłą, czy znakiem jakiegoś trwałego okaleczenia, bo przecież nie towarzyszy jej aktywność polityczna; to raczej cierpliwość apatii. Wizja utraty cierpliwości nie mieści się w głowie, bo doprawdy nie widać już teraz tego miejsca, które mogłoby paść ofiarą wybuchu rozpaczy. Czy więc zostaje tylko autoagresja?

Po moim ostatnim tekście dostałem kilka gratulacji oraz kilka pełnych współczucia nekrologów. Może nie jestem zbyt

rozgarnięty, bo zupełnie nie rozumiem, czemu te teksty uchodzą za odważne. Przecież prawie wszyscy wokół mówią to, co ja piszę, ja tylko mniej lub bardziej zrećnie próbuję dać brzegi ściekowi codziennych rozmów, szeptów, krzyków, uśmiechów i skarg. (A że dodaję kilka kropel własnego kwasu, o tym wspomnę później). Czemu dzisiaj, gdy o tylu rzeczach wolno już pisać, a nawet trzeba dla naszego psychicznego zdrowia, nikt tego nie czyni? Gdzie jest nasz kabaret? Czy choćby w jednym programie śmiano się z Wałęsy, Kuronia lub Mazowieckiego? Wolność polityczna ujawnia nowe sfery zniewolenia, których nie było widać w mrokach totalitaryzmu. (O sferach błazeństwa pisałem dosyć).

W *Kulturze Niezależnej* mojemu dziennikowi poświęcił kilka stron autor ukrywający się pod skromniejszym niż mój pseudonimem A. H. Zaskoczony, że ktoś pracom tak ulotnym poświęcił osobny tekst, czytałem z niepokojem, bo co też można o mnie napisać. Było życzliwie i ciepło, i tylko jeden problem. Autor uważa, że „Ujawnienie ku uciechu gawiedzi (?) kim jest Witold Charłamp — autor, stanowi w istocie swojej uśmiercenie (...) i oznacza taki czy inny koniec 'Dziennika Zewnętrznego'”. Nie jest przyjemne być uśmiercanym nawet przez ludzi bliskich. A niepokój był tym większy, że i ja czułem rok temu agonalne sensacje. I tak uśmiercony napisałem z trudem, jakimś dźwiękał kamień nagrobny, jeden tekst, by potem już lżej kontynuować swoją działalność. (W sumie jednak, co zaraz wyjawię, przeżyłem ujawnienie tylko nieznacznie). I teraz patrząc wstecz czytam własne teksty ze zgorzeniem, z jakim pewna sejmowa dama oświadczyła: „ach, tyle tam jadu”, jakby mówiła o wstydlivej chorobie. Nie twierdzę, że jestem odpowiedzialny za to, co ze mnie wypływa, ale bliski jest mi stary dreszczowiec Stevenson „Dr Jekyll i Mr Hyde”. I oto ja, na co dzień łagodny i tolerancyjny, unikający sprawiania komukolwiek przykrości, nocą uruchamiałem upiorną część swojej osobowości, by pisać „Dziennik”. Świadom swego schorzenia, zapomniałem uprzedzić czytelników, by brali na to poprawkę, że tekst swój piszę polskim atramentem, a więc frustracją, depresją, urazami. A że w tym atramencie tapla się przeważająca część naszej zbiorowości, pozwala mi mieć czytelników. Za dnia jednak wracam do ciała pocziwego doktora i jakże mnie drażni ten tłum Hyde'ów wokół.

Kiedy przygnębiony naszą wolnością myślałem sobie, że coś we mnie pękło, że oto nagle mam dosyć Polski w Polsce, że może gdzieś z dala znosiłbym lepiej wszystkie nasze wielkie wady i narodowe zalety, jedne i drugie potwornie nabrzmiałe na skutek wyczerpania, właśnie jak dwa dobrotliwe jastrzębie spadły na mnie telefony od dwóch ministrów, i oto nagle otwiera się

brama innego świata, a ja słaby, wycieńczony tylko przez chwilę opieram się, ale już idę wiedziony pokusą tak wielkiej odmiany, idę przez bałtyckie morze, ale nie na wygnanie, czy tułaczkę, lecz na polskiej pepowinie, by służyć umiłowanej, chociaż jakże nieznośnej Ojczyźnie, i zaciskam nerwowo krawat i poprawiam kołnierz, za który chłapią słone fale.

Tak oto kończy się moja przygoda z Charłampem i paryską *Kulturą*, na którą dzieckiem patrzyłem jak na śnieżny Mont Everest. Kto by pomyślał, że wdrapię się tam bez maski tlenowej, bez asekuracji, ja, obdarzony lękiem przestrzeni, zawsze kiepski uczeń, do dziś robiący błędy ortograficzne, otwierałem z trudem własną bezczelność jak szkolną teczkę, w której zepsuł się błyskawiczny zatrząsk. Teraz szarpie się z tym zamkiem, by wyjąć stamtąd przeprosiny dla wszystkich słusznie i niesłusznie obrażonych, ale znajduję tylko drewniany klocek, który kiedyś malutkim dzieckiem, schowany pod wielkim biurkiem mojego Ojca, cisnąłem zniemacka w tłum siedzących w gabinecie gości. Chowam ten klocek z powrotem i nadaremno szarpie się z suwakiem i tak w niezręcznej pozycji żegnam się z Dziennikiem Zewnętrznym i z Państwem. Do zobaczenia, ale już w innej postaci.

Witold CHARŁAMP

W rok po Magdalence

19 lutego jak prawie co dzień w wiadomościach telewizyjnej. Jaruzelski: tym razem umacnia słupy graniczne Rzeczypospolitej nad Odrą oraz wita dzieci sowieckich żołnierzy z garnizonów, które strzegą naszych rubieży przed germańskim najeźdźcą. Generał zrzucił cywilny tużurek, jest znów w mundurze, chciałoby się powiedzieć w swoim żywiole, wśród sowieckich przyjaciół.

Odbudowanie etosu społecznego w Polsce to po latach sowietyzacji niestety trudne zadanie, ważnym elementem będzie tu przywrócenie wiarygodności państwu i jego instytucjom, teraz oto już uznanym za swoje, teraz oto już związanym ze społeczeństwem cywilnym. Żeby szanować państwo, muszą jednak szanować głowę państwa, widzieć w niej szczególnie auto-

rytet moralny, *sui generis* fundament etosu społecznego... Żadne szachowe kombinacje i podział stanowisk wśród grup decyzyjnych tego autorytetu nie udziela.

Niewątpliwie u Jaruzelskiego podziwiać trzeba ekwilibrystyczną zręczność utrzymywania się na wierzchołku piramidy. Któż by uwierzył, że twórca 13 grudnia zostanie w parę lat później przez dziewiątkę ex-opozycyjnych parlamentarzystów dobrowolnie uczyniony prezydentem Polski! I to nie byle jakich parlamentarzystów: Stomma, Paszyński, Kulerski, Stelmachowski, Wielowieyski, Szymanderski, Trzeciakowski, Miłkowski, Bernatowicz.

Gdy Honecker czy Husak, nie mówiąc już o rumuńskim szaleńcu, upierali się przy dawnych formach sprawowania władzy, Jaruzelski inteligentnie przewidział, ku czemu sytuacja zmierza i uprzedził wypadki zręcznym aliansem z „konstruktywną opozycją”. W świetle tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich miesięcy u naszych sąsiadów, nie wiem czy okrągły stół był aż tak wielkim sukcesem polskiej opozycji, jak nas o tym usilnie przekonują publicyści *Tygodnika Powszechnego* i *Gazety Wyborczej* i drawiczowskiej telewizji, na pewno jednak okazał się arką Noego dla komunistów: gdyby spóźniono się parę miesięcy, nomenklatura potraciłaby znakomitą większość dobrych posad, które wskutek nie całkiem przejrzystych dla publiczności układów udało jej się zatrzymać, być może na długie lata. Udało się też zatrzymać wojsko i MSW, Komitet Obrony Kraju, który dzisiaj (21 luty) znowu ukazał telewizjom swoje postarzałe od grudnia 1981 roku grono generałów, w sumie trochę żelastwa i kadre na wszelką okoliczność pod kontrolą dwóch osobistych druhów Prezydenta. Nie wydaje się jednak, by Jaruzelski bronił jakiegokolwiek ideologii, zawczasu zdał sobie sprawę, że Jedynie Słuszna Nauka Wodza Rewolucji zmieniła się w kulę u nogi, dzięki której poszło na dno kilku wyjątkowo tępych staruchów, chętnie więc na oczach wszystkich depcze niedawno przez siebie gorliwie czczone komunistyczne relikwie. Jedynym św. Graalem, którego rzeczywiście szuka, jest — jak wolno podejrzewać — pozycja własna i grona wytrawnych przyjaciół. To wcale nie mało, to znacznie więcej niż bełkot doktryny. Teraz dopiero elastyczność pragmatyka rozwija się w całej krasie. Kiedyś komunista — i generał Paktu Warszawskiego — powiedział:

Na rozkaz władzy ludowej, wraz z żołnierzami Armii Radzieckiej i innych bratnich armii, żołnierz polski pospieszył na teren Czechosłowacji. Doświadczenie wykazało, że pomoc była konieczna i że przyszła w porę, że podskórne, dobrze zorganizowane procesy kontrrewolucji wystąpiły na powierzchnię, że spustoszenie zasiane w nastrojach części społeczeństwa czechosłowackiego osiągnęło niepokojące rozmiary. Żołnierze nasi [...] wypełnili z honorem swoją patriotyczną i internacjonalistyczną powinność.

W tych trudnych dniach wykazali wysoką dojrzałość i rozum polityczny. Zmasowanej propagandzie reakcji i organizowanym przez nią szykanom przeciwstawili zdecydowanie i skutecznie swój odważny spokój, poczucie godności, dyscyplinę, kulturę godną ludowego żołnierza polskiego, godną żołnierzy wszystkich socjalistycznych armii. Postępować tak będą niezmiennie nadal, pozostając czasowo na swych bojowych posterunkach, aby przyczynić się w ten sposób do unormowania życia w bratniej Czechosłowacji przez jej komunistyczną partię i władzę ludową. W tych trudnych dniach zdali również egzamin wierności Partii i Polsce ludowej wszyscy żołnierze naszych Sił Zbrojnych składając dowody głębokiej świadomości politycznej, dyscypliny i wysokiej gotowości bojowej — tak niezbędnej do pogłębiania i wsparcia wysiłku wojsk działających na terenie Czechosłowacji, tak koniecznej do przeciwdziałania wszelkim możliwym próbom imperialistycznej prowokacji. [...] Z ostatnich wydarzeń wynosimy także na nowo potwierdzone głębokie poczucie niezbędności dalszego konsekwentnego rozwijania naszej obronności. Wynosimy jeszcze głębsze przeświadczenie, że nieustanne umacnianie Układu Warszawskiego, umacnianie przyjaźni polsko-radzieckiej — stanowi najwyższy nakaz w imię żywotnych potrzeb naszego narodu, w imię wspólnej internacjonalistycznej sprawy”.

(Gen. Jaruzelski, 1 września 1968 we Wrocławiu.)

Teraz, wybrany Głową Państwa przez wystraszoną własnym sukcesem elitę opozycji, powita kolegę z Pragi — Vaclava Havla — którego ongiś po bratersku wyzwał od „imperialistycznej prowokacji”, słowami przeprosin. Jakże by to było po chrześcijańsku, gdyby nie podejrzenie, że autorowi przeprosin słowa przychodzą lekko na wargi, jeśli służą wzmocnieniu jego aktualnej pozycji... Ta imponująca umiejętność błyskawicznej zmiany upierzenia nie wydaje się jednak dobrą kwalifikacją na urząd wymagający, jak napisałem wyżej, spełnienia wysokich kryteriów właśnie etycznych. Albowiem Głowa Państwa to funkcja symbolizująca przede wszystkim niewzruszoną stałość zasad, którymi rządzi się Najświętsza Rzeczpospolita...

●

Obserwatorów polskiej sceny politycznej musi zaniepokoić wątpliwość politycznych alternatyw. „Porozumienie konstruktywnej opozycji z reformatorską częścią nomenklatury”, czyli umowy okrągłego stołu, narzucane bywa opinii powszechnej jako jedynie słuszna droga, inne opcje zepchnięte zostały na zupełny margines. Moczulski, Morawiecki, Gwiazda, KPN, SW, WiP, FMW etc. etc. zdają się zatem należeć raczej do politycznego folkloru niż do realnie istniejących sił w tym kraju? Dla czytelnika *Gazety Wyborczej*, ale także poniekąd dla czytelnika *Tygodnika Solidarność*, *Tygodnika Powszechnego* czy *Więzi*, są to po większej części grupki zadymiarzy rzucające kamieniami w ogłupiałych milicjantów. Tylko tacy oto gówniarze upierają się jeszcze,

by współpracujący z siłami odnowy Prezydent Jaruzelski zrezygnował ze stanowiska, na które powołała go woła Narodu. Tylko nawiedzeni i zadymiarze (zwracam uwagę na tę interesującą słownikową innowację, która zastąpiła dawny termin „wichryciele wszelkiej maści”) domagają się prawdziwie wolnych, nie 35% wyborów, ustąpienia wojennej trójki, czyli gen. Jaruzelskiego wraz z ministrem obrony narodowej i ministrem spraw wewnętrznych... Oto co czytamy w *Gazecie Wyborczej* 19.2.1990 z okazji dyskusji o MSW:

„Przy tak głębokiej reformie powstaje sytuacja politycznie niezręczna. Reforma musi uderzyć rykoszetem w gen. Kiszczaka, który ma duże zasługi dla początku reform w kraju. To jest ten przykry aspekt sprawy. Wstrzymuje to od śmielszych kroków niedawną opozycję, która zastanawia się czy wypada zwracać się przeciw człowiekowi, który bardzo jej pomógł, przynajmniej w dotarciu do Okrągłego Stołu”.

Myślę, że te słowa trafiają w sedno. Okrągły stół ustanowił istotnie pewne układy „lojalności” względem nomenklatury. Ale może to właśnie spowodowało, że sytuacja w Polsce wymyka się z rąk elitom przywódczym? Że znaczna część młodzieży, obłana zimną wodą po roztrwonieniu czerwcowego zwycięstwa w wyborach prezydenckich 17 lipca, albo wyjeżdża z kraju, albo cofnęła się do „sfery prywatnej”, albo wreszcie wychodzi na ulicę z benzyną? Dzisiejsi przywódcy to na ogół politycy gabinetowi, pozbawieni charyzmatu szachiści, nie bardzo czujący poruszenia wyobraźni zbiorowej, której nie wolno lekceważyć, bo błędy w tej sferze pociągają za sobą daleko idące konsekwencje. Można podejrzewać, że właśnie „zgaszenie” powszechnego zapału po wyborach doprowadziło do półcynicznej apatii. Owa miniaturowa Jałta, którą zaserwowano przy okrągłym stole, być może zapewniła na razie „pokój społeczny” w kraju, stabilność sytuacji tak podobającą się zachodnim biznesmenom i mężom stanu... Ale czy nie dokonano się to kosztem społecznej podmiotowości? „Oni umówili się z Onymi” za naszymi plecami? Nie wiem, czy tak bardzo mamy się cieszyć brakiem reakcji na reformę Balcerowicza (reformę na pewno konieczną, choć nie we wszystkich szczegółach), brak reakcji wynika bowiem w dużej mierze z „efektu ogłuszenia”, nie zawsze ze świadomej akceptacji i w rezultacie może wprawdzie zapobiec na razie wybuchowi społecznego gniewu, ale przede wszystkim świadczy o wyciszeniu społecznej aktywności. Po tej kuracji możemy obudzić się równie bierni jak w czasach realnego socjalizmu, równie odlegli od „podmiotowości”, czy — by to sformułować w języku drapieżnego kapitalizmu — od przedsiębiorczości. Czy taki stan jest celem działań ludzi deklarujących się jako zwolennicy aktywnego społeczeństwa obywatelskiego z jego pluralizmem i podmiotowością?

Skoro scena polityczna została opanowana w praktyce przez jeden „ruch”, to stanowić on musi więzkę sprzeczności, których zakulisowe czy gabinetowe uzgadnianie zużyje tyle energii, iż niewiele jej zostanie, aby jeszcze robić coś innego. Rozwój partii politycznych, być może na razie sfederowanych we wspólnym antynomenklaturowym „froncie”, ale sensownie głoszących rozbieżne interesy, aby w sposób publiczny negocjować ich rozwiązywanie, niewątpliwie uspokoiłoby sytuację dość niepokojącą, gdy opcje niezgodne z „jedyną słuszną linią” centrali z wielkim trudem tylko — jeśli w ogóle — przedostają się do publicznej wiadomości. Wewnętrzna cenzura ex-opozycyjnej prasy niejednemu publicyście przywykłemu do klimatu niezależności myśli w podziemiu dała się już we znaki. Dziś centralna prasa w Polsce kontrolowana jest albo przez pozostałości nomenklatury albo przez solidarnościową grupę okrągłego stołu. Inne opcje można wypowiadać w lokalnych gazetkach, w niektórych, coraz rzadszych kwartalnikach, w umiejętnie dozowanych przez „jedyną słuszną ośrodkami decyzyjne” listach do redakcji kilku pism centralnych. Opozycyjna publicystyka (np. Leszek Moczulski) nie dorobiła się wiarygodnego organu, w którym mogłaby komentować bieżące wypadki. Poniekąd współzgodną tego stanu rzeczy są coraz bardziej historyczne zachowania uliczne. Myśl krytyczna względem wielu nie całkiem jawnych ustaleń z Magdalenki z wielkim trudem znajduje teren, na którym mogłaby się wyrazić jako członek dyskusji, i rzeczywiście niekiedy wyradza się w ślepe akty przemocy. Młodzi rzadko dopuszczani bywają do głosu w mass mediach *establishment*'u, być może to także skłania ich do zachowań agresywnych na ulicy? Nie mają bowiem wielkich szans innego wypowiedzenia swoich postulatów i niepokojów. W liście do redakcji w *Tygodniku Powszechnym* tak wyraża to jeden z młodych działaczy (Jerzy Wala): To, co dzieje się na ulicach i postawa młodzieży, ma swoje źródło także w postawie dorosłych. Wszystko zaczęło się od niektórych posunięć Wałęsy, a szczególnie od wyboru prezydenta, do czego przyczyniły się głosy kilku naszych, katolickich senatorów i posłów. Ta kręta postawa będzie się jeszcze długo mściła na nas. Może na razie uniknęliśmy rozlewu krwi w kraju, ale to, co się teraz dzieje, w wielu ludziach nie budzi entuzjazmu i nie napawa optymizmem na przyszłość”.

Wolno obawiać się, że wybory samorządowe pokażą, jak głęboko sparaliżowała nas nie tylko postsowiecka apatia, ale i jak niemądrze zmarnowano czerwcową okazję rozbudzenia społeczeństwa obywatelskiego. Nb. dość znamiennej reakcją przywódców solidarnościowych był wówczas odruch swoistej zazdrości — decyzja (później odwołana) rozwiązania komitetów obywatelskich. Tendencje „monopolistyczne” — wszak prawie pół wieku

żyliśmy w atmosferze zdominowanej przez monopartię — są niestety ciągle żywe. Ostatnie wybory na Opolszczyźnie również świadczą o monopolistycznym myśleniu. Solidarność i związany z nią ruch obywatelski postanowiły tam wysunąć Dorotę Simonides przeciw lokalnemu kandydatowi śląskoniemieckiej mniejszości, Henrykowi Krollowi. W drugiej turze zwyciężyła p. Simonides (w pierwszej przeważał Kroll), ale to solidarnościowe zwycięstwo okupimy bardzo drogo rozjątreniem niemieckich konfliktów. Zamiast uznać, że mniejszość niemiecka (o której jeszcze niedawno nasz wysoki dostojnik kościelny twierdził, że nie istnieje!) ma prawo do własnego przedstawiciela w Senacie, co prowadziłoby *de facto* do większego jej zintegrowania z polskim otoczeniem, do lepszego zadowolenia w naszych instytucjach publicznych, postanowiono jej do Senatu nie dopuścić. Myślę, że to bardzo niemądra decyzja. Na panią Simonides głosowano bowiem w atmosferze narodowych waśni — konfliktu przybyszów i miejscowych. Nie wolno było dopuścić do podziału według tych właśnie kryteriów, zwłaszcza w kontekście rychłego zjednoczenia Niemiec raczej należało zrezygnować z własnego kandydata, nie zdobyto się jednak na takie ustępstwo, przeważało myślenie w istocie monopartyjne. Pluralizm okazał się niedzielnym hasłem bez pokrycia w dzień powszedni?

Niedziela 11 lutego, spotkanie działaczy kultury lokalnych komitetów obywatelskich z wiceministrem kultury Starczewskim. Długa wypowiedź ministra, z której wynika, że plan Balcerowicza jest święty, że nie może być wyjątków dla twórców, wszyscy musimy cierpieć. W zasadzie chyba trudno oponować, ale trzeba postawić kilka pytań. Dlaczego w „krwiożerczych” krajach kapitalistycznych produkcja książkowa opodatkowana bywa z reguły niżej niż produkcja galanterii lub piwa? Dlaczego tam istnieje możliwość odpisu części podatków (m.in. fundacje — Forda, Rockefellera etc.) na cele uznane za szczególnie pożyteczne dla społeczności, a do nich wliczono właśnie kulturę? I wreszcie trzecie pytanie: skoro Ministerstwo Kultury jest tylko tubą i agendą Balcerowicza, może oszczędniej byłoby zlikwidować dość przecież okazały personel ministerstwa (bodaj pięciu wiceministrów!) przekształcając je — byłby to godny pochwały akt szczerości, skoro nie mamy pieniędzy na popieranie kultury i sztuki — w kilkuosobowe biuro pełnomocnika premiera do spraw kultury... Zapewne twórczość się wyżywi, jeśli znajdzie prywatnych fundatorów, ale po co podtrzymywać fikcyjne instytucje za pieniądze podatnika?

Brońcie się sami, powiadają dyżurni milicjanci napadany i okradany obywatelom. Rzeczywiście dobry pomysł. Należałoby ogłosić — ale pod protektoratem premiera Mazowieckiego, nie MSW — nowy zaciąg do Policji Państwowej, tworząc szkołę oficerów policji z prawdziwego zdarzenia, szkolonych nie przez sowieckich KGBistów czy rodzimych wykrywaczy ulotek KORu, ale przez doradców ze Scotland Yardu czy FBI. Kandydatami mogliby być przede wszystkim absolwenci prawa i medycyny sądowej. Pani Thatcher obiecała pomóc w tworzeniu kadr menadżerskich dla przemysłu, kadry naszej policji powinny jak najprędzej zmienić instruktorów...

Noc 13 grudnia pamięć zbiorowa zarejestrowała po swoim, zrazu jako mityczny konflikt Zła i Dobra („Orla Wrona nie pokona” — pisano na murach, kryjąc się przed sługami Złego Władcy). Wstrzemięźliwą relacją o niektórych aspektach tego czasu pozostanie *Kadencja* J.J. Szczepańskiego, symboliczną transpozycją poetycką *Raport z obłożonego miasta* Herberta. Tak się też podzielił świat kultury, aktorzy, pisarze, plastycy, po jednej Szczepański, Herbert... po drugiej telewizyjny dwór Generała od Urbana do Górnickiego i Żukrowskiego.

Ale historyjkę o Złym Wilku i pożartej Babcie wypadnie teraz całkiem przeredagować. Oto wszedłszy do chatki widzimy zaczajonego potwora, który wyszczerza kły, po czym goni nas, miotając ohydne przekleństwa. Pościg trwa wiele lat, aż tu nagle... Wilk zdejmując złowrogą maskę, ukazując poczciwe oblicze zatroskanej dobrem wnuczka Babcia. Stan wojenny był więc niejako na niby. Daliśmy się wciągnąć w zręcznie wyreżyserowane *qui pro quo* — nawet druga strona, owi Przymanowscy, Dobraczyńscy też chyba uwierzyli, że to naprawdę? Że naprawdę byli zabici w kopalni Wujek, że Przymek naprawdę został zamordowany przez milicjantów Kiszczaka, a Włosik przez kapitana SB Augustyna... A tymczasem kurtyna opada, trupy wstają, otrzepując kurz ze spodni, aktorzy kłaniają się publiczności... sam Autor udanego widowiska zostaje Prezydentem i wybiera się na grób ks. Popiełuszki w orszaku Służby Bezpieczeństwa.

Nie interesuje mnie znaczenie polityczne wydarzeń, to, że ludziom pokroju galicyjskich autonomistów (myślę o parlamentarnej dziewiątce) pchała się w drżące ręce niezbyt może chciana Niepodległość. Ale co za drwina historii! Kto nas ośmieszył?

Nasi „mózgowcy”, głoszący na niego 17 lipca? I jak to zapisze pamięć zbiorowa? Jako bohaterski epizod porównywalny do zrywu Legionów? Czy jako udział w gigantycznym bluffie? Jeśli iść tym ostatnim tropem, trzeba by uhonorować teraz wszystkich, którzy wiernie służyli Jaruzelskiemu owej nocy grudniowej. Zatem chwała Urbanowi i Żukrowskiemu. Zatem pomnik tysiącom posłusznych funkcjonariuszy, walących łomami do drzwi solidarnościowych wichrzycieli. Kto się tu dał nabrać? My, biegnący z rozczapierzonymi palcami na kościelno-patriotyczne uroczystości? Uczestnicy nie wiedzieć już czego, narodowego dramatu czy groteskowej maskarady? Jakąż to rolę graliśmy przez tyle lat? Czy zostanie po tym szczególnym „kryzysie tożsamości”, po tej kompromitującej konfuzji niesmak jak po zjedzeniu ocukrzanej żaby i mocne postanowienie, żeby nie dać się zrobić po raz wtóry we wzniosłe narodowe imprezy? Zadaję sobie to pytanie z niepokojem na dwa miesiące przed wyborami samorządowymi. Ilu z nas pójdzie jeszcze raz próbować?

Argument, który pada najczęściej za „porozumieniem”, to konieczność spacyfikowania potężnej nomenklatury. Gdybyśmy wypowiedzieli „im” wojnę, powiada się zwykle, mielibyśmy w kraju chaos i połałaby się krew, a wystraszeni zachodni bogacze nie zainwestowaliby w Polsce ani centa. Lepsze więc przejście pokojowe — „tamci”, zajęci rozkradaniem masy upadłościowej PRL, nie mają czasu na zorganizowany opór przeciw naszemu rządowi. Tak więc ewolucyjnie, krok po kroku rozmontujemy stare struktury i wprowadzimy nowe. Nie lekceważę tego argumentu, nie wzywam do krwawej rozprawy z pogrudniowym dworem Jaruzelskiego. Wskazuję natomiast na niebezpieczeństwo zrastania starej struktury z nową. Rumunia czy Bułgaria to dziś dość wymowne przykłady takiej symbiozy. Powstawanie ustabilizowanych układów, w których przechowuje się „wszystkich zwierząt po parze”, zakonserwuje PRLowskie pozostałości do następnego tysiąclecia. Czesław Bielecki na pełnym euforii spotkaniu zwycięzców na wiosnę 1989 roku (solidarnościowy kongres kultury na Uniwersytecie Warszawskim) ostrzegał przed trwałością komunizmu, zdolnego do proteuszowych przekształceń i wieloletniej hibernacji. Nawet jeśli sama ideologia cementująca mafijne grupy rozpadła się bezpowrotnie, wytworzyła ona wzory i refleksy, swoiste *patterns of behaviour*, które przez wiele pokoleń będą jak wirus w komputerze niszczyły nowopowstające tkanki wolnego społeczeństwa. Obawiam się, że zadowolone z niewątpliwych, ale nie całkiem utrwalonych sukcesów, nasze polityczne elity przestały o tym pamiętać.

POROZUMIENIE PONAD PODZIAŁAMI

W SPRAWIE WYBORÓW
DO SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO

Stawiamy dwa dezyderaty w sejmowej dyskusji nad projektem ustaw o samorządzie terytorialnym i ordynacji wyborczej do niego:

1. Każda grupa obywateli może na tych samych prawach zgłaszać listę, zebrawszy co najmniej sto podpisów dla swoich kandydatów. Godła i nazwy partii nie powinny być obecne na listach wyborczych, można je stosować tylko w toku kampanii wyborczej. Powinien zatem zostać uchylony artykuł 43 ustawy o ordynacji wyborczej.

2. Wójt, burmistrz i prezydent powinni być wybierani w głosowaniu bezpośrednim z osobnej listy kandydatów, niezależnie od list kandydatów na radnych. Powinien zatem zostać zmieniony zapis zawarty w artykule 29 ustawy o samorządzie terytorialnym.

Uzasadnienie

Wybory do samorządu przygotowywane są w szczególnej sytuacji, w której demokracja jeszcze nie funkcjonuje. Wymaga to stworzenia mechanizmów możliwie czystych, obiektywnych, które pozwolą wybrać bezpośrednio najlepszego przywódcę lokalnej społeczności i najlepszą drużynę, która będzie z nim współrzędzić. Nie wyklucza to możliwości zmiany tych mechanizmów wyborczych w przyszłości.

Podziały i różnice polityczne powinny wyrażać się poprzez argumentację merytoryczną zawartą w programach i poprzez wiarygodność biografii kandydatów. Tylko uczciwa konkurencja pozwala wyłonić najlepszych.

W imieniu Rady P.P.P.:

Czesław BIELECKI
Jerzy JACKL
Krzysztof PIESIEWICZ
Paweł SPIEWAK
Jan WASZKIEWICZ

Warszawa dn. 26.01.1990 r.

PRO DOMO SUA

W *Gazecie Wyborczej* z 18 lutego br. ukazało się omówienie książki Camusa „Człowiek zbuntowany” pióra Jana Gondowicza. Pan Gondowicz ocenił przekład tej książki, która ukazała się w Instytucie Literackim w 1958, za niedobry. Natomiast przekład tejże książki w tłumaczeniu Joanny Guze, która ukazała się w PIW-ie w 1973, uznał za doskonały. Ubolewa tylko, że przekład, który ukazał się w Polsce, był oceniany. Przekład Camusa, który ukazał się w Instytucie Literackim też był tłumaczony przez Joannę Guze. W ówczesnej sytuacji nie można było podać nazwiska tłumacza. P. Guze, lata później, przyznała się do autorstwa tego przekładu. Wydanie w Instytucie Literackim bynajmniej nie było cenzurowane i tekst był integralny. Radzimy p. Gondowiczowi, by uważnie czytał książki.

W numerze pierwszym wznowionego *Po prostu* z 10 lutego 1990 na czołowym miejscu ukazał się artykuł p. Aleksandra Małachowskiego, będący niewybrednym atakiem na *Kulturę*, która w swoim czasie bardzo ostro potępiła jego niepočitalne wystąpienia w Stanach Zjednoczonych, nie tylko na zebraniach i w prasie polonijnej, ale również na konferencjach w Departamencie Stanu i w innych oficjalnych instytucjach amerykańskich, w których występował, dając do zrozumienia, że występuje w imieniu „Solidarności”. Zrobiliśmy to z dużą przykrością, gdyż ceniliśmy p. Małachowskiego jako felietonistę i autora doskonałej książki „Rzecz Niepospolita”.

Redakcja *Po prostu* zapewne zamieściła ten artykuł kwitując w ten sposób stanowisko *Kultury* w związku z zamknięciem *Po prostu*. To ówczesne nasze wystąpienie było zerwaniem ze złudzeniami odwilży Gomułki i spowodowało ostre represje w PRL-u w stosunku do naszego pisma.

REDAKCJA

CZY POLITYKA PRZEPROSI?

Polityka zrezygnowała z łączenia proletariuszy wszystkich krajów. Słusznie, ale aby sprawiedliwości stało się zadość *Polityka* powinna jeszcze zrezygnować z tytułu i przeprosić Jerzego Giedroycia za kradzież nazwy jego przedwojennego pisma.

Paweł KŁOCZOWSKI
Uniwersytet Jagielloński

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Nie wydaje się, by Gorbaczow radośnie obchodził pięciolecie sprawowania władzy. Nie dlatego, że przybyło mu pięć lat ani że żadnej z obietnic danych narodowi nie spełnił, tylko dlatego, że sam w dzień rocznicy dostał podarunek — Litewska Republika Socjalistyczna oznajmiła, że opuszcza Związek Republik Sowieckich. Dnia 11 marca 1990 parlament litewski ogłosił niepodległość Litwy, a na prezydenta wybrał założyciela i przywódcę *Sajudisu*, Vaitaustasa Landsbergisa. Litwinom udało się wyprzedzić sesję Zjazdu Deputowanych Ludowych, na której najprawdopodobniej zostaną uchwalone poprawki do konstytucji, które utrudnią wyjście z ZSSR.

Za wcześniej jeszcze na to, by mówić o skutkach decyzji Litwinów. Moskwa ma jeszcze wiele atutów w ręku. Na przykład sowieccy ekonomiści, którzy w żaden sposób nie mogą pojąć, z czego wynika katastrofa gospodarcza, bez trudu obliczyli, że Litwini powinni zapłacić za wyjście ze Związku 33 miliardy dolarów. Rozmawiając 27 lutego na Kremlu z litewskimi posłami do Rady Najwyższej, Gorbaczow złowieszczo oznajmił: „Niech Litwa pierwsza zakosztuje niezawisłości”.

Jednak już dziś, na gorąco, można powiedzieć, że wyzwolenie Litwy jest przede wszystkim osobistą porażką Gorbaczowa. Odwiedził on Litwę w styczniu, rozmawiał, przekonywał, groził i tłumaczył: bez skutku. Otwierając 12 marca nadzwyczajną sesję Zjazdu kandydat na prezydenta ZSSR oświadczył, że uchwała litewskiego parlamentu „dotyczy życiowych interesów i przyszłości republiki, jej narodu i całego państwa sowieckiego”. Dziś zastosowanie siły wojskowej przeciwko Litwie wydaje się wykluczone. Nawet Jegor Ligaczow, ulubiony konserwatysta i reakcjonista prasy zachodniej, oznajmił że „problem (niezawisłości Litwy — A.K.) musi zostać rozwiązany metodami politycznymi. Czołgi w tym nie pomogą”. Tym niemniej 13 marca Gorbaczow oświadczył na Zjeździe, że o żadnych negocjacjach z Litwą mowy być nie może, ponieważ nego-

cjacje można prowadzić tylko z państwami obcymi, a decyzja litewskiej Rady Najwyższej jest aktem bezprawnym.

Atutem Moskwy jest przede wszystkim zależność ekonomiczna Litwy od Rosji. Związek Sowiecki dostarcza republice 97% niezbędnego jej paliwa. Litwa nie posiada też waluty — dysponują nią wyłącznie banki moskiewskie. Należy się spodziewać trudnych negocjacji. Zwróćmy uwagę, bo jest to sprawa ważna, że Zachód — który w zasadzie popiera decyzję Litwy — nie spieszy się z uznaniem jej niezawisłości. Zachodnie stolicy czekają na wyniki rozmów między Moskwą a Wilnem. W Waszyngtonie, Bonn, Tokio, Paryżu itd. umierają ze strachu żeby nie pomieszać szyków Gorbaczowowi. Zwraca uwagę, że wśród depeš, które chłodno powitały decyzję litewskiego parlamentu, najchłodniejsza była depeša Warszawy, która najwidoczniej nie chce urazić Moskwy.

Zostawmy analizę na później, przyszłość pokaże, co się stanie z Litwą, dziś można gorąco powitać jej decyzję. Ogłoszenie niezawisłości świadczy nie tylko o odwadze Litwinów, ale będzie też wzorem dla innych narodów ostatniego na świecie imperium kolonialnego.

Historia lubi żartować. Wyjście Litwy z ZSSR w piątą rocznicę władzy Gorbaczowa jest gestem ironii. Artykuł wstępny *Prawdy* z 11 marca, zatytułowany „Od wiosny 1985 do wiosny 1990” podsumowuje te lata, wycizając radości i smutnienia: „Poculiśmy się wolnymi obywatelami wolnego kraju — i odculiśmy skutki opustoszałego rynku, inflacji i deficytu budżetowego, zaznaliśmy gorczy waśni między narodami i społecznej niestabilności”. Mamy wprawdzie wiele powodów, aby twierdzenie o „wolnych obywatelach wolnego kraju” brać *cum grano salis*, żadnych natomiast nie ma wątpliwości, że wyliczenie jest zdecydowanie niepełne. Nie wspomina np. — i jest to charakterystyczne — o gwałtownym rozwoju ruchów narodowych. Ormiańska deputowana do Rady Najwyższej, Galina Starowojtowa, mówi o tym, że: „Na Zakaukaziu coraz więcej ludzi żyje tak, jakby Moskwa nie istniała, jakby nie było po co spoglądać w jej stronę i czegokolwiek od niej oczekiwać” (*Russkaja mysl* z 9.3.90).

Minione pięciolecie charakteryzowało się gorączkową działalnością ustawodawczą. Przez te lata wydano chyba więcej ustaw aniżeli przez poprzednie 67 lat władzy sowieckiej. W tym miejscu wypada wspomnieć Tacyta, który twierdził, że im bardziej tyrańska władza, tym więcej ustanawia praw. Ostatnie tygodnie wzbogaciły naród sowiecki o kilka kolejnych ustaw, z których dwie dotyczyły kwestii najważniejszych: ziemi (ustawa z 28.2.90) i własności (ustawa z 6.3.90).

Przed wszystkim należy powiedzieć, że jak wszystkie akty prawne ery Gorbaczowa, nowe ustawy sformułowane są naumyślnie niejasno i nieprecyzyjnie, co daje szerokie pole do różnych interpretacji. Po długich sporach i dyskusjach ustawodawcy postanowili, że: sowieccy obywatele dostają (mogą dostać) od państwa ziemię „w

dożywotnie użytkowanie z prawem zapisywania w spadku". Nie mogą jednak tej ziemi ani sprzedać, ani przekazać w dzierżawę osobom trzecim. Nadawać ziemię (tj. oddawać ją w dzierżawę) będą miejscowe sowiety: rozmiar dzierżawionych gospodarstw zależy więc będzie do uznania miejscowych kacyków. W skali kraju utrzymana zostaje zasada rolnictwa kolchoźniano-sowchozowego, a zatem system zależności między państwem a użytkownikami ziemi różnych kategorii — kolchozami, sowchozami, „dożywotnimi użytkownikami” — pozostaje bez zmian.

Ustawa o „własności w ZSSR” wprowadza pojęcie „własności obywatelskiej”. Można to uznać za postęp w stosunku do poprzedniej sytuacji, kiedy istniała wyłącznie własność „indywidualna”. Jednak ustawodawcy nie zdecydowali się na wprowadzenie zwykłej własności prywatnej, ponieważ — jak uporczywie twierdzi Gorbaczow — własność prywatna utrwała wyzysk człowieka przez człowieka. Różnica między własnością „indywidualną” a prywatną może się wydać semantyczną subtelnością, ale w gruncie rzeczy nowa ustawa rozszerza tylko nieco pewne prawa obywateli, nie jest jednak radykalną reformą i nie zmienia natury społeczeństwa.

Co więcej, zgodnie z przyjętą w czasach *pieriestrojki* metodą, ustawę, która na pierwszy rzut oka wprowadza coś radykalnie nowego, poprzedziła inna ustawa, zapewniająca bezpieczne lądowanie. 27 lutego Rada Najwyższa ZSSR ogłosiła ukaz „o zwiększeniu odpowiedzialności za nadużycia w handlu i spekulację”. Ukaz pozwala zwalczać „przestępcze zyski” — tak nazywają je komentatorzy — karać grzywnami i więzieniem udziałowców spółek, prywatniarzy, bohaterów „podziemia gospodarczego”, słowem wszystkich, którzy „czerpią zyski” z zaspokajania potrzeb obywateli, którzy duszą się od całkowitego braku towarów i usług.

Najważniejszą spośród przyjętych ostatnio ustaw jest chyba ustawa „o ustanowieniu urzędu prezydenta ZSSR”. Można oczywiście podać to w wątpliwość: ustawa o ziemi albo własności decyduje o charakterze społeczeństwa. Ale te ustawy, obwarowane tyłoma zastrzeżeniami, poddane tyłu interpretacjom w toku zastosowania, nieprędko jeszcze — o ile w ogóle — wywrą wpływ na prawdziwe życie. Natomiast wprowadzenie urzędu prezydenta to zmiana systemu politycznego. Ścisłej mówiąc, pozór zmiany.

Cofnijmy się pięć lat wstecz. Gorbaczow zostaje wybrany generalnym sekretarzem. Według moich obliczeń jest on — wliczając Lenina — siódmym sekretarzem. Podobnie jak wszyscy poprzedni, zaczyna od skupienia władzy we własnym ręku. Skupia jej coraz więcej. Jego rzeczywista władza — piszę o tym przez całe minione pięćdziesiąt lat — staje się jednak coraz mniejsza i mniejsza. Wynika to z narastającego kryzysu, z połowicznych środków, z niezdecydowania, z chwajnego charakteru siódmego sekretarza. Ale czym mniej władzy realnej, tym więcej władzy formalnej. Gorbaczow jest generalnym sekretarzem i przewodniczącym Rady Najwyższej ZSSR. Wydawałoby się, że już wszystko może. Ale chce on tylko jednego

— jeszcze więcej władzy. Jutro — jeśli nie stanie się cud — zostanie wybrany prezydentem ZSSR, które to stanowisko nigdy nie istniało i które — w majestacie prawa — daje mu władzę nieograniczoną. Mniej więcej pół roku temu najradykalniejsi zwolennicy reform — międzyregionalna grupa deputowanych — proponowali wprowadzenie urzędu prezydenta, licząc, że mając pełną władzę, Gorbaczow zdoła przeprowadzić niezbędne reformy strukturalne. Gorbaczow ostro wówczas odrzucił ich propozycję. Dziś żąda dla siebie fotela prezydenckiego, a grupa międzyregionalna sprzeciwiła się temu. Ten paradoksalny epizod lepiej niż wiele innych ilustruje brak autentycznych programów niezbędnych reform.

Stworzenie urzędu prezydenta stawia na porządku dziennym kwestię miejsca partii w strukturze państwa. To zagadnienie też tonie w gęstej mgle. W lutym plenum KC uchwaliło zmianę art. 6 konstytucji, dotyczącego kierowniczej roli partii w państwie. Na otwartym 11 marca zjeździe deputowanych ludowych omawia się dwa projekty nowego art. 6 i uzupełniającego go art. 7. Oba projekty są — raz jeszcze — tak wieloznaczne, mętne i niejasne, że odnosi się wrażenie, że partia dlatego ogranicza nieco swe pole działania, aby potem tym łatwiej je poszerzyć i wrócić do punktu wyjścia. Szerzą się także słuchy, że Gorbaczow zamierza włączyć do mianowanej przez prezydenta rady prezydenckiej całe Biuro Polityczne. W ten sposób wszystko wróciłoby na swoje właściwe miejsce. Na razie są to jednak tylko słuchy.

Pozostaje pytanie, co zrobi prezydent ze swoją władzą? Ustawa gwarantuje mu wszystkie prawa: rozwiązanie Rady Najwyższej, mianowanie i odwoływanie prezesa Rady Ministrów oraz wszystkich najwyższych urzędników państwowych, ogłaszanie stanu wyjątkowego itd. W praktyce jednak Gorbaczow mógł robić to samo i na dotychczasowych swoich stanowiskach. Spory o urząd prezydenta, o reformę polityczną — choć dziś, po wyborze Gorbaczowa, straciły walor praktyczny — są ciekawe, bo odzwierciedlają poziom myślenia politycznego w ZSSR i zróżnicowanie opinii. Pokróćce poglądy rozmaitych stron można streścić następująco: prezydent i silna władza potrzebne są już, bo sytuacja jest wyjątkowa. Zwolennicy urzędu prezydenta wychodzą z założenia, że idealny kandydat istnieje i uważają, że wybór Gorbaczowa pozwoli mu natychmiast rozwiązać problemy związane z kryzysem. Przeciwnicy uważają, że minione pięć lat pokazało, iż Gorbaczow ma skłonność do skupiania w swym ręku nadmiernej władzy, a zatem że istnieje niebezpieczeństwo kolejnego kultu jednostki.

Wszyscy podkreślali, że prezydent ZSSR powinien zostać wybrany w głosowaniu powszechnym. Tak przewiduje ustawa. Powołując się na nadzwyczajne położenie, Gorbaczow robi dla siebie wyjątek: jego wybierze nadzwyczajne zebranie deputowanych ludowych. Borys Jelcyn podkreśla w swych wspominiach, że Gorbaczow jeszcze nigdy nie kandydował w żadnych wyborach. Deputowanym na zjazd został z puli partyjnej.

Wybory prezydenta ZSSR rodzą mnóstwo problemów, na które na razie nie ma odpowiedzi. Pytanie np., czy każda republika będzie miała swojego prezydenta? Wszyscy oczekują, że prezydentem Rosji zostanie Borys Jelcyn, triumfalnie wybrany deputowanym w Swierdłowski. Jeśli pojawią się zbrojni w ogromną władzę prezydenci republik, to federacja sowiecka przekształci się faktycznie, a może i formalnie, w konfederację. Gorbaczow zażarcie się temu sprzeciwiał, sprzeciw jego został zapisany w partyjnej platformie dotyczącej kwestii narodowej. Najważniejszym problemem, jaki zrodzi urząd wszechmocnego prezydenta, będzie rola partii. Jaka będzie zależność między prezydentem a partią? Czy prezydent będzie, czy nie będzie członkiem partii? Będzie czy nie będzie jej generalnym sekretarzem? Doktor praw B. Kuraszwili wierzy, że „prezydentura nas uratuje” i uważa, że przyszły prezydent powinien opuścić stanowiska partyjne, w tym także członkostwo w KC. Ponieważ dziś istnieje w ZSSR tylko jedna partia — KPZS. Wkrótce jednak, jak sądzi Kuraszwili, powstaną prawdopodobnie trzy „socjalistycznie zorientowane partie”: lewicowa partia „zorganizowanego socjalizmu”, która zachowa nazwę „komunistyczna”, lewicowo-centrowa partia socjalizmu demokratycznego, która wpisze w swój program „przekształcenie socjalizmu na bazie produkcji towarowej w pełnym wymiarze z wykluczeniem drobnego przemysłu kapitalistycznego” i prawicowo-centrowa partia socjaldemokratyczna, która „dopuszczy prywatny przemysł kapitalistyczny w większych rozmiarach” (p. *Argumenty i fakty* nr 9, 3-9.3.1990). Kuraszwili sądzi, że prezydent będzie mógł oprzeć się na tych trzech partiach.

Gorbaczow robi aluzje do ewentualnej dymisji ze stanowiska generalnego sekretarza latem, na XXVIII zjeździe partii. Na razie jednak czyści aparat nietradycyjnymi metodami. W wielu obwodach organizuje gniew ludu na miejscowe kierownictwo partyjne: wiece, zebrania, demonstracje, słowem „rewolucję oddolną”. I aparat odchodzi — jedni podają się do dymisji, inni przepadają w wyborach. Tak było w Tiumeni, Czernihowie, Wołgogradzie i szeregu innych miast. Zmienia się aparat, autorytetu partii to jednak nie podnosi.

Argumenty i fakty — których nakład wynosił na początku 1990 roku 33 miliony i wzrasta o 100-200 tys. egzemplarzy miesięcznie — ogłosiły wywiad z Jelcynem, który uchodzi dziś za ewentualnego następcę Gorbaczowa (nr 9). O swoich konfliktach z Gorbaczowem Jelcyn mówi tak: „Ja wolałem najpierw przeprowadzić reformę polityczną, a potem iść na ekonomiczną... A my bez tego fundamentu rzuciliśmy się w reformę ekonomiczną... i po dziś dzień jeden błąd goni drugi”. Zdaniem Jelcyna w ciągu najbliższych sześciu miesięcy Gorbaczow „powinien zrobić krok do przodu, a chociażby, jako minimum, krok w lewo”. Nie jest całkiem jasne, co to znaczy: szykując się do wysokich funkcji, Borys Jelcyn zaczyna mówić mętnie i wieloznacznie...

Wiele piszę w tym przeglądzie o gorączkowej działalności usta-

wodawczej w Kraju Rad. Wypada więc wspomnieć o jeszcze jednej ustawie, ściślej o projekcie dawno oczekiwanej ustawy. Mam na myśli ustawę prasową. Jej projekt ogłoszono 5 grudnia 1989 r. Wszystko wskazuje na to, że nie zostanie on przyjęty na obecnej sesji zjazdu deputowanych ludowych. Dla porównania można powiedzieć, że w okresie reform Aleksandra II ustawę prasową uchwalono w 1865 r., cztery lata po uwłaszczeniu chłopstwa. Konstantin Barszta, autor artykułu „O jawności i wolności słowa” (*Ogoniok* nr 10, marzec 1990) porównał ustawę z 1865 r. z projektem ustawy z 1989 r. i dostrzegł różnice: „Wolność słowa drukowanego była niepodważalnym prawem każdego poddanego imperium rosyjskiego, bez różnicy tytułu i stanu”. W projekcie ustawy z 1989 r. widnieją następujące słowa: „Prasa i inne środki masowej informacji są wolne”. Autor artykułu komentuje: „Dzisiaj rozumiemy, że w rolnictwie wolny powinien być nie kołchoz albo sowchoz, tylko chłop. Że wolna powinna być nie spółdzielnia, tylko spółdzielca...”

Mówiąc o zachwalanej jawności, Barszta stwierdza: „ten wydużający się w miarę postępów demokracji sznur zmienia się w zbitą węzeł, a niekiedy w zręcznie zastawioną sieć. Zaplątała się już w nią rosyjska 'jawność' ubiegłego stulecia”.

Jedyną dobrą nowiną ostatnich tygodni było otwarcie w Moskwie na Placu Puszkina „Mac Donalda”, w którym obywatel sowiecki, odstawszy swoje w kolejce, może za 5,5 rubla zjeść *big mac'a*, frytki i koktajl owocowy. Negocjacje o otwarciu Mac Donalda w Moskwie trwały czternaście lat. Tym smaczniejsze zapewne jedzenie. Ponadto należy przyznać — niezależnie od tego, co myśli się o jedzeniu Mac Donalda — że naród sowiecki nie ma wielkiego wyboru. W 1989 r. ukazała się w Moskwie książka pod lirycznym tytułem „Jedzenie z apetytem”. Zawiera ona m.in. radę, która może się przydać wszystkim krajom zmierzającym ku kapitalizmowi: „Radzimy całkiem serio: cienki plasterk kielbasy połóżcie na dużym talerzu, obłóżcie go różnymi jarzynami, przyprawionymi produktami mlecznymi. Wędzona kielbasa będzie wydawać swój specyficzny aromat, skorzystajcie z niego. Niech cała rodzina siedzi za stołem, patrzy na kielbasę i wdycha jej aromat przez 10-15 minut. W tym czasie należy się odprężyć, nawet zamknąć oczy i wyobrazić sobie smak kielbasy. Następnie wszyscy zaczynają jeść jarzyny, a na kielbasę dalej tylko patrzeć... W ten sposób 200-300 g. wędzonej kielbasy może trzy-czterooosobowej rodzinie wystarczyć na miesiąc”.

Podobne rady świadczą, że nie wszystko jeszcze stracone, kryzys da się przezwyciężyć, pod kierownictwem prezydenta ZSSR kraj znów ruszy do przodu, ku świetlanym szczytom...

Adam KRUCZEK

14.3.1990

Kronika niemiecka

Czy zjednoczone Niemcy mają należeć do NATO, a jeśli tak, to w jaki sposób? Odpowiedź na to pytanie próbują znaleźć poszczególni politycy niemieccy obu państw. Zdaniem ministra spraw zagranicznych RFN, Hansa-Dietricha Genschera (FDP) zjednoczone Niemcy winny być członkiem Paktu Atlantyckiego, ale wojska tego paktu nie będą stacjonowały na terytorium byłej NRD. Natomiast przewodniczący eneradowskiej SPD, Ibrahim Böhme, jest zdania, iż zjednoczone Niemcy nie mogą być w żadnym wypadku członkiem NATO. Twierdzi on, iż możliwa jest demilitaryzacja Niemiec, przy jednoczesnym zachowaniu prawa czterech mocarstw (Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji i Związku Sowieckiego) do obecności wojskowej na terytorium Niemiec. ■ Premier NRD, Hans Modrow (PDS) uległ propozycji „okrągłego stołu” i rozszerzył skład swego gabinetu o przedstawicieli 8-miu ugrupowań opozycyjnych. Utworzyli oni tym samym „Rząd Odpowiedzialności Narodowej”, obejmując w nim ministerstwa bez teki. ■ 3.02.br. na warszawskim Okęciu wylądował samolot czarterowy PLL LOT z Frankfurtu nad Menem. Na pokładzie znajdowała się grupa 26 obywateli polskich, których deportowano z RFN. Jak opowiadał jeden z wydalonych, „policja wpadła do mieszkania i powiedziała mi, że będę musiał wyjechać do Polski. Trzy dni trzymali mnie w areszcie”. Minister Skubiszewski, który przebywał z oficjalną wizytą w RFN, rozmawiał — jak poinformowało Polskie Radio — i na ten temat. ■ *Alianz für Deutschland* — „Unia na rzecz Niemiec” — pod taką nazwą powstała pierwsza w NRD wspólna platforma wyborcza partii konserwatywnych. W jej skład weszły dotychczas współpracująca z komunistami Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna CDU, nowozałożona z inicjatywy polityków bawarskiej CSU Niemiecka Unia Społeczna DSU i partia Demokratyczny Przełom — DA. Kolejną wspólną płaszczyzną wyborczą pod nazwą „Związek 90” utworzyła lewica: Nowe Forum, Inicjatywa na Rzecz Pokoju i Praw Człowieka i Demokracja Teraz. Socjaldemokraci z SPD i komuniści z PDS walczą o głosy wyborców na własny rachunek. Do wyborów stanęło razem 41 partii i ugrupowań politycznych. Największe szanse ma SPD, która mimo to zakłada możliwość utworzenia rządu koalicyjnego, nawet w sytuacji, gdy zdobędzie zdecydowaną większość głosów. ■ Z kilkudniową, oficjalną wizytą w Bonn przebywał minister spraw zagranicznych RP, Krzysztof Skubiszewski, który spotkał się między innymi z kanclerzem Helmutem Kohlem, ministrem spraw zagranicznych, Hansem Dietrichem-Genscherem i przewodniczącą Bundestagu, profesorką Ritą Süsmuth. Genscher mówiąc o polskiej granicy zachodniej przypominał swe wystąpienie

nie na Sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ we wrześniu ubiegłego roku, deklarację Bundestagu z listopada ubiegłego roku oraz wystąpienie Kohla w Paryżu w styczniu bieżącego roku. We wszystkich trzech przypadkach strona zachodnioniemiecka podkreślała trwałość charakteru granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Rozmawiano też o współpracy gospodarczej, między innymi z ministrem finansów RFN, Theo Waiglem. Zachodnioniemieccy dziennikarze zastanawiali się w obliczu nowej sytuacji niemiecko-niemieckiej, czy Polska obawia się niepewnej, być może, pomocy z RFN w przeszłości. Skubiszewski jednak w wywiadzie dla *Kölnische Rundschau* powiedział: „Polska podpisała z RFN szereg konkretnych umów, których realizacja dopiero się rozpocznie”. Poruszono także problem rozwiązań „pojedynczościowych”. Skubiszewski opowiedział się przeciwko propozycji neutralności Niemiec, ale jednocześnie przyznał, że nie ma jeszcze sprecyzowanego zdania na ten temat. W obecnej sytuacji nie wyobraża sobie jednak rozszerzenia terytorialnego NATO aż po granicę na Odrze. „W obecnej sytuacji” — podkreślił z naciskiem Skubiszewski. ■ Do Moskwy udał się z błyskawiczną wizytą (*Blitzbesuch*) kanclerz Kohl w towarzystwie ministra Genschera. Zdaniem rządu w Bonn efektem tej podróży (10.02.br.) było zezwolenie Gorbaczowa na zjednoczenie Niemiec. „To dobry dla Niemiec dzień” — obwieścił Kohl już w Moskwie, nie zwracając uwagi na fakt, iż to premierowi NRD, Hansowi Modrow, Gorbaczow udzielił już wcześniej takiej zgody. W Bonn rozpowszechniano nawet pogląd, że Moskwa zgodziła się na przynależność zjednoczonych Niemiec do NATO. Wkrótce Kreml przypomniać musiał, że nadal nie widzi takiej możliwości. ■ „Nie kwestionując prawa do samostanowienia każdego narodu, nie odmawiamy również Niemcom takiej możliwości kształtowania własnej państwowości, jednakże na warunkach uwzględniających pokojowe współżycie, bezpieczeństwo i nienaruszalność granic wszystkich państw” — stwierdził rzecznik prezydenta RP, Włodzimierz Koziołski. Poinformował on także, że Jaruzelski rozmawiał na ten temat telefonicznie z Gorbaczowem. ■ W Bonn przebywała delegacja rządu NRD, na czele z Hansem Modrow. W jej składzie znaleźli się ministrowie bez teki, reprezentujący opozycję. Kohl zdecydowanie odrzucił program Berlina Wschodniego, w myśl którego Bonn udzielić winno NRD natychmiastowej pożyczki w wysokości 15 miliardów marek zachodnioniemieckich. Kohl jest bowiem zdania, iż ważniejsze jest wprowadzenie w NRD gospodarki wolnorynkowej i marki zachodniej. Jedynym konkretnym efektem wizyty było powołanie do życia mieszanej komisji, której zadaniem jest przygotowanie zasad unii walutowo-gospodarczej. ■ W Berlinie Zachodnim gościła minister kultury i sztuki RP, Izabella Cywińska, która przybyła (6.02.br.) na zaproszenie tamtejszej senator do spraw kultury, Anke Martini (SPD). W programie wizyty znalazły się między innymi spotkania z przedstawicielami Wyższej Szkoły Sztuk. Omawiano sprawy wymiany kulturalnej z wyższymi uczelniami artystycznymi w

Polsce. Cywińska wygłosiła także wykład na forum Friedrich Ebert Stiftung na temat sytuacji w polskiej kulturze w obliczu kryzysu gospodarczego. W Polskiej Misji Wojskowej spotkała się z zachodnioblerlińską Polonią. ■ Z jednodniową wizytą w Warszawie przebywał premier NRD, Hans Modrow, który spotkał się między innymi z Jaruzelskim, premierem Mazowieckim i innymi osobistościami. „Zjednoczone Niemcy nie mogą stać się nigdy zagrożeniem dla ich sąsiadów, lecz przyjąć muszą rolę partnera” — stwierdził Modrow przed członkami senackiej komisji do spraw zagranicznych. Premier NRD zapewnił również, iż traktat zgorzelski, na mocy którego NRD w roku 1950 uznała granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej, ma nadal moc obowiązującą. Rozmawiano również na temat współpracy w dziedzinie gospodarki i ekologii. ■ Trwa dyskusja na temat możliwości prawnych zjednoczenia Niemiec. Konstytucja RFN przewiduje dwie: jej artykuł 23 stanowi, iż obowiązuje ona również na terytorium pozostałej części Niemiec, z chwilą przyłączenia się do RFN. Zasadę tę wykorzystano już w przeszłości, gdy do RFN przyłączony został obszar Saary. Drugim rozwiązaniem jest artykuł 146, który stanowi, iż traci ona moc w chwili, gdy zastąpiona zostanie przez inną konstytucję, o której kształcie zadecyduje naród niemiecki w demokratyczny sposób. Jak na razie, za przejęciem zachodniemieckiego systemu prawnego wraz z konstytucją opowiedział się w NRD jedynie szef konserwatywnej partii DSU — Hans-Wilhelm Ebeling. ■ Otwarta Akademia Uniwersytetu Ludowego Monachium zorganizowała cykl imprez pod wspólnym tytułem „Przełom między Wołgą a Łabą”. W dniach od 19 do 21 lutego wystąpił Teatr 8 Dnia ze spektaklem pod tytułem „Piołun”, a 7 marca otwarta została wystawa fotografii dokumentalnej Zofii Rydet i Anny Beaty Bohdziewicz zatytułowana „Fotograficzne relacje z Polski”. ■ Co stanie się z Narodową Armią Ludową NRD po zjednoczeniu? Odpowiedź na to pytanie próbowano znaleźć we wschodnioblerlińskim Ministerstwie Obrony. Za całkowicie nierealne uważa się tam włączenie sił zbrojnych NRD w struktury paktu NATO. Równie nie do przyjęcia jest opuszczenie Układu Warszawskiego. Jedynym możliwym wariantem byłoby rozwiązanie obu pakatów wojskowych, co umożliwiłoby powstanie federacji państw niemieckich. W jej ramach obecna armia NRD stałaby się częścią sił zbrojnych państwa niemieckiego. ■ „O kształcie naszej granicy zachodniej nie zamierzamy z nikim pertraktować. Jest ona ustaloną częścią porządku europejskiego” — powiedział premier Mazowiecki na federacji prasowej w Warszawie. I dodał, iż „wszelkie dwuznaczności w kwestiach granicznych muszą zostać usunięte jeszcze przed zjednoczeniem Niemiec”. ■ Wicemarszałek Sejmu, Tadeusz Fiszbach, przebywał z sześciodniową wizytą w RFN. Prowadził między innymi rozmowy z prezydentem Richardem von Weizsäckerem i przewodniczącą Bundestagu, profesorem Ritą Süßmuth. Fiszbach stwierdził, że konieczne jest włączenie procesu zjednoczenia Niemiec w ogólnoeuropejski proces integracyjny. RFN zagwaranto-

wać musi nienaruszalność polskiej granicy zachodniej. ■ Na 40-tym, jubileuszowym Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie Zachodnim, słynnym „Berlinale”, polskie filmy nie miały szczęścia. W ramach „Berlinale” pokazano między innymi film Macieja Dejczerza „300 mil do nieba” i „Stan strachu” Janusza Kijowskiego. ■ W Poznaniu obradowało po raz szósty Forum Republika Federalna — Polska. Uczestniczyli w nim między innymi minister stanu zachodniemieckiego MSZ-tu, Helmut Schäfer, oraz historyk Karl Kaiser. Ze strony polskiej obecni byli minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski, prof. Bronisław Geremek i Jerzy Holzer, a także przedstawiciel niemieckiej mniejszości narodowej na Śląsku Opolskim, Henryk Król (lub Krol — jak chce prasa zachodniemiecka). Obrady toczyły się pod hasłem „Polacy i Niemcy w Europie na przełomie XX stulecia”. Jak relacjonowała bońska *Die Welt*, Polacy mówili przede wszystkim o swoim strachu związanym ze zjednoczeniem. Niemieccy goście próbowali łagodzić takie nastroje. ■ W drugiej turze wyborów o mandat senatora z Opolszczyzny zwyciężyła kandydatka „Solidarności”, profesor Dorota Simonides, która otrzymała ponad 67% ważnych głosów. Kontrkandydatem był przedstawiciel mniejszości niemieckiej, Henryk Król, który otrzymał ponad 32% głosów. Warto powiedzieć, że prof. Simonides zdobyła 86% głosów w samym Opolu, ale w podopolskich wsiach 81% wyborców głosowało na Króla. Jak zauważyli niektórzy obserwatorzy, największym błędem „Solidarności” było odepchnięcie Króla jako kandydata Komitetu Obywatelskiego. ■ Według wyników badań przeprowadzonych na zlecenie zachodniemieckiej stacji telewizyjnej ARD w Polsce, aż 68% ankietowanych uważa, iż ocze-kiwać należy pogorszenia stosunków polsko-niemieckich.

Grzegorz ZIĘTKIEWICZ

Sprawy i troski

INSTYTUT NA RZECZ DEMOKRACJI W EUROPIE WSCHODNIEJ (IDEE) W NOWYM JORKU

Instytut jest kontynuacją powstałego 13 grudnia 1981 w Nowym Jorku Komitetu Poparcia Solidarności (Committee in Support of Solidarity). Instytut zajmuje się działalnością informacyjną, wydaje dwumiesięcznik *Uncaptive Minds* (po angielsku) i serię „Konfrontacje” (po polsku). Od początku Komitet i Instytut zajmowały się materialnym i finansowym pomaganiem niezależnym działaniom w Polsce. Pierwsza pomoc była sporadyczna, głównie w drobnym sprzęcie: magnetofony, tranzystory, materiały do sitodruku, emulsja itd. W grudniu 1983 Komitet zorganizował w Nowym Jorku koncert Wandy Wilkomirskiej, który przyniósł 8300 dolarów. Była to pierwsza większa suma, której rozdzielenie na kilkanaście grup uzmysłowiło nam, jak wielka i niezaspokojona była potrzeba pomocy finansowej dla inicjatyw niezależnych, zwłaszcza pism i wydawnictw. Od tego czasu Komitet, a później Instytut, zwracał się do fundacji amerykańskich o pieniądze na pomoc opozycji w Polsce. Zawsze, bez wyjątku, Instytut wyraźnie oddzielał pieniądze przeznaczone „na Polskę” od pieniędzy na funkcjonowanie Instytutu. Rozdając pieniądze, kierowaliśmy się przede wszystkim zasadą pluralizmu. Sumy od 50 do 5000 dolarów przyznawaliśmy pismom i inicjatywom niezależnym już istniejącym, starając się dotrzeć poza Warszawę.

Poniższa lista obejmuje 194 pisma i inicjatywy podziemne, które od 1984 roku do 1 listopada 1989 otrzymały pomoc od IDEE, w łącznej wysokości 143.760 dolarów. Pieniądze były zawsze przesyłane i kwitowane w dolarach amerykańskich, na hasła, którymi były nazwiska kompozytorów, malarzy i poetów.

Lista ta nie obejmuje wydawnictw, które otrzymywały pomoc za pośrednictwem Funduszu Wydawnictw Niezależnych, któremu IDEE przekazywał pieniądze. Fundusz Wydawnictw Niezależnych obiecał opublikować swoje rozliczenia do końca roku 1989.

Nie są tu wymienione inicjatywy, organizacje i ruchy, którym IDEE przekazywał pieniądze bezpośrednio na prośbę fundacji, jak i te, o których nie piszemy bez porozumienia się z osobami zaangażowanymi. Inne kategorie pomocy, nie wymienione w tym spisie, to sprzęt kupowany na Zachodzie i przesyłany do Polski, pieniądze na obozy letnie, na biblioteki niezależne i akcje wyborcze.

Od 1986 roku fundacja Open Society, której założycielem jest George Soros, przekazała IDEE 200.000 dolarów na krótkoterminowe stypendia na Zachodzie dla młodej inteligencji polskiej. Stypendiami administrowała niżej podpisana, a w doborze stypendystów pomagało jej kilka osób z Polski: profesorowie, redaktorzy i inne osoby umiejące wybrać dobrych kandydatów na styku nauki i działań niezależnych. Do 1 stycznia 1990 ze stypendiów tych, w wysokości od 500 do 1000 dolarów, głównie na miesięczne lub dwumiesięczne pobyty w Paryżu i Londynie, skorzystało 177 osób. Przeważali wśród nich humaniści, ludzie młodzi i często związani z działalnością niezależną. Nie były to jednak stypendia kombatanckie, lecz stypendia mające pozwolić osobom zaangażowanym w działalność polityczną w Polsce na spędzenie kilku tygodni w bibliotekach i na seminariach naukowych w świecie normalnym. Ideą George'a Sorosa była pomoc przyszłym elitom politycznym i naukowym w Polsce i wśród osób zaangażowanych w życie polityczne i społeczne w obecnej Polsce dotrzeć można wielu stypendystów Open Society. Jednym z powodów do dumy, a jednocześnie powodem pewnych niesnasek, było to, że postanowiliśmy zarzucać sieci daleko i szukać stypendystów tam, gdzie inne fundacje nie sięgały, szczególnie poza tak zwanymi salonami, poza osobami znanymi powszechnie i już korzystającymi z innych stypendiów. Po założeniu w Polsce przez George'a Sorosa Fundacji im. Stefana Batorego program stypendialny IDEE zaczął się kurczyć, gdyż wydaje się, że ta fundacja, z biurem, urzędami i zarządem, może sobie poradzić w rozwinięciu programu stypendialnego w Polsce.

Warto może dodać, że od powstania Biura Solidarności w Brukseli jego kierownik uparcie powtarzał, mnie i nie tylko mnie, że pomaganie jakimkolwiek strukturom podziemnym w Polsce bez pośrednictwa Biura w Brukseli jest szkodliwe dla sprawy Solidarności, zaś niektóre pisma „niezależne” w Polsce nie chciały pisać o naszym Komitecie i instytucie, tłumacząc to niechęcią do nas kierownika biura „S” w Brukseli.

Instytut, gdyby to kogoś interesowało, zatrudnia, głównie przy wydawaniu *Uncaptive Minds*, dwie osoby na etacie, dwie na pół etatu, jedną na kontrakcie, a także korzysta z nieopłacanej pracy osób od dawna związanych z Instytutem.

O sposobie rozdysponowania pieniędzy w gestii IDEE w roku 1990 powiadomimy w osobnym oświadczeniu.

Irena LASOTA

LISTA PISM I INICJATYW, KTÓRE OTRZYMYWAŁY
POMOC OD IDEE W LATACH 1984-1989
(sumy i lata)

ABC 500/88, 500/89
Agencja Solidarności Rolników 100/87
Agora 500/89
Aletheia 1000/88, 1000/89
Almanach Humanistyczny 500/84, 500/86, 500/87, 500/88
Antyk 500/89
Archiwum Wschodnie 1500/88, 1500/89
Archiwum „Solidarności” 2100/87, 5000/89
Arka 500/88
Armenia 500/86
Ars 100/87
Aspekt 500/84
Baza 500/85, 300/86, 500/87
Bez Debitu 700/88, 500/89
Bez Dekretu 500/85, 400/86, 500/88
Biblioteka ABC 500/89
Biblioteka Konserwatysty 500/89
Biblioteka NZS Kraków 100/89
Biuletyn Dolnośląski 500/85, 300/87
Biuletyn Informacyjny „S” Białystok 200/86, 100/88
Biuletyn Informacyjny Obozu 400/88
Biuletyn Informacyjny Reg. Śr.-Wsch. 700/87
Biuletyn Łódzki 200/85, 200/87, 500/88
Biuletyn Służby Zdrowia 500/84
Biuletyn Wojenny 350/87
Brulion 700/88, 600/89
CDN-Głos Wolnego Robotnika 300/87, 300/88, 1000/89
CIA 150/88
Contra 500/89
Cracovia 1000/87
Czas 500/88
Czas „Solidarności” 1000/89
Czas Kultury 500/88
Czas Przyszły — Gdańsk 500/85
Dementi 1300/86, 500/88, 1000/89
Duszpasterstwo Ludzi Pracy „Wola” 500/89
Dzień 100/88
Ekolog Niezależny 500/89
Europa (pismo) 1000/89
Europa (wyd.) 500/88
Fakt — Łódź 500/88, 1000/89
Federacja Młodzieży Walczącej 500/86, 500/87
Feniks, Pokolenie, Szaniec 580/84, 300/85, 400/86, 700/87
Fundusz Inicjatyw Społecznych 500/86, 100/87
Gazeta — Puławy 100/87

Gazeta Podlaska 200/87
Gdzieś w Polsce 500/86
Głos 500/87, 500/89
Głos Łodzi 200/87
Głos Medyka 200/86, 100/87
Głos Śląsko-Dąbrowski 500/86, 500/87
Górnik 500/86
Grizzly 250/88
Grot 300/85, 400/88
Grupy Polityczne Bródno 100/85
Grupy Polityczne Wola 500/85, 500/86, 1000/89
Hipolit 100/87
Horyzont 650/87, 300/88
Hutnicy 82 450/85
Humik 1000/84, 200/88
Iskierka ZNTK 100/85
Janosik 200/85
Jesi-śmy 500/86, 300/87
Karta 500/85, 500/87, 500/88, 700/89
Komitet Helsiński 1020/85, 500/86
KOS 100/87, 500/88
KOS Gliwicki 200/87
Kronika Małopolska 500/88
Krytyka 500/87
Kultura Niezależna 500/85, 500/86, 1300/87, 500/88
Kurier Akademicki 150/88
LDPN 500/89
Małopolskie Wydawnictwo Prasowe 500/89
Manifestacja Gliwicka 100/87
Metrum 500/87
Miesięcznik — Lublin 500/86
Miesięcznik Małopolski 200/85, 500/88
Miś 200/87, 350/88
Most 500/86, 1000/87
MRKS-CDN 1000/86
Myśl 100/85
Myśl Niezależna 200/86
Myśl Państwowa 300/87
NAI 100/85, 300/87
Nasz Czas — Gdańsk 200/85
Nasz Głos 500/87
Nawis Aids 100/88
Niepodległość — Kraków-Katowice 200/87
Niepodległość — Warszawa 500/86, 200/87
Niezależne Słowo — Wałbrzych 200/85
Notatnik Polityczny 500/88
Nowa 100/86, 500/87
Nowa Koalicja 400/88, 1000/89
Nowohucki Biuletyn Strajkowy 500/89
Nurt 100/88
Nurt (Kielce) 300/87
NZS Kielce 200/89
NZS Kraków 800/89

NZS Warszawa 600/89
 Obecność 300/87
 Obóz 300/87
 Obraz 300/88
 Obserwator Wielkopolski 500/87, 500/88
 Oficyna Niepokornych 200/87
 Orientacja na Prawo 500/87
 Oświata — Wrocław 500/85
 Oświata Niezależna — Łódź 500/89
 Paragraf 300/88
 Piechur 500/88
 Podziemny Informator — Katowice 200/87
 Pokolenie patrz Feniks
 Polityka Polska 500/85, 500/89
 PoMost 800/88, 500/89
 Poza Układem 300/89
 Praworzędność 250/85, 500/86, 300/89
 Praca 200/88, 500/89
 Prawy Margines 510/88
 Pro Patria 300/88
 Promieniści 500/85, 300/87, 500/88, 500/89
 Przedświt 500/84
 Przegląd Polityczny 300/85, 300/86, 500/88
 Przegląd Poznański 100/87
 Prześwit 300/88
 PWA 200/85, 500/86, 500/87, 2000/88, 2000/89
 Radio „Solidarność” 400/86, 300/87, 300/88
 Reporter 500/88
 Republika — Lublin 400/88
 RIS 500/86, 200/87
 RKS Toruń 1000/84, 500/85
 Robotnik 300/89
 Robotnik Łódzki 200/89
 Robotnik Pomorza Zachodniego 200/89
 Robotnik Wielkopolski 200/89
 Rola Katolicka 200/88
 Rolnicy 500/85
 Samorzady studenckie 100/84
 Sektor 300/86
 SKN Wrocław 500/86
 Solidarność — Częstochowa 100/87
 Solidarność — Katowice 500/87
 Solidarność — Konin 100/87
 Solidarność — Poznań 250/85, 350/87
 Solidarność — Wadowice 100/87
 Solidarność Dolnośląska 200/87
 Solidarność — Górny Śląsk 800/85
 Solidarność Grzegorzeczka 300/85, 100/88
 Solidarność Hutników 200/88
 Solidarność Lublin 500/87
 Solidarność Nauczycielska — Lublin 1000/85, 500/87
 Solidarność Podbeskidzka 100/87
 Solidarność Podkarpacka 200/85

Solidarność Polsko-Czechosłowacka 1000/89
 Solidarność Rolników 100/87
 Solidarność Trwa 400/88
 Solidarność Walcząca 1500/85, 1500/86, 300/87, 1000/88
 Solidarność Walcząca (Kom. Par.) 300/88
 Solidarność Walcząca (Łódź) 200/88, 500/87
 Solidarność Walcząca — Gdańsk 600/88
 Solidarność Walcząca — Poznań 500/85, 1000/88, 500/89
 Solidarność Walcząca — Trójmiasto 300/88
 Solidarność Zwycięży 200/85
 Spotkania 500/88
 Strzecha 100/87
 Studenci 900/85
 Świat 500/89
 Szaniec patrz Feniks
 Szkoła 500/86
 Toruńska Oficyna 500/89
 Toruński Informator Solidarności 500/85
 Trzynastka-13 500/84
 Tumult 1300/89
 Tygodnik Mazowsze 500/85, 500/86
 TZR Poznań 250/85, 300/87
 Vacat 600/85, 500/86, 500/87
 Veto 250/85
 Video Gdańsk 1000/89
 Video-Nowa 200/86
 Viktoria 100/87
 Walka 200/87
 Warszawskie Zeszyty Historyczne 500/89
 Wers 500/87
 Wezwanie 500/85, 300/87, 300/88, 500/89
 Wiadomości 100/85, 650/87, 500/89
 Wiadomości Bieżące 100/87
 WIP Kraków 200/87
 Wola 800/85, 500/86, 800/87, 800/88, 1000/89
 Wydawnictwo „W” 500/84, 300/86
 Wydawnictwo Most 500/89
 Wydawnictwo Prasowe Myśl 2100/87, 2500/88
 Wytrwałość 500/86
 Wyzwolenie 400/86, 500/89
 X — wydawnictwo — Kraków 200/87
 Z dnia na dzień 800/85, 800/87
 Zak 100/89

Do druku podała Irena LASOTA

Kronika kulturalna

Myśli o Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie

Przed kilkoma miesiącami, u schyłku r. 1989, ukazał się nowy, już czternasty tom *Pamiętnika Literackiego**, wydawanego przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie od r. 1976. Jest to niewątpliwą zasługą redaktora naczelnego i prezesa Związku dra Józefa Garlińskiego, nie dającego się zniechęcić trudnościami i wykazującego godną podziwu pomysłowość w ustalaniu wytycznych poszczególnych tomów. Obowiązuje w nich dwudzielność: 1/ zestaw artykułów na górujący w danym tomie temat, 2/ stałe rubryki, składające się na kronikę Związku i obraz ruchu wydawniczego poza Krajem w formie wykazów sporządzonych przez Bibliotekę Polską w Londynie. W objętym tomem XIV spisie wykazano 171 tytułów druków zwartych w języku polskim wydanych w r. 1988. Znaczenie tej bieżącej rejestracji jest ogromne. Korzystają z niej biblioteki, wydawcy, księgarze, polskie rozgłośnie radiowe i wszyscy kompletujący wydawnictwa bieżące z różnych dziedzin. Korzysta z nich kraj przy uzupełnianiu braków w posiadanych przez Bibliotekę Narodową i inne placówki naukowe zbiorach książek, do niedawna wziętych w zbiorach specjalnych („resach”).

Jestem jednym z nielicznych już żyjących uczestników organizacyjnego zebrania Związku, zwołanego jesienią 1945 r. na Belgrave Sq., gdy w Londynie grasował Jerzy Borejsza, namawiający pisarzy do powrotu i czarujący mirażami wysokich nakładów i wspaniałych karier. My jednak, a była nas spora gromadka, „wybieraliśmy wolność”, zdając sobie sprawę, że czeka nas niełatwa egzystencja i że mamy przed sobą trudny byt emigranta politycznego. Aby podkreślić fakt, że zdajemy sobie sprawę z ówczesnej sytuacji, nadaliśmy powstającej organizacji nazwę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (na mój *nota bene* wniosek). Pamiętam, że wrócono nam krótki

* *Pamiętnik Literacki*. Tom XIV. Wyd. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn 1989, s. 203. (Redaktor: Józef Garliński).

życiowy, wyrażając obawy o wierność językowi w obcych krajach i środowiskach, o brak możliwości publikowania książek i podtrzymywania pism, skoro adresami większości członków Związku były obozy PKPRu, „dipisów” i przygodne, a z reguły tymczasowe „miejsca postoju”.

U podstaw Związku stała potrzeba nawiązywania kontaktów za ścigającymi do londyńskiej „stacji przeladunkowej” kolegami po piórze, preradzająca się w instynktowną potrzebę tworzenia na obcej ziemi i właśnie w Londynie czegoś w stylu bratniej pomocy o skromnych ambicjach reprezentacyjnych a żywym przeświadczeniu, że w gromadzie da się pręcej coś zrobić i dla „sprawy polskiej” i dla piśmiennictwa polskiego w ogóle. Z rezerwą odnieśliśmy się do propozycji indywidualnych zgłoszeń do ofiarującego gościnę angielskiego PEN-Clubu, co proponował eks-członek polskiego oddziału Międzynarodowego PEN-Clubu z czasów wojny (za pośrednictwem Marii Kuncewiczowej) życzliwy Polakom Hermon Ould, łudząc szansami wejścia na rynek wydawniczy angielski. Nasza własna swoista „międzynarodowość” Związku skupiającego pisarzy z całego wolnego świata była ucieczką przed zgubieniem się w diasporze, tym, co Tymon Terlecki malowniczo nazwał „skrzykiwaniem się” nie tylko pisarzy już aktywnych i „drukowanych” (głównie w czasopiśmie), ale i wyłaniającego się z powojennego chaosu narybku. Pamiętam zebranie (w roku bodaj 1947), na którym Stanisław Mackiewicz (Cat) zdziwił się mnogością nieznanych mu postaci i zażądał, by młodzi, w większości przybyli z Włoch i okupowanych Niemiec, legitymowali swoją obecność relacją o dotychczasowym dorobku. Związek istnieje już 45 lat i w działalności jego dopatrzeć się można kilku faz i zmian form działalności. Zmienił się skład i, o czym rzadko się wspomina, układ generacji; dawne konflikty starych i młodych przeobraziły się w różnice postaw przedstawicieli różnych fal emigracyjnych; Londyn przestał być głównym ośrodkiem życia literackiego poza krajem, a stosunki z krajem z miesiąca na miesiąc pogłębiają się i komplikują. Na nowo, jak u kresu drugiej wojny światowej, jesteśmy świadkami tworzenia się nowych środowisk i koterii, nowych koncepcji roli pisarzy i placówek wydawniczych, i nowych adresów w diasporze.

W tych właśnie warunkach niezmiernie szczęśliwym pomysłem było poświęcenie wydanego obecnie t. XIV *Pamiętnika Literackiego* „omówieniu losów tych polskich pisarzy, których wojna rozrzuciła po całym świecie” i próbie ich rejestracji. Z grona ich wyszedł w r. 1945 zespół „Pilgrim fathers”, od których Związek się rozpoczął. Było ich według opublikowanej na wstępie tomu „Listy pisarzy polskich, którzy znaleźli się poza krajem na skutek wojny” siedemdziesięciu dziewięciu. Z listy wyliczyć jednak wypadało, już w r. 1945, zmarłych: Marię Jasnorzewską-Pawlikowską, Lecha Piwowara, Wojciecha Skuzę, Władysława Sebyłę i Andrzeja Wolice; nazwiska większości pozostałych figurują na listach wczesnych członków Związku. Zabrakło w nim jednak tych, którzy do kraju powrócili (np. Tuwim,

Pruszyński, Słonimski) oraz trzymających się na uboczu (np. Gombrowicz, Parnicki, Kuncewiczowa).

Na pytanie, jakie były losy wojenne i tych, którzy do r. 1945 dotrwali i tych, którzy daty tej nie dożyli, odpowiada obszernie i na ogół zadziwiająco rzeczowo Angielka, Nina Taylor, do tego stopnia pozyskana dla słowa polskiego i naszej literatury, że nawet formalnie jest członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Na 38 stronach najeżonych danymi bio- i bibliograficznymi omówiła losy znajdujących się w latach 1939-1945 poza Polską pisarzy, w nielicznych tylko wypadkach (co zresztą mnie dotyczy) ograniczając się do suchego wyliczenia nazwiska. Nie porywając się na pedantyczne sprostowania przypomnę, że np. Konstanty Jeleński „znalazł się poza krajem” i gdy ja pisałam do *Wiadomości* i *Nowej Polski*, łącząc to z nocnymi dyżurami w charakterze *firewatchera* w Stanmore, on zużywał zwolnienia z oddziału na studia w St. Andrews czy Oxfordzie.

Opracowanie Niny Taylor ma układ chronologiczny skrzyżowany z topograficznym, co oznacza, że po ogólnym wprowadzeniu i omówieniu okresu paryskiego słusznie potraktowane są oddzielnie najważniejsze etapy i adresy kolejnych środowisk pisarskich na szlaku 2-go Korpusu i w Wielkiej Brytanii. Omówieniom towarzyszą krótkie i dosadne oceny roli poszczególnych twórców. Interesującą wypadł rozdział „Apoteozy i dysharmonie”, w którym w pojedynku Tuwim-Wierzyński przegrał autor *Kwiatów polskich*. Nina Taylor nie podpisuje się pod kridlowskim określeniem Tuwima jako „sumienia poetyckiego emigracji” i uważa, że „patrząc z perspektywy lat, należy raczej Wierzyńskiemu przyznać bardon tyrejski za jego bezpośrednie zaangażowanie i usłużebienie poezji” (str. 22). Rozdział „Górkimi ścieżkami...” jest wymownym świadectwem urzeczenia Vincenzem i Stempowskim. W „Innym wymiarze rzeczywistości” na specjalne wyróżnienie zasługuje stopień zrozumienia losu pisarzy zesłanych do ZSSR. Tak np. widziała więzienia przejściowe, w których na dziedzińcu spotkać było można „pół Lwowa pod Pamirem, zobaczyć klientelę z 'Ziemiańskiej' albo gdzieś na śnieżystych bezdrożach natrafić na dawno zagubionego kuzyna” (s. 30). Warte uwagi są wymowne tytuły rozdziałów: „Orenburski wiatr”, „Exodus do Ziemi Obiecanej: poeci w pustyni”, „Do Anglii soczystej (?)”, „Powroty, odwroty i kołowroty” (tu słowa prawdy o Słonimskim), wreszcie „Reemigracje” z cytata z „Spraw emigracji” Tymona Terleckiego, zamykającą trafną klamrą rozważania Niny Taylor.

Uzupełnieniem i udokumentowaniem okoliczności decyzji życiowych Tuwima, Broniewskiego i Gałczyńskiego są „Trzy trudne powroty” pióra Jerzego R. Krzyżanowskiego. Jest on zdania, że twórczość wszystkich tych pisarzy mogłaby rozwinąć się inaczej i trwać dłużej, niż trwała w krajowych warunkach. Przecistawia im Wierzyńskiego, Miłosza i Mrożka, których twórczość poza krajem przewyższa dawne krajowe osiągnięcia. Od siebie dodam: i *tak i nie*.

Ze słowa wstępnego od Redakcji formułującego założenia tomu XIV wynika, iż tematyka artykułów wiązać się będzie z 50-tą rocznicą wybuchu drugiej wojny światowej. To tłumaczy umieszczenie wspomnień Jerzego Pietrkiewicza („Coraz szersze widnokreśli”), Józefa Bujnowskiego („Retrospektywny wywiad” — fragmenty autobiografii w interesująco ujętym a imaginacyjnym wywiadzie z samym sobą) i Jana Winczakiewicza („Tamten rok”) i wzruszająca relacja o sesji tarnowskiej, poświęconej omówieniu twórczości śp. Jana Bielatowicza, reprezentującej gawędę szlachecką i najlepsze cechy tradycji polskiej, przeniesionej na obczyznę i wskrzeszonej piórem świetnego a niedocenianego prozaika.

Trzonem tomu XIV *Pamiętnika Literackiego* są artykuły problemowe Andrzeja Pomiana i Tadeusza Wyrwy, omawiającego postawy i zadania pisarzy polskich po wrześniu 1939, i wywiad z Janem Józefem Lipskim o roli cenzury w obecnym układzie stosunków na rynku wydawniczym.

Andrzej Pomian w eseju pt. „Pisarze, walka i społeczeństwo” omawia różne formy służby ojczyźnie: programowo-patriotyczną i pośrednią, realizowaną przez każde wybitne dzieło, które „wzbogaca kulturę polską”. „Kordian” i „Grób Agamemnona” Słowackiego pobudzały ducha narodowego — sprawie polskiej służyły jednak także i takie poematy, jak „W Szwajcarii” czy „Ojciec zadżumionych”, w których nie ma ani jednego słowa o Polsce.

Tadeusz Wyrwa w 44-stronicowym omówieniu problemów „Służebności czy służalczości inteligencji twórczej” wychodzi, jak już z tytułu wynika, poza ramy etyki pisarskiej i zajmuje się przede wszystkim oceną postaw współczesnej inteligencji polskiej. Motto wyjęte z pism tragicznego poety powstania warszawskiego, Zbigniewa Jasińskiego, temat jeszcze poszerza o rozważania nad kluczowym zagadnieniem stosunku do *całej prawdy* historycznej: „Baczmy, rodacy, aby świetny dar wolności słowa i druku nie zagnął nam w przemilczaniu prawdy”. Wyrwa dostrzega różne formy odchylenia od rzetelności pisarzy i historyków, ogarniając surowymi sędziami krytycznymi zarówno twórców krajowych jak i emigracyjnych, domagając się od ogółu inteligencji „czystości moralnej”. Skażeń prawdy historycznej dopatruje się zarówno w *Hańbie domowej* Trznadla, jak i w tomie wywiadów pt. *Oni* Teresy Torańskiej, obarczonych grzechem „naciąganej lewicowości”. Wyrwa zastrzega się, co prawda, że dopuszcza istnienie orientacji lewicowej i że toleruje pomoc „obcych ośrodków politycznych”, biada jednak nad faworyzowaniem lewicy, co jest, jego zdaniem, „istotnym powodem przemilczania prawdy o piśmiennictwie na emigracji”. Nie tylko zresztą piśmiennictwie: Wyrwa podpisuje się pod oskarżaniem Kuronia o wpływanie na poglądy warszawskiego korespondenta BBC, a Jana Nowaka o „podobną pieczę” nad programami „Głosu Ameryki”; „jeśli chodzi o radiostację Wolnej Europy — pisze Wyrwa — to nie wiem, kto ma ostatnio nad nią pieczę, gdyż zmiany personalne są tam dość częste” (s. 116). Opinie o prof. Geremku, Woroszył-

skim, *Aneksie* nasuwają przypuszczenie, że „grzebać będziemy ryczałtem”... W artykule Wyrwy nie brak interesujących i trafnych ocen w formie np. dygresji o jaskrawych wadach i brakach w hasłach dotyczących Polski i literatury polskiej w wielkich encyklopediach, słownikach i kompendiach francuskich. Artykuł Wyrwy zamykają rozważania o roli i „tradycyjnej misji” inteligencji polskiej, której obecne postawy „budzą wątpliwości”.

Redakcja *Pamiętnika Literackiego* w bliskim sąsiedztwie artykułu Wyrwy umieściła wywiad Reginy Wasiak z Janem Józefem Lipskim, którego wieczór autorski urządzony został w POSKu staraniem Związku i odbył się 4 lipca 1989 w przepelnionej Sali Malinowej. Lipski, przedstawiciel potępianej przez Wyrwę „warszawskiej lewicy”, omawiał sytuację kraju po świeżo odbytych wyborach.

Swoistym *curiosum* jest artykuł Chińczyka Zhang Zhen-Huej pt. „Dlaczego napisałem monografię o Sienkiewiczu” napisany poprawną, ale silnie zabarwioną „nowomową” polszczyzną. Sienkiewicz przypadł Chińczykom do smaku, ponieważ „zachęcał naród do walki z agresorami i kolonistami zachodnioeuropejskimi”... Autor uważa, że słusznie potępił Chmielnickiego, który „zdradził swoją ojczystą Polskę” i zwalczał „wielkich patriotów”: Wiśniowieckiego i bohaterów „Trylogii”.

Rocznik uzupełniają stałe rubryki; przedruk głosów o poprzednich tomach *Pamiętnika* (w tym recenzja t. XII w *Więzi*, 1989, nr 4 pióra P.K. [Pawła Kądzeli?] z podkreśleniem wagi artykułu Niny Taylor pt. „O kulturę polską w Anglii”, listu do Komitetu Redakcyjnego Wiktora Londzina i uzasadnienie konfiskaty przez celników PRLu t. IV *Pamiętnika* z obszernym streszczeniem mojego artykułu pt. „Miłosz prozaik” jako naruszającego art. 13 PC — z analogiczną oceną spotkał się wywiad Józefa Garlińskiego z Miłoszem w t. IX, w którym uwagę cenzora, kontrolera celnego L. Dziemidowicza, przyciągnęły nadto „reklamy i spisy książek wydanych na Zachodzie, które pozbawione są debitu na polskim obszarze celnym”. Ciekawe, czy celnik-erudyta ma nadal zastosowanie swej wiedzy? Przytoczone wyżej przykłady datują się, jak wynika z daty wydania t. IX, z roku 1985. *Pamiętnik* kontynuuje ogłaszanie „Wykazu książek wydanych w 1988 r. poza krajem w języku polskim” i, jak w latach poprzednich, opracowuje go Biblioteka Polska w Londynie.

W kontynuacji „Słownika pisarzy polskich na Obczyźnie” pojawia się jeszcze raz w tym tomie niestrudzona Nina Taylor, która opracowała sumiennie, a nawet rewelacyjnie, biogramy czterech pisarzy już nie żyjących: Anatola Krakowieckiego, Herminii Naglerowej i obojga Mackiewiczów, Józefa i Barbary Toporskiej. Uzupełnia je nekrologia r. 1988, przynosząca obok krótkich notatek o Jerzym Kłossowskim Niemojowskim i Stefanie Korbońskim zyciorys i ocenę działalności naukowej śp. prof. Wiktora Weintrauba pióra jego następcy na katedrze języka i literatury polskiej na Uniwersytecie Harvard, prof. Stanisława Barańczaka.

Nagrodę Związku otrzymała w r. 1988 Zofia Romanowiczowa

za całokształt twórczości. „Niekłóre uwagi” o jej wspaniałym dorobku pisarskim przynosi erudycyjny artykuł prof. Józefa Bujnowskiego. Nagrodę za książkę roku 1988 przyznano Edmundowi Banasikowskiemu z USA za książkę pt. *Na zew ziemi wileńskiej*, łączącą wartość dokumentarną z walorami narracji. Sylwetkę autora skreślił i znaczenie książki omówił Józef Garliński w „Zobowiązaniu serdecznym”.

Z kroniki wynika, że w znacznej mierze dzięki wysiłkom i uporowi prezesa, dra Józefa Garlińskiego, Związek działa i przyciąga nowych członków. Jest ich obecnie 105 w 15 krajach wolnego świata. Z trudnych do zrozumienia powodów brak na liście członków Czesława Miłosza i dobrze już zasiedziały na Zachodzie pisarzy o głośnych nazwiskach (np. Wojciecha Karpińskiego, Sławomira Mrożka, Adama Zagajewskiego i in.). Stoją przed nimi otworem łamy *Pamiętnika Literackiego* i różne formy udziału w imprezach Związku, a zwłaszcza londyńskich wieczorach autorskich.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Fejjo, 5.II.1990

Louis Armstrong z Krakowskiego Przedmieścia

Będąc w Warszawie, po raz pierwszy po dwunastu latach, poza cmentarzami zwiedzałem głównie księgarnie oraz antykwiariaty, krążąc starym szlakiem papierowego mola: Krakowskie Przedmieście — Wiejska — Piękna — Nowogrodzka. Ponieważ był to okres strajków, panowało ogólne przygnębienie, ale w PIW-ie na Foksal w dalszym ciągu za ladą witała gości pani Bianka, a na Koszykowej miła kierowniczka księgarni, mająca dla swoich stałych klientów zawsze czułe słowo, wypowiedziane dyskretnie. Na przykład: — Miłosz będzie w piątek.

Zerknąłem do „Harendy” naprzeciw Pałacu Staszica, ale Jaś Himilbsbach już nie żył, było ciemno i głucho. Jeszcze chwila, myślałem, a spotkam Adolfa Rudnickiego na spacerze, uśmiechniętego jak Mona Liza. Tymczasem spotkałem swoją koleżankę szkolną, której nie widziałem dobre trzydzieści lat. Nie zmieniła się prawie, tylko osiwiła. W gimnazjum, do którego chodziliśmy, na Ochocie, pisałem jej czasem wypracowania z polskiego, w zamian za informacje o jej siostrze-pływaczce, w której byłem zakochany. Teraz

wymieniliśmy kilka zdawkowych informacji na tematy ogólne, po czym poinformowała mnie, że „Dzienniki” Dąbrowskiej są jeszcze na Mokotowie. Pojechałem na Belwederską. Były.

Jeśli idzie o Himilsbacha, to jest to osobny temat, wart z pewnością szerszego omówienia. Wszystko było w nim nietypowe i przesunięte, poczynawszy od jego złamanej przegrody nosowej, ale w stronę sowizdrzalską i groteskową, z silnym akcentem czarnego humoru, typowego dla Warszawy i jej rdzennych mieszkańców. Stanowił rodzaj połączenia współczesnego Franca Fiszera z Nikiforem, a może i z Utrillo. Niewielki, krępy, rubaszny, z głosem zbliżonym do Louisa Armstronga śpiewającego „Mały gigolo”, co niekoniecznie musiało być spowodowane upodobaniem do zimnych zakąsek. Z Armstrongiem łączyła go też czysta nuta zachrypniętego liryzmu.

Lubił ludzi i wyzywał się w kontaktach z nimi. Kompan świata, mający zawsze czas dla innych. Wszyscy go znali i on znał wszystkich, poczynając od grabarzy, kwiaciarzy i okazjnych sprzedawców choinek, a na prominentach od kultury i sztuki kończąc. Do młodszych i rówieśników zwracał się per „kawalerze”, a do starszych: — „panie szanowny”, dodając zwykle: — „pozwól pan na chwileczkę”, co się wiązało na ogół z próbą uzyskania pożyczki, zresztą niewygórowanej. Jako człowiek anegdoty i bohater setek opowieści nie trzymał się przesadnie faktów, sterując raczej ku puentom, stąd trudność w rozróżnieniu, co w jego życiu stanowiło żart, a co fakty.

Urodził się, jak twierdził, w biednej rodzinie żydowskiej, która w całości, jak utrzymywał, została przerobiona na mydło. „Do zobaczenia na półce na mydło” — zadedykował swoją ostatnią książkę jednemu z naszych wspólnych znajomych. Wychowywał się na Bródnie, przygarnięty przez ludzi, a potężnie złamany nos, nadający jego twarzy wyraz bolesnego zaciekawienia, pozwolił mu wejść w nowe środowisko bez większych przeszkód. Z zawodu był kamieniarzem nagrobkowym oraz murarzem, przez co miał żywy kontakt z realnym życiem, w przeciwieństwie do wielu późniejszych jego kolegów-pisarzy, zbierających materiały do swoich dzieł na trasie Plac Zamkowy — Wiejska i z powrotem.

Autorem został przypadkowo, jak opowiadał, w wyniku zaciągu, jaki ogłosił po zakończeniu swojego wieczoru autorskiego na budowie jeden z literatów krakowskich. Rzecz się działa w latach stalinowskich, na Mariensztacie. Na pytanie, czy ktoś z obecnych na wieczorku nie zechciałby zostać pisarzem, Jaś, który prowadził gazetkę ścienną swojej brygady, wstał i powiedział:

— Owszem. Chciałbym zostać pisarzem, jeśli można.

I został. Ogłosił kilka opowiadań w prasie literackiej, nie trzeba było więcej. Przynawano mu stypendia. Jako murarz-pisarz był fetowany, a jego głosu, jako głosu ludu, słuchano z powagą. Jeździł na zjazdy młodych zdolnych, gdzie poznał Marka Hłasko, z którym się zaprzyjaźnił. Kiedy Hłasko zamieszkał na Zachodzie, Jaś wybie-

rał się do niego przez lata, sprawa jednak stale upadała przez niemożliwość wypełnienia i złożenia odpowiednich formularzy.

W jego dowodzie osobistym wpisana była data urodzenia — 31 luty, nieistniejąca w kalendarzu, co podkreślał nie bez dumy. Ponieważ mieszkalem na szlaku jego stałych wędrówek, wpadał do mnie dość często z niezmienną propozycją przechylenia szkla, na co nie zawsze przystawiałem, czego obecnie żałuję.

Był człowiekiem romantycznym i z sercem. Kiedyś zachorowałem i leżałem z gorączką, nie mogąc się ruszyć. Wpadł Jaś, dałem mu więc receptę wystawioną przez lekarza oraz trochę pieniędzy na lekarstwa. Wrócił po trzech dniach, w nocy, z kolegami, aby odwiedzić chorego. Przynieśli ze sobą apteczkę, wyrwaną chyba z jakiegoś autobusu albo innego środka komunikacji miejskiej, którą mi wręczyli, życząc zdrowia.

W latach sześćdziesiątych wydał w PIW-ie zbiór nowel, na które czekaliśmy, jego przyjaciele. Zatyłował go „Monidło”. Okazało się wówczas, że miał czasem absolutny słuch językowy oraz dar kreacji i potrafił produkować samorodne klejnoty. Gdyby mi kiedyś przyszło układać antologię powojennej literatury polskiej, w co zresztą bardzo wątpię, to z całą pewnością zamieściłbym w niej opowiadanie z tej książki o dzieciach kradnących węgiel. Jedno z najbardziej przejmujących opowiadań z okresu okupacji, gdzie za pomocą kilku kresek przedstawiony jest nastrój, zgroza i nędza tamtych lat. Przede wszystkim jednak był autorem niezliczonej ilości cennych powiedzonek, uderzających bezpośredniością i wyczuciem chwili. „Drogi budują, a iść nie ma dokąd” — miał oświadczyć kiedyś na widok maszyny i robotników układających asfalt. Były to ostatnie dni Gomułki. Czy: „Im dalej, tym bliżej”.

Nieco później reżyser Marek Piwowski, mający oko do ludzi, zaproponował mu rolę w filmie „Rejs”. Film był średni, ale jako komedia cieszył się dużym powodzeniem z uwagi na zjawiskową rolę Himilsbacha. Tak zaczęła się jego kariera aktorska. Nie bał się kamery, a fakt że może nic nie robić, jak nazywał pracę w filmie, i jednocześnie brać za to duże pieniądze, był dla niego źródłem nieustającego zachwytu. Zaczął jeździć do Łodzi, do wytwórni filmowej, i nauczył się żargonu filmowców. „Mam piętnaście dni!” — mawiał z błyskiem w oku, a więc dużą rolę i spory zarobek.

Jego nieskrępowany sposób poruszania się, żywa gestykulacja i niski, chrypiący głos o ludowej, warszawskiej intonacji sprawiły, że stał się popularną postacią kinematograficznego muzeum snów. Ludzie poznawali go na ulicy, rozdawał autografy, udzielał rad nowicjusom. Na ekranie wypadwał zwykle bezbłędnie, grając właściwie tylko jedną rolę, siebie samego. Nie rozumiał aktorów denerwujących się na planie, z trema. „To chyba dlatego, że po szkole aktorskiej” — wyjaśniał. Zmienił także tryb życia, ale nie za bardzo. Czasami bywało, że muza w postaci żony zamykała go w domu, aby tworzył i nie poddawał się zgubnemu wpływowi kolegów. Żeby się nie ugiął pod presją tych kategorycznych ograniczeń,

stanowczo odcinających go od niebanalnych uroków życia, znajomi, wzywani telefonicznie, odwiedzali go z czymś mocniejszym i wsuwali kolarski wentyl z jednej strony do flachy, a z drugiej w dziurkę od klucza.

Ponieważ czasem współpracowałem z filmem, Jaś zaproponował mi kiedyś współdziałanie w scenariuszu. Było to jedno z jego opowiadań, nieco rozwinięte, na potrzeby srebrnego ekranu. Nazywało się to konspekt, czyli pomysł. „W 39 roku, we wrześniu, w niemieckim myśliwcu lecącym nad Pelcowizną psuje się silnik i samolot wbija się w ogródek przed domem publicznym. Powstaje zamieszanie. Jednak lotnik ratuje się i wychodzi cało z katastrofy. To jest Ślżak, mówiący po polsku”.

— Co dalej? — pytałem zaintrygowany śmiałym rozwiązaniem akcji.

— Człowieku, w kinie najważniejszy jest dobry początek, resztę się dopisze!

Sprawa scenariusza wałkowała się jakiś czas w naszych rozmowach, aż w końcu przeszła na aktora Maklakiewicza, z którym Jaś się poważnie zaprzyjaźnił. Maklakiewicz stał się w końcu jego *alter ego* i razem stworzyli kapitalny i nie do końca wykorzystany duet, bodaj najlepszą męską parę w filmie polskim.

Czasami miewał dalekowzroczne przebłyski intuicji, jak to poeta. Przed wyjazdem z Warszawy na wakacyjne roboty do Szwecji spotkałem go pod „Harendą”, gdzie urzędował na stałe. Po wysłuchaniu moich planów oświadczył stanowczo:

— Pojedziesz i przepadniesz. Mogę ci postawić piwo.

Po krótkiej rozmowie wymieniliśmy poważny, męski uścisk dłoni, ostatni, jak się okazało.

Potem dochodziły mnie przez znajomych smutne wiadomości, że choruje, był operowany i został inwalidą. Nadal jednak pisał, drukował nowele i nie opuszczał „Harendy”, królując przy swoim stoliku. Kiedy wydał nową, kolejną książkę, zamówiłem ją sobie. Nazywała się „Łzy sołtysa”. Cały Jaś w tym tytule, a książka ciekawa przede wszystkim z uwagi na osobę autora. Wrócił w niej do języka i ducha swojej młodości, to jest do socrealizmu, przedstawiając w niej grzeczny, miły i łagodny świat, gdzie wszystko się dobrze składa. Napisał ją z pewnością nie z serwilizmu, a z potrzeby poczytaniego serca. Ale filmy zostaną i kilka opowiadań, w tym to o dzieciach, kradnących węgiel.

Żegnaj Jasiu. Niech ciebie bogowie radości, którym służyłeś wiernie tyle lat, mają teraz w swojej opiece! I wesole duchy wina, co kpią sobie ze stu większych i stu siedmiu mniejszych kłopotów tego i tamtego świata!

Michał WYSZOMIRSKI

Paryż, czerwiec 89

KOMUNIKAT

Celem uczczenia pamięci swego wieloletniego Prezesa
i Prezesa honorowego

ZYGMUNTA KALLENBACHA

Fundacja im. Kościelskich w Genewie ogłosiła konkurs na jednorazową nagrodę Jego imienia.

Nagrodzone będzie dzieło literatury polskiej żyjącego autora, które ukazało się po raz pierwszy po 1 stycznia 1981 w kraju lub za granicą i zostanie uznane za najlepsze przez Jury Fundacji.

Umotywowane zgłoszenia należy nadsyłać wraz z dwoma egzemplarzami książki do 30 czerwca 1990 r. na adres sekretarza Fundacji: prof. Zygmunt MARZYS, 58 av. de Beauregard, 2036 Cormondrèche, Szwajcaria, z zaznaczeniem: „Konkurs na nagrodę imienia Zygmunta Kallenbacha”.

AUKCJA POLSKIEJ SZTUKI I ANTYKÓW — CZĘŚĆ I ze zbiorów śp. dra Józefa A. Malejki z Nowego Jorku

Duży zespół obrazów, akwarel i rysunków wybitnych polskich artystów XIX wieku. Polskie memorabilia wojskowe, szable, orderzy, medale, monety i banknoty. Stare polskie srebra, listy i dokumenty królewskie.

Stare polskie ryciny — widoki miast i portrety.

Aukcja dnia 20 stycznia 1990 r. o godz. 4:00 pm.

Wystawa wszystkich przedmiotów 19 stycznia oraz w dniu aukcji. Adres: 177 Kent Street, Greenpoint, Brooklyn, NY 11222. Ilustrowany katalog w cenie \$8.00 oraz wszelkie informacje otrzymać można u Z. Michael Legutko, Lipert Gallery, 147 Milton Street, Brooklyn, NY 11222, tel. (718) 383 4429

Aukcja — Część II — malarstwo nowoczesne — planowana jest w maju 1990 r.

Książki

Flannery O'Connor: sztuka deformacji

Spośród pisarzy amerykańskiego Południa Flannery O'Connor zajmuje teraz drugie — po Williamie Faulknerze — miejsce w hierarchii literackiej. Żyła krótko, zaledwie 39 lat i przez całe swoje dorosłe życie walczyła z postępującą chorobą, która uczyniła z niej kalekę. Z tego powodu jej dorobek jest skromny: dwie krótkie powieści, dwa zbiory opowiadań (w sumie niespełna dwadzieścia tytułów) oraz już pośmiertnie wydany wybór szkiców. Ostatnio całość jej dzieła w edycji krytycznej ogłoszono w prestiżowej serii wydawniczej Library of America. Jest to równoznaczne z mianowaniem Flannery O'Connor klasykiem literatury amerykańskiej. Dotychczas w tej serii ogłoszono jedynie utwory zebrane Hawthorne'a, Edgara Allana Poe, Henry Jamesa, a ze współczesnych — Faulknera. Ponadto 1200-stronicowy tom opracował i opatrzył przypisami wieloletnia przyjaciółka Flannery O'Connor, pisarka Sally Fitzgerald, która teraz pisze jej biografię i jest redaktorem dużego tomu jej korespondencji.

O'Connor urodziła się w 1925 roku w Georgii w rodzinie katolickich farmerów pochodzenia irlandzkiego. Po kilkuletnich studiach w Atlancie przeniosła się na wydział literacki uniwersytetu stanowego w Iowa, uczelni, która wykształciła wielu głośnych pisarzy. Flannery O'Connor była bodaj najwybitniejszą jej absolwentką. Po napisaniu pierwszej swej powieści, pod tytułem *Mądrość we krwi* dowiedziała się, że cierpi na nieuleczalną chorobę układu immunologicznego. Jej rozwój można niekiedy powstrzymać steroidami, które powodują odwapnienie organizmu. Na tę chorobę umarł jej ojciec, gdy przyszła pisarka miała lat piętnaście. Odtąd zaczął się jej wyścig z czasem. O'Connor wróciła na rodzinną fermę, gdzie hodowała pawie, gęsi i osły i — prócz pielgrzymki do Lourdes — już stamtąd nie wyjeżdżała. Lekarze pozwolili jej pracować tylko

kilka godzin w tygodniu. Dlatego aż siedem lat zajęło jej napisanie drugiej powieści, *Gwałtowni zdobywają Królestwo Niebieskie*. Uważa się jednak, że prawdziwy kunszt osiągnęła w opowiadaniach.

Jej twórczość stanowi wyzwanie wobec arystokratycznego mitu Południa. Jest zaprzeczeniem stereotypu szlacheckich ofiar. Pisarka skupiła się przede wszystkim na środowisku zwanym pogardliwie *white trash* — białym śmieciem. Obserwowała je z pozycji *outsider'a*, nie tylko z racji wykształcenia i pozycji socjalnej, ale przede wszystkim światopoglądu. Była katoliczką w regionie, którego przytłaczającą większość stanowią protestanci, w tym — protestancy fundamentaliści. Biała, uboga ludność Południa jest grupą szczególną: żyje w rozproszeniu, na ogół na pustkowiu. Jest zaciekle wobec wszystkiego, co uważa za obce, fanatyczna, skrajnie rasistowska. Po dziś dzień jej praktyki religijne budzą zdumienie. Stamtąd pochodzą wędrowni kaznodzieje, którzy potrafią wprowadzać wiernych w stan zbiorowych halucynacji, ozdrowiciele leczący dotykami, szarlatani sprzedający psi smalec i nalewkę na węzach. Chrząst u fundamentalistów odbywa się jak za Jana Chrzciciela — przez całkowite zanurzenie w rzece.

Specjalnością Flannery O'Connor są opowieści o nawiedzonych i opętanych, o samozwańczych misjonarzach idących za głosem powołania, domokrażnych sprzedawcach Biblii, mordercach z mistycznymi skłonnościami. Wypunktowany finał każdego z tych utworów jest najczęściej opisem gwałtownej śmierci, okaleczenia lub — utraty twarzy. Gwałtowność kreowanych przez Flannery O'Connor postaci, ich ciągłe rozdarcie między dobrem a złem, stale obecny plan metafizyczny, każą się zastanowić nad wpływem na pisarkę lektur Dostojewskiego, z jedną wszakże zasadniczą różnicą: amerykańskiej autorki nie interesowały studia świadomości. Jej postacie działają na poziomie instynktu, co nie znaczy, że rządzi nimi imperatyw wyłącznie biologiczny. Odwrotnie: ci ludzie mają głęboko zakorzenione poczucie grzechu. Człowiek, wedle Flannery O'Connor, jest zasadniczo bytem religijnym, nawet w zaprzeczeniu, gdy dopuszcza się najbardziej odrażających czynów.

Jej pisarstwo zalicza się do tak zwanej Szkoły Południa, której twórcy, pochłonięci anomaliami społecznymi i psychologicznymi — dziedzictwem historycznym tego regionu — przedstawiają rzeczywistość w znacznej deformacji. Często operują groteską, epatują niesamowitością, odwołują się do zjawisk nadprzyrodzonych. Przedmiotem ich fascynacji jest jednostka na granicy patologii. Flannery O'Connor zwykle się stawiać w jednym rzędzie z takimi twórcami Południa jak Truman Capote, Tennessee Williams, Carson McCullers. Pisarka odżegnywała się od takiego powinowactwa, a już szczególnie protestowała przeciwko porównaniom z McCullers — autorką *Ballady o smutnej knajpie* — uważając jej twórczość za trywialną i egzaltowaną. Niekiedy krytycy widzieli w niej epigona, a nawet następczynię Faulknera. Ona sama do tego stopnia obawiała się mimowolnych pożyczek od mistrza, że unikała lektury jego dzieł.

Charakterystyczną cechą stylu Flannery O'Connor jest zdystansowany tok naracji, wskutek czego kontrast między gwałtowną treścią a chłodną formą staje się tym większy. Pisarka często posługuje się ironią i kostycznym, czarnym humorem. Regionalizmy stosuje z umiarem, natomiast skupiła się przede wszystkim na odtworzeniu rytmu języka mówionego na Południu. Pragnęła oddać, jak to określiła, „brzmienie naszej mowy”. Ceniła konkret i żywy opis fizyczny; od analizy na ogół stroniła, dlatego niektórzy krytycy zarzucają jej antyintelektualizm. Przy pierwszej lekturze jej utworów można ulec złudzeniu, że są one obrazkami rodzajowymi, które składają się na galerię typów z Południa. Jednakże każdy z tych realistycznych utworów ma jednocześnie mniej lub bardziej ukryty plan symboliczny. Zasadniczy konflikt, wedle Flannery O'Connor, polega na zderzeniu światopoglądu religijnego ze świeckim. W ujęciu amerykańskiej pisarki nawet najbardziej obłąkany prorok ma w sobie pierwiastek świętości, natomiast ateista, wierzący tylko w świat materialny, gdzie wszystko można naukowo wyjaśnić, reprezentuje cechy diabelskie. Pierwszy swój zbiór opowiadań, pod tytułem *Trudno znaleźć dobrego człowieka*, autorka określiła jako dziewięć studiów na temat grzechu pierworodnego. Grzech ten jest dla niej równoznaczny z pychą i z wybujałą miłością własną. Człowiekowi dany jest jednak moment łaski lub objawienia. Jest to doświadczenie zawsze gwałtowne, powodujące cierpienie i ból. W takiej chwili człowiek ma do wyboru przyjęcie lub odrzucenie tajemnicy swej egzystencji i zdobycia możności zasadniczej przemiany. Bohaterami prozy Flannery O'Connor są ludzie, którzy chcą zbawić świat. Te próby kończą się dla nich samych lub dla ich otoczenia katastrofą, ponieważ w zaślepieniu lub pysze nie chcą pojąć istoty łaski, odrzucają objawienie.

Utwory O'Connor są rodzajem mrocznych, krwawych moralitetów. Tytułowa nowela wspomnianego zbioru, *Trudno znaleźć dobrego człowieka*, ma kryminalną akcję, ale w istocie jest dysputą teologiczną między mordercą a jego ofiarą. Traktuje o winie, karze i wybaczeniu w myśl nauk Chrystusa. Stara kobieta, w której obecności zabito syna, synową i wnuków, tuż przed śmiercią zwraca się do zbiegłego z więzienia skazańca-ojcobójcy: „Jesteś jednym z moich dzieci”. Zbieg nie korzysta z daru łaski i zabija staruszkę. Motyw matko-, ojco- lub dzieciobójstwa stale powraca w opowieściach Flannery O'Connor. Niekiedy staje się czynem, niekiedy ukrytym pragnieniem, drażącym stworzone przez pisarkę postacie. W opowiadaniu „Widok na las” stary farmer zabija w ataku szału ukochaną wnuczkę. W opowiadaniu „Domowe wygody” syn strzela z rewolweru do matki, w noweli „Chromi wejda pierwsi” ojciec staje się sprawcą tragicznej śmierci nadwrażliwego chłopca (wątek ten Flannery O'Connor rozwinęła następnie w powieści *Gwałtowni zdobywają Królestwo Niebieskie*). Jednym z najsłynniejszych jej opowiadań jest utwór zatytułowany „Osoba przemieszczona”. Jego bohaterem jest Polak-uchodźca, który po wojnie przybywa do Stanów

Zjednoczonych z żoną i dwojgiem dzieci, i zostaje zatrudniony na fermie w Georgii. Doskonałe studium na temat obcego, przybysza, w planie symbolicznym wyraźnie nawiązuje do Ewangelii. Polak nazwiskiem Guizac staje się w tym dramacie Chrystusem ukrzyżowanym, który ponosi śmierć z ręki zawistnego robotnika rolnego. Żona zabójcy reprezentuje faryzeuszy i uosabia siły zła, a właścicielka fermy pełni rolę ludu hebrajskiego.

We własnych oczach pisarka pragnęła być kimś w rodzaju następcy starotestamentowych proroków i jak oni — w osamotnieniu, z oddali — ostrzegać przed grożącą apokalipsą. Pozostawała pod znacznym wpływem pism Teilharda de Chardin, francuskiego jezuita i mistyka. Tytuł swego drugiego zbioru opowiadań, *Wszystko co wznosi się, dąży do jednego punktu*, zaczerpnięta z jego teorii wyłożonej w dziele *Fenomen człowieka*. Sens ludzkiej działalności polega na ciągłym pięciu się w górę, w kierunku punktu Omega, ostatecznej, tajemniczej „Wielkiej Obecności”. Miłość jest czynnikiem konwergencji, a egoizm, rasizm i ignorancja powodują cofanie się na tej drodze. Ciągną świat w dół, w kierunku pierwotnej materii. Słońce, stale pojawiające się w twórczości Flannery O'Connor, symbolizuje obecność Chrystusa i możliwość niewyczerpanej łaski.

Zapytana, dlaczego zajmuje się metafizyką z punktu widzenia konserwatywnego katolicyzmu, Flannery O'Connor tak odpowiedziała: „Dla pisarza chrześcijańskiego ostateczną rzeczywistością jest Wcielenie. Tyle, że nikt już w Inkarnację nie wierzy, to znaczy nie wierzą z nią tak zwani oświeceni ludzie, którzy sięgają po moje książki. Moją publicznością są ludzie, którzy uważają, że Bóg umarł”. Pisarka postanowiła zastosować więc kurację wstrząsową i tak określiła rodzaj stosowanej przez siebie ekspresji: „Do ogłuchłych muszę krzyczeć, dla słabo widzących muszę pisać dużymi literami”. Taki rodzaj misjonarstwa w literaturze może wywołać sprzeciw, i twórczość Flannery O'Connor była przedmiotem krytyki. Artystyczne zwycięstwo pisarki nastąpiło poniekąd wbrew jej zdecydowanie zakreślonym przekonaniom religijnym. W autokomentarzu do powieści *Gwałtowni zdobywają Królestwo Niebieskie* autorka stwierdziła, że w osobie nauczyciela o przekonaniach laickich pragnęła przedstawić współczesnego Szatana. Człowiek ten bezskutecznie usiłuje wychować w duchu oświeconym siostrzeńca — młodocianego fanatyka i kalekę z prowincji. Pragnie go przekonać, że grzech nie istnieje. Autorka pisze dalej, że sama utożsamiała się z dziadkiem nawiedzzonego chłopaka — domorosłym prorokiem i pustelnikiem, który zaszczepił mu wiarę w zbawienie i gróźbę wiecznego potępienia. Tytuł powieści, wypada dodać, jest cytacją z Ewangelii według Świętego Mateusza. Komentarz tego wersetu, wedle Biblii Tysiąclecia, brzmi następująco: „Królestwo Niebieskie nie zamyka się w ramach Starego Prawa, bo nie wchodzi się do niego tytułem dziedzictwa, lecz zdobywa się je osobistym wysiłkiem jako odpowiedzią na łaskę powołania”. Stronniczość wyrażona przez autorkę jakoś

nie przeniknęła do książki. Powieść jest wykładnikiem wielu racji; młody dzikus ze szpotawą nogą wcale nie zyskuje sympatii czytelnika, za to rzekomo diabelski wuj-nauczyciel wzbudza więcej współczucia.

Krytycy niechętni prozie Flannery O'Connor twierdzą, że jej utwory stale traktują o tym samym: o zstąpieniu Ducha Świętego (jak w opowiadaniu „Ciągły chłód” — opisie agonii młodego mężczyzny), o Czyścću (jak w opowiadaniu „Objawienie” — bagatelnym z pozoru zajściu w poczekalni u lekarza), o tajemnicy Wcieleń (jak w noweli „Plecę Parkera”, historii prostaka i gburą, który zmienia się w chwili, gdy na plecach daje sobie wytatuować wizerunek Chrystusa). Taka wąska wizja w widzeniu świata może być słabością lub siłą pisarstwa, zależnie od punktu widzenia krytyka. Z pewnością jednak nie można odmówić prozie Flannery O'Connor intensywności, napięcia, wysokiego ciśnienia. Już w swej pierwszej książce autorka zakreśliła wyraźnie pole eksploracji. *Mądrość we krwi* jest opowieścią o młodym prowincjuszu, weteranie II wojny, który wraca do Georgii zdewastowany duchowo doświadczeniem na froncie europejskim. Ponieważ nie może się zgodzić z myślą, że tak okrutny świat został stworzony przez Boga, staje się kaznodzieją Kościoła Bez Chrystusa. Jest pierwszą z postaci Flannery O'Connor ginących gwałtowną śmiercią.

Paradoksem twórczości tej programowo katolickiej pisarki jest fakt, że przedstawiony przez nią świat jest tak mało podatny na dwie pozostałe cnoty chrześcijańskie: nadzieję i miłość. Niepokojąco też przedstawia pisarka postacie kalek, które w jej prozie pojawiają się nieustannie. Niekiedy odnosi się wrażenie, że napięcie, tak obecne w prozie Flannery O'Connor, jest także wynikiem gwałtownego buntu autorki przeciwko jej własnemu kalectwu i cierpieniu, powolnemu umieraniu w męczarniach.

Renata GORCZYŃSKA

U kresu

Od lat jestem pilnym czytelnikiem książek Władysława Terleckiego i niejedną z prawdziwą satysfakcją recenzowałem, odpowiada mi bowiem sposób jego pisarskiej ekspresji. Jest to proza intelektualnie gęsta, pełna sensów i znaczeń, a jednocześnie nie pozbawiona emocjonalnego napięcia. Mimo wyraźnej zmiany tematyki Terlecki pozostał wierny wymodelowanemu we wczesnych opowiadaniach bohaterowi. Istotne jest dla niego poczucie obcości i osa-

motnienia. To ważne z punktu widzenia filozofii człowieka XX wieku doświadczenie egzystencjalne w późniejszej twórczości Terleckiego wpisane zostało w typową dla polskiej literatury problematykę polityczną, nietypowo jednak ujmowaną.

Nieprzypadkowo cykl utworów historycznych poświęcił pisarz powstaniu stacziowemu, które w dziejach naszego narodu bodaj najmocniej odcisnęło się piętnem klęski i stało się cezurą dwóch epok. Terleckiego interesują ostatnie akordy powstania i jego konsekwencje, mniej natomiast jego geneza i przebieg. Autora „Lamentu” fascynuje bowiem sytuacja klęski, w całej jej rozciągłości i psychologicznym skomplikowaniu. Jego bohaterowie są ludźmi przegranymi, ale nie zrozpaczonymi, gdyż potrafili zachować to, co w sytuacjach skrajnych okazuje się dla człowieka najważniejsze: wolność wyboru, podejmowanie własnych decyzji, bez ulegania presji środowiskowej czy wręcz społecznej. Psychologicznie trudna do zniesienia samotność pozwala im jednocześnie pielęgnować poczucie własnej wyższości. Czy jednak uzasadnione?

Ten ostatni problem w sposób najostrzejszy rozważa na przykładzie biografii pisarzy. Nie są to co prawda biografie autentyczne, ale można w nich doszukać się wielu podobieństw do znanych w historii literatury postaci. Myślę o wydanej przed kilku laty powieści „Cień kartla, cień olbrzyma”, a zwłaszcza o najnowszej powieści zatytułowanej „Cierń i laur”¹, której bohaterem jest pisarz ludzaco podobny do Kraszewskiego. Dla czytelników książek Terleckiego nie powinno być zaskoczeniem, że napisał on w końcu powieść o autorze tytułu utworów historycznych, mimo że Kraszewski nie jest bynajmniej jego ideałem, ani jako twórca, ani tym bardziej jako człowiek o określonych poglądach politycznych. Jego stosunek do autora „Pary czerwonej”, pojawiającego się już na kartach wcześniejszych utworów, zabarwiony jest ironią, może nawet sarkazmem. Terlecki wyznaje, że swego bohatera postanowił przedstawić w tonacji satyrycznej, jakkolwiek nie jest to wcale portret konkretnego pisarza. Ale ten fragment biografii, jaki odsłania przed czytelnikiem, jest niemal identyczny z biografią Kraszewskiego, który tak samo zmuszony został przez margrabiego Wielopolskiego do wyjazdu z kraju w pierwszych dniach powstania, współpracował z wywiadem francuskim i podróżował po Europie, zapisując tony papieru bądź to w formie powieści, bądź artykułów, bądź też w formie listów do przyjaciół i rodziny. Można więc przyjąć, że Terlecki maluje portret starego Kraszewskiego zostawiając pewien margines dla literackiej fikcji.

W wielowątkowej i wielopłaszczyznowej powieści Terleckiego, w której główny plan narracji splata się z przytaczanymi *in extenso* fragmentami innych utworów (skandalizującej opowieści o Augustcie Mocnym Sasie i jego nieślubnej córce, z której uczynił kochankę,

1. Władysław Terlecki, *Cierń i laur*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989.

oraz miłosego melodramatu pióra panny Lili, młodej towarzyski pisarza) problemem centralnym staje się — w miarę retrospekcyjnego rozwoju fabuły — dramat pisarskiego sumienia.

Bohater — charakterystyczne, że anonimowy, nie nazwany z imienia ani z nazwiska — dochodzi do tego momentu swej biografii, który powinien być zwieńczeniem jego długoletniej, przynoszącej mu sławę i rozgłos, twórczości i bogatego emocjonalnie życia. Rodacy w kraju przygotowują jubileusz 50-lecia twórczej działalności i z tej okazji odwiedza go młody dziennikarz z Warszawy. Zaplanowany przez niego wywiad z mistrzem stwarza okazję do spojrzenia wstecz i dokonania generalnego obrachunku z życiem, a także do obrony przed sądem potomności swej postawy, opacznie — zdaniem starego pisarza — interpretowanej przez społeczeństwo. Gdy pisywał w gazecie Kronenberga uznano, że sprzedał się Żydom, gdy wskazywał na przenikliwość umysłu Wielopolskiego w początkowym okresie kariery Margrabiego, mówiono że schlebia władzy, gdy wreszcie zmuszony został przez Wielopolskiego do opuszczenia Warszawy, posadzono go o strach przed nadiągającą burzą dziejową. I gdy teraz pragną uczcić jego zasługi ceremonią jubileuszu, zapewne nie mogą mu wybaczyć, że wybrał status emigranta, mimo że dokonanie takiego wyboru wymaga odwagi i hartu ducha. Pisał o tym w liście do przyjaciela:

„Człowiek czuje się obco (...) nie tylko w nie znanym wcześniej krajozbie. Obcość bywa prawdziwie wyczuwana dopiero w zetknięciu z drugim człowiekiem. Co więcej — nie bał się tego zanotować — wyczuwa się ją również w spotkaniach z rodakami dzielącymi ten sam los wygnańców. (...) Odkrył w sobie dokuczliwą chorobę emigrantów. Chęć bezustannej zmiany miejsca pobytu”.

Ale nie kompleks wiecznego tułacza był mu największym ciężarem, a także nie kompleks niższości wobec geniuszu Wiktora Hugo, jakże typowy dla twórców. Najdotkliwej gnębiły go wyrzuty sumienia z powodu egocentryzmu, uzasadnianego dążeniem do niezbędnej dla pisarza niezależności, rozmaicie zresztą rozumianej i rozgrzeszanej. Dotyczyło to również sfery jego życia prywatnego czy wręcz intymnego, nader bogatego w erotyczne doświadczenia. Upokorzenie, jakiego doznał podczas ostatniego romansu, odsłoniło trywialność romansów poprzednich. Wielka namiętność do pani Keller doprowadziła do tego, że dzielił łóżę ze swoim wrogiem, Wielopolskim; aktorkę, z którą łączyła go zażyła znajomość, musiał wyciągać z przytułku dla kobiet lekkich obyczajów, gdzie znalazła się wskutek intrygi żony, wreszcie platoniczna wydawałoby się adoracja młodej adeptki literatury okazała się podszyta żądzą, niemożliwą do zaspokojenia z powodów fizjologicznych.

Terlecki nigdy nie starał się zanadto penetrować podświadomości swych bohaterów, zawsze jednak przedstawiał ich psychikę w sposób kompleksowy. Sfery życia prywatnego nie traktował więc tylko jako barwnego tła dla spraw publicznych, które były zwykle głównym tematem jego utworów. Portretu starego pisarza nie

nazwałbym satyrycznym, choć jest on na pewno narysowany ostrą kreską, bez ukrywania spraw wstydlivych, ale i bez ferowania jednoznacznych ocen jego postępowania i postawy, uznanej przez dziennikarza, przedstawiciela radykalnego odłamu polskiej inteligencji końca XIX w., za zbyt kompromisową w stosunku do polityki zaborców.

Byłoby dużym uproszczeniem uważać, że Terlecki utożsamia się w jakimś sensie z postawą autora powieści o czasach saskich, które miały polskiemu czytelnikowi uświadomić przyczyny upadku naszego narodu, ale trudno nie dostrzec napięcia, z jakim portret ten został namalowany. Pozwala to przypuszczać, że dramat pisarskiego sumienia, przedstawiony tak wszechstronnie, z uwzględnieniem różnych aspektów życia bohatera, jest również dramatem samego autora. To niewątpliwie pogłębia wymowę jego najnowszej powieści.

Mocno została w niej uwypuklona aura schyłkowości, charakterystyczna dla jego pisarstwa. Do tej pory ulubionym motywem w utworach Terleckiego było ukazywanie przedwczesnej, spowodowanej dziejowym fatalizmem dojrzałości. Ten motyw znalazł na kartach „Ciernia i lauru” naturalne, chciałoby się rzec, zwieńczenie. Stary pisarz zanurza się w morzu, by zgłębić ostatnią tajemnicę życia, jaką jest śmierć. I nawet jeżeli tylko w wyobraźni przekracza linię horyzontu, to istotne jest pragnienie osiągnięcia kresu wszelkich wątpliwości i rozterek, ostatecznego wyzwolenia się z namiętności. Być może tęsknota za czasem dokonany wynika z chęci uczieczki przed dręczącym pisarza poczuciem niespełnienia, niezrealizowania marzeń i nadziei związanych z losem swego narodu.

Bogdan ROGATKO

P.S. Pragnę poinformować Czytelników, że teksty sygnowane pseudonimem Mikołaj Ruszkowski i drukowane na łamach *Kultury* są mojego autorstwa.

Nadesłane nowości wydawnicze

Oświata, książka i prasa na obczyźnie. Str 252. (Wyd. PTNO, Londyn 1989, jako tom IX Prac Kongresu Kultury Polskiej na Obczyźnie).

JASIŃSKI (Zbigniew). *Krwia i rymem. Dokumenty powstańcze*. Str. 80 (Wyd. Oddział Koła b. Żołnierzy AK w Nowej Południowej Walii i Oddział Fundacji AK w Sydney).

- DRZEWIENIECKI (Włodzimierz M.). *Przez Bałkany do Brygady Karpackiej*. Str. 64. (Wyd. Polish Cultural Foundation, Buffalo NY, 1990).
- BARAŃCZAK (Stanisław). *Tablica z Macondo. Osiemnaście prób wy tłumaczenia, po co i dlaczego się pisze*. Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1990, cena £7, \$US 14).
- GUZY (Józef). *Requiem dla pani Tosi*. Str. 131 i 3 nbl. (Wyd. Aneks, Londyn 1990, cena £4, \$US 10).
- BAU (Józef). *Czas zbezczeszczenia. Wspomnienia z czasów drugiej wojny światowej*. Str. 224. (Wyd. „Hamenaanea”, Tel-Aviv 1990).
- BAU (Józef). *Cień przechodnia*. Wiersze wybrane, wyd. nakładem autora 1949, przedruk Tel-Aviv 1989, str. 32).
- BIKONT (Anna), BIKONT (Piotr), CESARSKI (Wojciech). *Małe vademecum PełrElu z wycinków gazet podziemnych w formie kalendarza robotniczego na rok 1990*. Str. 218 i 22 nlb. (Wyd. Agora, Warszawa 1990).
- BIENKOWSKI (Władysław). *Zrozumieć społeczeństwo*. Str. 129 i 3 nlb. (Wyd. KAW, Warszawa 1989).
- ŁUKASIEWICZ (Stanisław). *Nauczyciele*. Str. 248. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1989, cena zł 800).
- Polityczni. Opowieści uwięzionych w Polsce (1981-1986)*. Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1989).
- STĘPIEŃ (Marian). *Dalekie drogi literatury polskiej. Szkice o polskiej literaturze emigracyjnej*. Str. 526 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989, cena zł 5900).
- BOBKOWSKI (Andrzej). *Coco de Oro. Szkice i opowiadania*. Str. 266 (Wyd. Oficyna Liberatów, Warszawa 1989).
- Acta Poloniae Historica LX*. Str. 499 i 5 nlb. (Wyd. PAN, Ossolineum 1989, cena zł 750).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Raport o stanie wojennym*. Str. 181 i 3 nlb. (Wyd. Zakłady Wydawnicze Versus, Białystok 1990).
- Komedianci. Rzecz o bojkocie*. Str. 276 i 2 nlb. (Wyd. Agencja Omnipress i Zakłady Wydawnicze Versus, Warszawa 1990).
- PIASECKI (Jan Krzysztof). *Z dala od was. Wiersze*. Str. 55 i 5 nlb. (Wyd. „Świat”, Warszawa 1989).
- Polska wybory '89. Układ i wybór Roman Kałuża*. Str. 310 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Andrzej Bonarski, Warszawa 1989, cena zł 5000).
- DE ROUX (Dominique). *Rozmowy z Gombrowiczem*. Str. 149 i 3 nlb. (Wyd. Klon, Warszawa 1988).
- SULIKOWSKI (Andrzej). *Z Krakowa — w góry*. Str. 215 i 5 nlb. (Wyd. „Calvarianum”, 1989).
- MAGAŁA (Sławomir). *Pojęcie zmiany społecznej (rozważania wstępne)*. (Nadbitka z „Interdyscyplinarne studia nad genezą kapitalizmu”, tom I, Toruń 1989, wyd. PAN, str. 163-171).
- SULIKOWSKI (Andrzej). *Nie całkiem zmyślone*. Str. 224 i 4 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1989, cena zł 720).
- NIEMIEC (Maciej). *O tej porze świata*. Wiersze. Str. 34. (Wyd. Wydawnictwo „Kret”, Wrocław 1989).
- ODZIEMKOWSKI (Janusz). *7 Pułk Ułanów Lubelskich im. gen. Kazimierza Sosnkowskiego*. Str. 44. (Wyd. „Mikromax”, Warszawa 1989).
- BYSTRZYCKI (Przemysław). *Płynię rzeka, płynie...* Tomy 1-2, str. 524. (Wyd. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1989, cena zł 1350).
- BRODSKI (Josif). *82 wiersze i poematy*. Wybór i opracowanie St. Barańczak, przedmowa Cz. Miłosz. Str. 212. (Wyd. Znak, Kraków 1989).
- WYKA (Marta). *Głosy różnych pokoleń*. Str. 196. (Wyd. Znak, Kraków 1989).

- Czarne plamy*. Praca zbiorowa. Str. 117 i 3 nlb. (Wyd. Kuria Metropolitalna Warszawska, 1989).
- ROŚLONIEC (Włodzimierz). *Lato 1944*. Str. 177 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1989).
- STRZEMBOSZ (Maciej). *Wojna polonieska*. Str. 69 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków, 1989).
- SZCZEPAŃSKI (Jan Józef). *Kadencja*. Str. 275 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1989).
- ŁOBODOWSKI (Józef). *List do kraju*. Wybór wierszy i opracowanie Jerzy Świąch. Str. 194. (Wyd. KUL, Lublin 1989, cena zł 750).
- ROSTWOROWSKI (Stanisław). *Łuna od Warszawy*. Str. 409 i 3 nlb. (Wyd. PWN, Warszawa 1989, cena zł 2700).
- DOBACZYŃSKI (Jan). *Meetings with the Madonna*. Z polskiego przeł. Piotr Goc. Str. 287 i 1 nlb. (Wyd. Polonia Publishers, Warszawa 1988).
- LAZZAM (Arthur M.). *Poems of Boyhood and Youth*. Str. 272. (Wyd. OPIM, Londyn 1990).
- ZAJĄCZKOWSKI (Wacław). *Martyrs of Charity, t. 2, appendices, index*. Str. 341-528. (Wyd. St. Maximilian Kolbe Foundation, Wasyngton 1989).
- The Failure of Communism: The Western Response. An International Conference sponsored by Radio Free Europe/Radio Liberty Fund*. Str. 54. (Wyd. RFE/RL, Monachium 1989).
- MACIOCHA (Wacław, ks.). *Spiritual Direction*. Str. 219 i 5 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1989).
- CARPENTER (Bogdana). *Monumenta polonica. The First Four Centuries of Polish Poetry. A Bilingual Anthology*. Str. 568. (Wyd. Michigan Slavic Publications, Ann Arbor 1989).
- FAY (Victor). *La flamme et la cendre. Histoire d'une vie militante*. Str. 274 i 6 nlb. (Wyd. Presses Universitaires de Vincennes, Saint-Denis 1989, cena F. 125).
- Preuves, une revue européenne a Paris. Présentation, choix de textes et notes de Pierre Grémion, postface de François Bondy*. Str. 588 i 10 nlb. (Wyd. Julliard, Paryż 1989, cena F. 240).
- Gombrowicz, vingt ans après, suivi de Correspondances et Une Jeunesse, Ouvrage collectif publié sous la direction de M. Carcassone, Ch. Guisas, M. Smorag*. Str. 340 i 8 nlb. (Wyd. Christian Bourgois, Paryż 1989, cena F. 180).
- La langue de bois en Pologne*. Z polskiego przełożył Charles Zaremba. Str. 232 i 8 nlb. (Wyd. Université de Provence, Aix-en-Provence 1989, cena F. 130).
- Istina. L'Eglise en Ukraine — de la contrainte à la liberté*. Str. 448. (Revue trimestrielle, nr 3-4/1989, wyd. Centre d'Etudes Istina i CNRS, Paryż 1989).
- MAREK (Edmond). *Cyprian Kamil Norwid, clochard de Dieu et grand poète (1821-1883). Morceaux choisis*. Str. 54. (Wyd. Club Polonia Nord, Lille 1990).
- MAREK (Edmond). *Jan Kochanowski, un émule de Ronsard. Choix de poésies lyriques avec traduction et notes*. Str. 65 i 5 nlb. (Wyd. Club Polonia Nord, Lille 1990).
- HERBERT (Zbigniew). *Elegia per l'addio della penna dell'inchostro della lampada*. Przeł. Pietro Marchesani. Przedmowa Maria Corti, Grafika Alina Kalczyńska. Str. 22 i 8 nlb. (Wyd. Edizioni di Vanni Scheiwiller, Mediolan 1989).
- PUMBERGER (Klaus). *Solidarität im Streik. Politische Krise, sozialer Protest und Machtfrage in Polen 1980/81*. Str. 419 i 1 nlb. (Wyd. Campus Verlag, Frankfurt/New York 1989).
- Oberschlesisches Jahrbuch 1989*. Str. 343 i 1 nlb. (Wyd. Laumann Verlag, Dülmen, RFA).
- KOTT (Jan). *Shakespeare heute*. Z polskiego przeł. Peter Lachmann. Str. 386. (Wyd. Alexander Verlag, Berlin Zach., 1989).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

18.1.90

Został zlikwidowany miesięcznik kadry zawodowej W.P. — *Wojsko ludowe*, a na jego miejsce ukazuje się miesięcznik *Nasza myśl*. Są to wydawnictwa Głównego Zarządu Wychowawczego W.P.

19.1.90

Zarząd Główny Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza nadał Marii Danilewicz Zielińskiej tytuł członka honorowego tego towarzystwa.

22.1.90

Głos Ameryki i Program I Polskiego Radia rozpoczęły wspólne nadawanie dziennika w wersji angielskiej i polskiej. Codziennie będzie nadawany z Waszyngtonu 10-minutowy program dziennika. ■ Sprzed budynku dyrekcji Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu został usunięty pomnik Władysława Gomułki. Pomnik ten został przekazany do Muzeum Ruchu Rewolucyjnego w Warszawie.

1.2.90

Krajowe Stronnictwo Narodowe domaga się ponownego wprowadzenia na ekrany filmów oślawionego Ryszarda Filipskiego.

3.2.90

W Warszawie powstała fundacja pomocy żołnierzom Armii Krajowej im. Generała Leopolda Okulickiego. Celem tej fundacji jest zebranie środków finansowych na pomoc materialną dla żołnierzy A.K.

11.2.90

Agencja Unia Press podaje, że w projekcie budżetu na rok 1990 budżet Urzędu Rady Ministrów ma wynieść 296 mld złotych. Największą pozycję stanowią inwestycje i remonty kapitalne, działalność „różna” około 1/4 budżetu, utrzymanie administracji centralnej — prawie 14% tj. około czterdziestu kilku miliardów złotych. Rozsypuje się Pałac Radziwiłłowski przy Krakowskim Przedmieściu i obiekt ten zostanie zamknięty. Pilnie trzeba zbudować 60 mieszkań dla osób na kierowniczych stanowiskach w nowym rządzie. Wobec przyznanego ostatnio prawa do mieszkania służbowego także dla członków kierownictwa Sejmu i Senatu oraz sędziów Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego, trzeba wybudować 300 mieszkań. Te pozycje „różne” to jest Państwowy Fundusz Młodzieży, Fundusz Kościelny na wsparcie tej instytucji i m.in. dofinansowanie ubezpieczeń duchownych i zakonnic, na remonty niektórych obiektów sakralnych i domów zakonnych, półtora miliarda złotych wynosi dotacja dla dziennika *Rzeczpospolita*, który jest deficytowy, za 150 tys. dolarów kupuje się maszynę do paczkowania druków rozsyłanych w kolportażu wewnętrznym. Urząd Rady Ministrów zachowuje 14 ośrodków wypoczynkowych. Jeszcze nie są znane koszty wprowadzenia nowego modelu samorządu terytorialnego, po prostu dlatego, że dotąd nie zostały obliczone. Nie ma pieniędzy na łączenie czy podział gmin i zmianę granic województw (*Agencja Unia Press* nie podaje, że w

dotacji rządu amerykańskiego dla Polski na rok budżetowy 1990/1991 w wysokości 917 mln dolarów na ten cel, jak również na wybory samorządowe, została przyznana kwota kilkuset milionów dolarów — Red.). Wynagrodzenia członków rządu są następujące: premier — 1.736.000, wicepremierzy po 1.522.000, sekretarze stanu po 1.278.000, podsekretarze stanu po 1.212.000, dyrektorzy generalni po 1.073.000, dyrektorzy biur w Urzędzie Rady Ministrów po 920.000, wojewodowie po 1.227.000, wicewojewodowie po 1.073.000. Sto kilkanaście osób tworzy sztab obecnego rządu. Nie jest to lista zamknięta, gdyż w trakcie organizacji jest Ministerstwo Łączności, nie są obsadzone jeszcze stanowiska w innych resortach, a rozpatruje się tworzenie nowych. W rządzie jest 23 ministrów, 9 sekretarzy stanu, 79 podsekretarzy stanu. W porównaniu z obsadą rządu Z. Messnera liczebność obecnego rządu wzrosła o 15 osób. Z ochrony władz bezpieczeństwa oraz samochodu o każdej porze dnia i nocy mogą korzystać członkowie Prezydium Rządu, minister Spraw Zagranicznych, marszałkowie Sejmu i Senatu oraz trzech sekretarzy stanu. Bezpieczeństwem prezydenta oraz szefów MON i MSW zajmuje się kontrwywiad wojskowy.

Koło URM powstaje niezdrowa atmosfera wynikająca z faktu, że począwszy od szefa URM Jacka Ambroziaka odmawia się jakichkolwiek informacji na temat różnych przywilei nomenklatury rządowej: kto korzysta np. z ośrodków wypoczynkowych w gestii URM i dlaczego one istnieją, kto kontroluje masowe rozjeżdżanie dygnitarzy po świecie, które wprowadza tyle zamieszania, i kto za to płaci? Do sprawy URM powrócimy w najbliższym czasie.

12.2.90

Przedsiębiorstwa połowów dalekomorskich „Gryf” w Szczecinie i „Odra” w Świnoujściu angażują oficerów sowieckich z oficerskiej kadry rybackiej. Pierwsza grupa pracuje już w „Gryfie”, a reszta — prawdopodobnie około 40 oficerów — ma zostać zatrudniona w najbliższym czasie.

16.2.90

Zmarł w wieku 72 lat Władimir Szczerbicki, dawny członek Biura Politycznego KPZS, od 1972 r. pierwszy sekretarz Ukraińskiej Partii Komunistycznej, które to stanowisko zajmował przez 17 lat. Człowiek Breżniewa, zwalczał b. brutalnie narodowe ruchy ukraińskie.

17.2.90

Ponad 100 czasopism w Polsce zostało zlikwidowanych lub jest w trakcie likwidacji. Wzrasta też bezrobocie wśród dziennikarzy. Paradoksalnie, wbrew ogromnym cenom papieru, kłopotom z poligrafia i malejącej liczbie czytelników, od 6 czerwca do końca grudnia 1989 r. zarejestrowano 462 zgłoszenia o powołanie nowych czasopism. W samej tylko Warszawie planuje się wydawanie 8 pism codziennych. RSW Prasa zgłosiła 9 nowych tytułów. Jako organy „Solidarności” zapowiedziano 27 gazet i czasopism. Nie brakuje dość dziwacznych tytułów jak np. *Wrzaskliwy bazgracz*. Sam Związek Legionistów Polskich (ilu ich jeszcze jest przy życiu?) zgłosił aż 7 czasopism, m.in. *Legion*, *Oleandry*, *Sowiniec*, *Żołnierz Legionów* i *P.O.W.*

22.2.90

Lech Wałęsa wyznaczył Zdzisława Najdera do kierowania przygotowaniem Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” do wyborów samorządowych i parlamentarnych.

27.2.90

Zmarł w Krakowie w wieku 92 lat Henryk Wereszycki, jeden w najwybitniejszych historyków polskich, żołnierz Legionów. Do najlepszych jego prac należą: „Pod berłem Habsburgów” i „Historia polityczna Polski w dobie powstaniowej (1864-1918)”.

28.2.90

Zmarł w Krakowie w wieku 77 lat Kornel Filipowicz, wybitny działacz, współpracownik *Tygodnika Powszechnego*, zastępca redaktora naczelnego miesięcznika *Pismo*. M.in. napisał: „Pamiętnik antybohatera” i „Ogród pana Nietschke”.

5.3.90

Zmarł w Warszawie w wieku 65 lat prof. Klemens Szaniawski, b. długoletni prezes Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, jeden ze współzałożycieli Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”.

9.3.90

Krzysztof Kozłowski, zastępca redaktora naczelnego *Tygodnika Powszechnego* oraz senator, został mianowany wiceministrem spraw wewnętrznych.

ZACHÓD — EMIGRACJA

23.1.90

Amerykański Korpus Pokoju podpisał umowę z Warszawą w sprawie wysłania do Polski 60-ciu wysoko wykwalifikowanych nauczycieli języka angielskiego. Jako wolontariusze rozpoczną pracę jeszcze w br.

20.2.90

Zmarł w Heidesheim (RFN) w wieku 74 lat prof. dr Gotthold Rhode, historyk i znawca Europy wschodniej. Autor m.in. „Dziejów Polski”, „Dziejów Poznania” i in. Z redakcją *Kultury* łączyła go długoletnia przyjaźń i współpraca. W jednym z najbliższych numerów zamieścimy artykuł-wspomnienie o nim i jego działalności.

24.2.90

Na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie w Londynie odbyło się sympozjum socjologiczne pod przewodnictwem prof. Alicji Iwańskiej, na temat „Fale emigracji polskiej”. Referaty wygłosili: dr Lidia Ciołkoszowa: „Wielka emigracja XIX wieku”, prof. Zbigniew Kruszewski: „Emigracja żołnierska”, dr Julian Ilicki: „Emigracja 1968”, dr Piotr Skeris: „Emigracja solidarnościowa”, mgr Elżbieta Zawadzka: „Emigracja posolidarnościowa”.

6.3.90

Na Wolnym Uniwersytecie w Brukseli prof. Aleksander Gieysztor wygłosił odczyt pot. *Une civilisation ouverte: la Pologne dans l'Europe des cultures*.

7.3.90

W Towarzystwie Historyczno-Literackim w Paryżu odbył się odczyt Waldemara Voisé na temat „Witkacy i jego futurizm”.

9.3.90

W Centre du Dialogue w Paryżu Stefan Wilkanowicz, redaktor naczelny miesięcznika *Znak* oraz mediator z ramienia Premiera w konflikcie oświecimskim, wygłosił odczyt pt. „Oświęcim jako problem polsko-żydowski”. Następnie 23 marca br. Marek Rymkiewicz mówił „O nowej sytuacji literatury polskiej”.

10.3-90

W konkursie architektonicznym na pawilon Luksemburga na Wystawę Światową, którą odbędzie się latem 1992 roku w Sewilli z okazji 500-lecia odkrycia Ameryki, jury międzynarodowe przyznało pierwszą nagrodę i realizację architektowi polskiemu Bohdanowi Paczkowskiemu.

Inna praca Bohdana Paczkowskiego — projekt rozbudowy Trybunału Wspólnoty Europejskiej — wyselekcjonowana została na Wystawę Projektów Europejskich w paryskim Centre Pompidou (kwiecień-maj 1990).

12.3.90

Na Sorbonie w Paryżu odbył się wieczór poświęcony Aleksandrowi Watowi z okazji ukazania się francuskiego przekładu jego książki pt. „Mój wiek”.

22.3.90

W Paryżu na Sorbonie odbył się odczyt Tomasza Łubieńskiego na temat „Bić się, czy nie bić — refleksje nad historią Polski XIX i XX wieku”.

KRONIKA KANADYJSKA

Tydzień — od 29 stycznia do 4 lutego — spędziła w Polsce kanadyjska misja wyłoniona przez *Canada-Poland Business Council*, stowarzyszenie organizujące i propagujące wszelkiego rodzaju udział w rozwoju gospodarki Polski. W składzie misji, liczącej 26 osób, znajdowali się m.in. pp. Gordon W. Gow, przedstawiciel rządu prowincji Ontario, S. Bruce, dyr. wydziału Ontario International Co., Y. Baldachin, dyrektor wydziału wschodnioeuropejskiego Federalnej Agencji Handlu, delegaci kilku firm przemysłowych, handlowych, inwestycyjnych, architektów, budowlanych. Spotkania i konferencje odbywały się kolejno w ministerstwach Planowania i Budownictwa (min. Aleksander Paszyński), Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, Przemysłu i Handlu, Skarbu. Uczestniczyli w nich kierownicy działów oraz przedstawiciele firm państwowych i prywatnych. Członkowie misji spotkali się również z głównym architektem Warszawy i zbadali tereny przeznaczone na nowe budownictwo. ■ *Kronika Tygodniowa* — organ prasowy komunistów polskich w Kanadzie — zakończyła żywot. W ostatnim numerze z 1989 r. ukazał się „Apel czytelników”, informujący iż wydawnictwu grozi „niebezpieczeństwo likwidacji”, jeśli nie otrzyma natychmiastowej pomocy. Pomoc jednak nie nadeszła, gdyż w nr. 2/1990 Jan Kamiński w artykule „Pożegnanie” pisze m.in. „Jesteśmy zmuszeni zawiesić dalsze wydawanie *Kroniki Tygodniowej* — *Głosu Polskiego*”, ale wyraża nadzieję, że wytoni się coś nowego. „Konieczność istnienia postępowego politycznie pisma polonijnego na tej ziemi” — jak pisze — nakazuje mu starać się o wznowienie

w odpowiednim czasie wydawnictwa w nowym składzie. W pożegnaniu, pełnym chwały i dumy z osiągnięć, p. Kamiński przeoczył jednego ze współpracowników, ks. Szczepana Włodarskiego, duchownego Polskiego Kościoła narodowego, bezpośredniego następcę Dudkiewicza, wieloletniego, najbardziej zasłużonego redaktora prasy komunistycznej. Pierwszą publikacją komunistów polskich był miesięcznik *Budzik*. Ukazywał się w Toronto od stycznia 1931 r. do kwietnia 1932 — redagował go Władysław Dudkiewicz. Pod tytułem widniało hasło: *Proletariusze wszystkich krajów łączcie się*, wydawcą było Polskie Towarzystwo Robotnicze, które zmieniło nazwę na Polskie Towarzystwo Robotniczo-Farmerskie. *Budzik* przerodził się w tygodnik *Głos Pracy*, który ukazywał się w Toronto od 30.4.1932 r. do 17.8.1940 r. kiedy to został zawieszony przez władze państwowe. Po kilkumiesięcznej przerwie *Głos Pracy* przerodził się w *Kronikę Tygodniową*. Pierwszy numer pisma pod nowym tytułem ukazał się 22 lutego 1941 r. jako organ Polskiego Stowarzyszenia Demokratycznego w Kanadzie. Pod tym szyldem działała komórka komunistów. Począwszy od pierwszej komunistycznej publikacji do ostatniego numeru *Kroniki Tygodniowej* — *Głosu Ludowego* ukazało się 2.429 numerów. *Głos Ludowy*, organ sekcji amerykańskiej, ukazywał się w Detroit i zakończył samodzielny żywot przed kilku laty, przekazując swój tytuł i garstkę czytelników *Kronice Tygodniowej*. Tygodnik komunistyczny, szczególnie pod redakcją A. Morskiego i W. Dudkiewicza, odgrywał pewną rolę w Polsce w czasie wielkiego kryzysu gospodarczego w latach poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej.

B.H.

Toronto 3.2.1990 r.

POLCUL FOUNDATION

FUNDACJA POPIERANIA NIEZALEŻNEJ KULTURY POLSKIEJ

Wnioski należy przysyłać na adres Fundacji. Winny one zawierać imię, nazwisko i adres kandydata oraz wnioskodawcy. Uzasadnienie nie powinno przekraczać jednej strony maszynopisu.

Wnioski mogą być nadsyłane przez osoby pojedyncze, grupy lub instytucje. Stawianie własnych kandydatur (swej własnej osoby) nie jest możliwe.

POLCUL FOUNDATION wyróżnia wyłącznie osoby indywidualne.

Fundacja będzie brała pod uwagę:

1. Osobistą ofiarność i zaangażowanie kandydata.
2. Działalność społecznikowską o wyraźnym oddźwięku społecznym, wyrażonym w uznaniu środowiska, oraz
3. Stopień, w jakim działalność kandydata przyczynia się do budowy i rozwoju społeczeństwa obywatelskiego w Polsce.

Przedstawiciele:

Informacje o działalności POLCUL FOUNDATION można otrzymać od przedstawicieli Fundacji w Polsce — są nimi:

Jan HANASZ — Toruń, ul. Krasińskiego 57 m. 10, tel. 2 82 06
Kazimierz DOBROWOLSKI — Warszawa, ul. Krepowickiego 9/95,
tel. 37 62 21

Ryszard TERLECKI — Kraków, ul. Blich 6/12, tel. 21 66 82.

POLCUL FOUNDATION
P.O. BOX 193
ROSE BAY, NSW. 2029
AUSTRALIA
Ph. (02) 326 2863

KOMUNIKAT POLITECHNIKI BIAŁOSTOCKIEJ

Politechnika Białostocka w roku akademickim 1990/1991 rozpoczyna kształcenie obcokrajowców na 4-letnich studiach inżynierskich (dwa pierwsze lata po angielsku lub francusku z równoległą nauką języka polskiego, trzeci i czwarty rok studiów po polsku) na następujących kierunkach: BUDOWNICTWO, ELEKTROTECHNIKA, MECHANIKA.

Opłata za jeden rok nauki Dol. US 4.000 (jednorazowa opłata wpisowa Dol. US 200). W ramach opłaty student otrzymuje zakwaterowanie w domu studenckim, wyżywienie, stypendium w złotych polskich i opiekę lekarską.

Kandydaci powinni nadesłać następujące dokumenty:

1. Podanie o przyjęcie na studia ze wskazaniem kierunków studiów.
2. Zaświadczenie o stanie zdrowia.
3. Świadectwo dojrzałości.

Zgłoszenia należy kierować na adres:

POLAND/POLOGNE
Politechnika Białostocka
ul. Wiejska 45, 15-350 Białystok
Dział Dydaktyki i Spraw Studenckich
telex: 852424 telefax: 22393

Liczba miejsc ograniczona.

LIST OTWARTY DO POSŁA ANDRZEJA ŁAPICKIEGO

Sydney, 21 lutego 1990

Szanowny i drogi Panie Pośle,

Chciałbym przede wszystkim powiedzieć — i myślę, że będę tu wyrażał uczucia wielu Polaków w Sydney — jak wielką przyjemnością była obecność na publicznym spotkaniu z Panem w Bankstown, w niedzielę 18 lutego. Odpowiadał Pan na pytania w sposób jasny i szczerzy. Po latach drętwej mowy i kłamstw popłynął nurt prawdy i zwykłych ludzkich słów. Już to samo może być symbolem zmian, które następują w Polsce i innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej.

Jednocześnie zaniepokoiła mnie treść dwóch Pana wypowiedzi. Chciałbym temu dać wyraz w niniejszym liście otwartym, gdyż obie sprawy są niezmiernie ważne. Od nich — w moim przekonaniu, a także w opinii wielu ludzi — zależy może, czy Polska wykorzysta zaistniałą w tej chwili wielką i wyjątkową szansę historyczną.

Pierwsza sprawa — to sprawa proponowanej federacji krajów Europy Środkowej: Polski, Czechosłowacji i Węgier.

Z Pana wypowiedzi wynikało, że Polska nie odnosi się zbyt przychylnie do tej idei, że nie widzi jej ważności i pilności. Wiemy to zresztą z różnych głosów na łamach prasy w kraju.

Niestety, stanowisko to jest dla wielu przykładem polskiej zaściankowości i krótkowzroczności. Brak uznania, iż tego rodzaju federacja w Europie Środkowej stwarza ogromne możliwości: bufor, siłę rozładowującą niebezpieczeństwa płynące z sąsiedztwa dwóch wielkich krajów — ZSSR i zjednoczonych Niemiec — oraz wielki potencjał gospodarczy, nie świadczy dobrze o rozumieniu interesów polskich wynikających z realiów świata u schyłku XX wieku. Ponadto z wypowiedzi Pana wynikało, jakoby to Czechosłowacja była niechętna (lub niezbyt przychylna) tego rodzaju federacji, z uwagi na jej bardziej rozwiniętą gospodarkę i jej potencjalny drenaż drogą „naczyni połączonych” — jak Pan się wyraził. A przecież wiemy z przemówienia Prezydenta Havla w Sejmie, że to on właśnie zaprosił do Bratysławy przedstawicieli Polski i Węgier dla omówienia projektu takiej federacji.

Skoro już mowa o prezydencie Havlu, to nie mogę się zgodzić — i tu znów na pewno wyrażam opinię wielu ludzi — że słuszną była decyzja Wałęsy odmowy spotkania się z Havlem. Wiemy wszyscy, że Polska i ruch „Solidarności” były „matką chrzestną”, ba, inspiratorami zmian w Czechosłowacji. Prezydent Havel złożył hołd Polsce w swym przemówieniu w sejmie w Warszawie. Natomiast „obrażanie się” na niego, że najpierw udał się do Niemiec z jednodniową wizytą trąci małostkowością. A nawet — być może — brakiem zrozumienia sytuacji międzynarodowej. W momencie wybrania Havla na prezydenta wypadki w Niemczech z pewnością wysuwały się na czoło spraw międzynarodowych i jego wizyta może być uznana za wyraz rozsądku i dalekowzroczności politycznej.

Druga sprawa — to sprawa niebezpieczeństwa „wyrzedeży” polskiej gospodarki kapitałowi zagranicznemu.

I tu stanowisko przez Pana zajęte, a raczej zasygnalizowane świadczy o zaściankowości i braku zrozumienia zasad gospodarki rynkowej (kapitalizmu)

Listy do Redakcji

Kielce, 16.2.1990

Szanowny Panie Redaktorze,

Przygotowuję książkowe wydanie (w kilku tomach) listów Stefana Żeromskiego. Wydanie to ukaże się w ramach krytycznej edycji „Pism zebranych” Żeromskiego pod redakcją Zbigniewa Golińskiego. Kolejne tomy „Pism zebranych” Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” publikuje od roku 1981.

Prace nad wydaniem listów Żeromskiego zapoczątkował jeszcze prof. Wacław Borowy, później opracowaniem edycji zajmował się prof. Stanisław Pigoń, który zgromadził zasadniczy zrąb korespondencji Żeromskiego, nie zdążył jednak zebranych materiałów przygotować do druku.

Dysponuję większością materiałów zgromadzonych przez moich Wielkich Poprzedników, przypuszczam jednak, że zachowały się w rękach prywatnych, być może także poza krajem, jakieś listy Żeromskiego do tej pory nieznanne, nieujawnione. Stąd mój list i moja prośba do Pańskich, Panie Redaktorze, czytelników.

Jeśli ktoś z czytelników *Kultury* posiada wśród swych rodzinnych pamiątek listy bądź jakiegokolwiek rękopisy Żeromskiego, gorąco proszę o listowne poinformowanie o tym niżej podpisanego.

Brak pełnego wydania listów Żeromskiego jest wstydliwą luką w historii naszej literatury. Jest moim pragnieniem, by wydanie w „Pismach zebranych” przyniosło możliwie najpełniejszy zbiór listów.

Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zechciał Pan opublikować ten mój list-apel.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku

Doc. dr hab. Zdzisław Jerzy ADAMCZYK
ul. Staffa 4 m. 43
25-410 Kielce

i sposobu funkcjonowania światowej współzależności gospodarczej.

Od 30-tu lat mieszkam w Australii i prowadzę tu działalność gospodarczą (przemysłową). Może nie wiadomo Panu, że szereg gałęzi przemysłu w tym kraju (np. przemysł samochodowy czy farmaceutyczny) należy w całości lub prawie w całości do kapitału zagranicznego. Przemysły ten zatrudniają dziesiątki czy setki tysięcy robotników i zapewniam Pana, że nie wpływa to negatywnie na ich warunki pracy, dobrobyt, poczucie godności czy swobodę. Jest to im na ogół najzupełniej obojętne. I słusznie. Ponieważ Australia jako kraj w żadnym razie nie jest z tego powodu uzależniona od decyzji z wewnątrz w istotnych dla tego kraju sprawach, w żadnym wypadku nie zmniejsza to jej suwerenności. W moim przekonaniu, im więcej Polska obecnie wyprzedza swej gospodarki kapitałowi zagranicznemu (zachodniemu) — tym lepiej. Głównie z dwóch względów:

(A) Kapitał zagraniczny przejmując poszczególne zakłady (czy dziedziny przemysłu) zacofanej polskiej gospodarki, dokona następujących posunięć: (1) unowocześni ją i doinwestuje, (2) zorganizuje ją na najnowszych zasadach oraz (3) zapewni szeroki eksport na światowy rynek zbytu kontrolowany przez ten kapitał. Będą to oczywiste korzyści odczuwane przez wszystkich. Uzyskiwane obecnie pożyczki z Banku Światowego, Międzynarodowego Funduszu Monetarnego itp. będą zużyte na sfinansowanie drobnych inicjatyw (drobnej wytwórczości, usług itp.), natomiast modernizacja i doinwestowanie dużego przemysłu dokonane by zostało przez kapitał prywatny (koncerny wielonarodowe itp.).

(B) Dzięki tego rodzaju penetracji kapitału zachodniego w Polsce zostanie ona mocno osadzona w systemie światowej współzależności. Nie może zaś być dla nas w obecnym świecie lepszego gwarantu politycznych interesów Polski.

Tzw. obawy o „wyprzedzą ojczyzny” nie są przejawem patriotyzmu. Są one reminiscencją „socjalistycznego” wychowania i propagandy, a także braku realizmu myślenia gospodarczego. Pozostaje, rzecz jasna, do decyzji KOMU sprzedać, ale istnieją mechanizmy zostawiające rządowi możliwość ostatecznej decyzji w tej materii — także w gospodarce kapitalistycznej.

Proszę przyjąć moje wyrazy szacunku

Jerzy BONIECKI

Panie Redaktorze,

przesyłam te moje refleksje do Pana bez wiedzy mojego męża, ponieważ uważam, że powinnam to zrobić.

PRZESKOCZYĆ PŁOT WE WŁAŚCIWYM MIEJSCU I CZASIE

Na powstanie obecnego, polskiego systemu społeczno-politycznego decydujący wpływ miały wydarzenia: „przeskoczenie płotu” przez właściwe osoby we właściwym miejscu i właściwym czasie.

Pierwszą osobą, skaczącą przez płot, był Lech Wałęsa. W 1980 przeskoczył płot Stoczni Gdańskiej i stanął na czele strajkujących pracowników tworzących niezależny, samorządny związek zawodowy „Solidarność”. Skok ten okazał się jego sukcesem. „Solidarność” przekształciła się w masowy ruch polityczny, protestujący przeciwko wypaczeniom ustrojowym. W warunkach panującego breżniewowsko-stalinowskiego systemu politycznego w ZSSR i wszystkich państwach obozu socjalistycznego oraz władzy I sekretarza KC PZPR E. Gierka w Polsce, był to czyn odważny i znaczący.

Drugą osobą „skaczącą przez płot” we właściwym miejscu i czasie był niewątpliwie Czesław Kiszczak.

Czesław Kiszczak rozpoczął służbę wojskową w 1945 roku, w bardzo młodym wieku. Ciężkie lata okupacji, rozłąka kilkunastoletniego wówczas dziecka z rodziną i praca na terenie ówczesnych Niemiec, gdzie został wywieziony przez okupanta, niewątpliwie zaważyły na jego decyzji wstąpienia do wojska.

Pierwsze lata wolności dla narodu polskiego, to szczęśliwe lata odbudowy i rozwoju Polski, lata patriotycznego entuzjazmu i zaangażowania, wiary w przyszłość. Dla młodego żołnierza to lata nauki, pracy, doświadczeń wojskowych i powolnego awansu. W okrutnych latach stalinowskiego terroru Czesław służył w jednostce wojskowej w Ełku, gdzie został przeniesiony na własne żądanie. Po 1956 roku wraca do Warszawy, kończy z wyróżnieniem Akademię Sztabu Generalnego, następnie przeniesiony zostaje do pracy w jednostkach wojskowych Gdyni, Wrocławia. W międzyczasie małżeństwo, dzieci. Od kiedy zostałam jego żoną, pamiętam, że kierowany był do służby wojskowej tam, gdzie coś się waliło, gdzie było najtrudniej.

W 1979 roku, a więc w ostatnich miesiącach „gierkowskiej władzy”, w stopniu generała brygady obejmuje stanowisko szefa Wojskowej Służby Wewnętrznej, pełniąc jednocześnie funkcję zastępcy szefa Sztabu Generalnego. W roku 1980 zostaje zastępcą członka Biura Politycznego, a pod koniec 1981 roku członkiem KC PZPR. W sierpniu 1981 roku zostaje Ministrem Spraw Wewnętrznych.

Okres „gierkowski”, który miał być okresem sukcesów gospodarczych, budowania drugiej Polski, doprowadził do niebywałego kryzysu ekonomicznego, politycznego, moralnego.

Szalejący kryzys ekonomiczny spowodowany został niewątpliwie błędnymi decyzjami politycznymi, dysproporcjami w rozwoju gospodarki, systemem nakazowo-rozdzielczym, nieuzasadnionymi dotacjami, a pogłębiony strachliwymi ustępstwami na rzecz klasy robotniczej w postaci podwyżek wynagrodzeń, nie mających odzwierciedlenia we wzroście wydajności pracy. Stosunek ludzi do pracy charakteryzowało powiedzenie: „czy się stoi, czy się leży, X tysięcy się należy”.

Przerosty zatrudnienia, biurokracja, nieskoordynowane plany, przestoje w przedsiębiorstwach z powodu braku materiałów, części zamiennych, nadmierna emisja pieniądza z jednej strony, a z drugiej olbrzymie braki towarów na rynku, kolejki, bieganie po sklepach, „czarny rynek”, „buble” w sklepach, bo wszystko co lepsze wykupywano „spod lady”, inflacja, dewaluacja pieniądza — oto obraz codziennego życia Polaka.

Wyjątkowa demoralizacja ówczesnej władzy: kliki, układy, nadużycia, łapówki, zakłamanie, wypracowany system wzajemnego oszukiwania się, okłamywania, przekazywania „do góry” tylko tych wiadomości, które ta „góra” chciała słyszeć, wszechobecny strach przed mówieniem prawdy, a jednocześnie coraz większa arogancja i lekceważenie ludzi, ich potrzeb; wszystko to doprowadziło do całkowitego zaniku autorytetu władzy, „obru-

cania błotem" osób na stanowiskach, słusznie i niesłusznie.

Rozlewające się po Polsce strajki, jako wyraz niezadowolenia społecznego, pogłębiają jeszcze ciężką sytuację gospodarczą. Pogłębia się nienawiść do Partii. W wyniku nacisków społecznych ograniczono cenzurę. W prasie pojawiają się wiadomości, których publikowanie było niemożliwe w ciągu poprzednich 35 lat. Ludzie dowiadują się o olbrzymim zadłużeniu kraju (32 mld dolarów), o czym poprzednio wiedziała tylko wąska grupa wtajemniczonych.

Spółczesność jest na skraju wytrzymałości psychicznej.

„Biedny polski naród” — mówiłam do Czesława. Biedny, bo otrzymał kopniaka w samo serce. Naród polubił Gierka i zawierzył mu. Pomożecie? — pytał Gierek, a ludzie krzyczeli: tak, bo autentycznie chcieli pomóc. Do czego on doprowadził? Teraz naród nie wierzy już nikomu. Nie wierzy Partii. Partia straciła zaufanie narodu.

W latach 1980-81 zmiany w Polsce toczą się szybko. W roku 1980 zostaje zdjęty ze stanowiska dotychczasowy premier Piotr Jaroszewicz, rezygnuje także ze stanowiska dotychczasowy I sekretarz KC PZPR Edward Gierek. W roku 1981 dotychczasowy Minister Obrony Narodowej Wojciech Jaruzelski zostaje Premierem, następnie I sekretarzem KC PZPR oraz przewodniczącym Komitetu Obrony Kraju. 13 grudnia 1981 roku, pod presją znanych uwarunkowań wewnętrznych i zewnętrznych, ogłasza stan wojenny.

W sierpniu 1981 Sejm powołuje Czesława Kiszczaka na stanowisko Ministra Spraw Wewnętrznych. Jest to człowiek stosunkowo młody, przyzwoity, elegancki (najprzystojniejszy minister — mówiono), zdolny, inteligentny, otwarty, odważny, skromny, przy tym bez obciążeń politycznych.

Przejął on chyba najtrudniejszy resort w najtrudniejszym okresie. Resortowi temu po ogłoszeniu stanu wojennego przypadła niezwykle niewdzięczna rola: przeprowadzenie internowania określonych osób Solidarności. Po co? Ano po to, aby oni i inni ludzie mogli żyć. Istniało niebezpieczeństwo, że w sytuacji tak strasznego napięcia społecznego zechcą namówić i poderwać ludzi do walki z polskim wojskiem. Oznaczałoby to wojnę domową, bo przecież polskie wojsko to nasi ojcowie, bracia, nasze dzieci — ubrane w polskie mundury.

Proces internowania przebiegał sprawnie i zgodnie z przyjętą zasadą: nikomu nie może spaść włos z głowy. Internowanym zapewniono możliwie najlepsze warunki bytu.

Prawie od pierwszych godzin internowania Czesław zaczyna nawiązywać kontakty z internowanymi. Pojechał do Lecha Wałęsy zaraz po internowaniu go, aby przeprowadzić z nim rozmowy polityczne. Przyjmował u siebie w biurze rodziny internowanych i na ich prośby zwalniał z internowania wiele osób, rozmawiał z internowanymi, zwalniał ich warunkowo i bezwarunkowo.

Systematyczne zwalnianie internowanych rozpoczęto zresztą, o ile dobrze pamiętam, już w kilka dni po ich zatrzymaniu. Sądzę, że Czesław zdobył w tym czasie zaufanie i szacunek wielu ludzi Solidarności, o czym świadczą mogą przesyłane mu okolicznościowe życzenia, dedykowane mu, pisane przez nich książki, dalsze kontakty służbowe.

Oficjalne kontakty służbowe nawiązał też Czesław w okresie stanu wojennego z przedstawicielami hierarchii kościelnej, między innymi z dostojnikami Kościoła: księdzem kardynałem Franciszkiem Macharskim — metropolitą krakowskim (z którym ja przyjaźniłam się, gdy był on na początku swojej służby kapłańskiej) a także z księdzem arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim — sekretarzem Episkopatu Polski, z księdzem biskupem Alojzym Orszulikiem, które to kontakty przekształciły się z czasem w więzi przyjaźni.

Otwartość umysłu, ciągłe kontakty z przedstawicielami nauki, kultury, życia gospodarczego, Kościoła, opozycji, wnikliwe i krytyczne obserwacje życia gospodarczego pozwoliły Czesławowi zrozumieć, że Polska potrzebuje zmian, wpłynęły na jego postawy, określone zachowania, kształtowały nową osobowość.

Proces ten zachodzi zresztą u wielu z nas, u wielu Polaków. Wiele osób z grona Solidarności to przecież byli członkowie PZPR, wielu z nich w przeszłości czynnie tworzyło określoną rzeczywistość.

W kolejnych latach służby po stanie wojennym Czesław skoncentrował się na zmianach, które były w zasięgu jego kompetencji: poszerzenia swobód obywatelskich, swobody wyjazdów i przyjazdów zagranicznych, dostępności do paszportów, wzrostu swobody działań i legalizacji wielu organizacji, wzrostu bezpieczeństwa publicznego i wielu innych. Nie ulega wątpliwości, że dzięki Ministrowi Kiszczakowi, największe zmiany i swobody demokratyczne, spośród wszystkich państw obozu socjalistycznego, były w Polsce.

Nadchodzi rok 1988. Brak widocznej poprawy sytuacji gospodarczej, niska stopa życiowa, inflacja nie stwarzają podstawy do wzrostu zaufania do PZPR, Premiera, Rządu. Inteligentne przemówienia I sekretarza KC PZPR Wojciecha Jaruzelskiego trafiają w próżnię. Na wybrzeżu wybuchają strajki. W ich zażegnanie angażuje się zarówno Lech Wałęsa jak i Czesław Kiszczak. Tego typu wspólne działania wymagają mediacji, wzajemnego zrozumienia. Prowadzi to do jeszcze bliższego poznania się, niewątpliwie do pogłębienia autorytetu Czesława w środowisku Lecha Wałęsy. Świadczyć o tym mogą serdeczne wypowiedzi Lecha w odniesieniu do osoby mojego męża, a także nić przyjaźni zadzierzgnięta między Czesławem Kiszczakiem a doradcą Lecha, mecenasem Siła-Nowickim.

Czesław ma świadomość konieczności porozumienia się wszystkich Polaków. Ma świadomość, że bez konkurencji nie ma postępu, a bez opozycji nie jest w stanie prawidłowo rządzić krajem żadna partia. O konieczności dialogu z opozycją zaczyna przekonywać środowisko partyjno-rządowe. Niestety, początkowo traktowane jest to jak herezja. Nie daje za wygraną. Zaczyna systematycznie kruszyć „betonowy mur”, uzasadniając to wyższą koniecznością, dobrem Polski. Angażuje w to cały swój autorytet, siłę woli, umiejętność przekonywania, umiejętności polityczne.

Początkowo nieoficjalne rozmowy Czesława z Lechem Wałęsą odbywały się w „cztery oczy”, następnie w wąskim gronie z udziałem dostojników kościelnych, stopniowo grono rozmówców poszerzało się, rozmowy stawały się coraz bardziej oficjalne i konkretne. Ciągłe jednak była to jak gdyby prywatna sprawa Czesława Kiszczaka. Na jednym z tych spotkań Czesław używa zwrotu „okrągły stół”, przy którym powinny się toczyć rozmowy polityczne, i zwrot ten obecnie w skali światowej jest symbolem porozumień politycznych, znalazł swoje miejsce w języku politycznym.

Niewątpliwie, wyboista droga Czesława Kiszczaka do dnia 6.II.1989 roku, dnia rozpoczęcia obrad „okrągłego stołu”, którym to, mając wielkie prerogatywy władz partyjnych i rządowych, przewodniczył.

„Okrągły stół” to niewątpliwie wielki sukces Czesława, jego mądrości politycznej, patriotyzmu, siły woli. Sukces tym większy, że „okrągły stół” stał się początkiem zmian w całym bloku państw Europy środkowo-wschodniej. Jest to jednocześnie wielki sukces Polaków.

Sukces ma „wielu ojców”. Obecnie wiele osób uważa się za twórców „okrągłego stołu”, a generał Czesław Kiszczak, z natury skromny, uczciwy i honorowy, usuwa się w jego cień.

Nie ulega jednakże wątpliwości, że gdyby na stanowisku Ministra Spraw

Wewnętrznych był ktoś inny, stan wojenny miałby ostrzejsze wymiary i tragiczniejsze skutki. Gdyby nie postawy, zachowania, osobowość Czesława Kiszczaka, na pewno nie doszłoby do „okrągłego stołu”, a proces przemian społeczno-politycznych zarówno w Polsce jak i w całej Europie środkowo-wschodniej zostałyby poważnie opóźnione i mogłyby mieć równie tragiczny przebieg jak w Rumunii.

Wyrazem skromności i godności Czesława było także i to, że aczkolwiek zgodził się na kandydowanie na stanowisko prezydenta, zaraz rozpoczął wśród posłów i senatorów nietypową, chyba dotychczas niespotykaną kampanię wyborczą nie na rzecz własnej osoby, a na rzecz swojego przełożonego Wojciecha Jaruzelskiego, przy czym zrezygnował z kandydowania na to stanowisko na jego rzecz, w rezultacie czego Wojciech Jaruzelski został prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej. Następnie, mimo powołania go przez Sejm na premiera, na skutek określonych uwarunkowań, honorowo zrzeka się tej funkcji na rzecz Tadeusza Mazowieckiego, dając wyraz temu, że nie trzyma się kurczowo swojego stanowiska i w każdej chwili gotów się go zrzec.

Wydaje się oczywistym, że pierwszy skok przez płot Lecha Wałęsy oraz drugi „skok przez płot”, przez „betonowy mur”, Czesława Kiszczaka stanowią jak gdyby kłamerę, zamykającą pewną formację społeczno-ekonomiczną, pewien etap historii ludzkości i otwierają wrota dla nowego systemu politycznego, społecznego, ekonomicznego.

Dr Maria Teresa KISZCZAK

20.II.1990

Szanowni Państwo!

Pobyt w Czechosłowacji umożliwił mi bezpośrednie obserwowanie zachodzących tu przemian i samorzutne porównywanie ich do zmian zachodzących w Polsce.

Do niedawna jeszcze oko przechodnia przykuwały tu hasła w rodzaju: „Po wsze czasy ze Związkiem Radzieckim”. Obecnie zniknęły one zupełnie, a ich miejsce zajęły nowe: „Kochać własny kraj nie jest zbrodnią” lub „Havel gwarancją demokracji”. Obserwując stwierdzam, że Czesi uczą się demokracji szybciej niż my i jakby pełniej. Już od pierwszych dni przemian widzieli, że strajki nie są odpowiednią bronią ze względu na skutki ekonomiczne i nad faktem ogłoszenia jednogodzinnego strajku długo się zastanawiali. My, posiadając w tej sprawie prawie 10-letnie doświadczenie, nadal tego nie wiemy! Przemiany w Czechosłowacji, zaraz na początku, spowodowały lawinę powrotów do kraju. Jedni wpadali na chwilę, inni na dłużej, a jeszcze inni na stałe. Telewizja otworzyła im swoje podwoje i społeczeństwo mogło ich zobaczyć i usłyszeć, jak ważne miejsce w ich życiu zajmuje ich kraj ojczysty. Mogło zobaczyć autentyczne łzy wzruszenia i radości. W jednym tylko dniu, na początku stycznia, przyjechały tu takie znakomitości jak Ota Szik — ekonomista, Milosz Forman — reżyser filmowy, Tomasz Bata — właściciel ponad 100 zakładów przemysłowych i 6000 sklepów w 90 krajach. Zarówno oni jak i wszyscy pozostali publicznie deklarowali swoją pomoc dla kraju, w miarę sił i możliwości.

U nas lawiny przyjazdów i deklaracji nie zauważyłam.

Spółeczeństwo czeskie słysząc te deklaracje rosto oraz uświadamiało

sobie, że dobro kraju jest celem nadrzędnym i temu celowi powinno się wszystko podporządkować.

W czasie gdy u nas minister Skubiszewski na łamach prasy twierdził, że trudno mu odwołać nie sprawdzających się ambasadorów, ponieważ brakuje mu nowych osób wykwalifikowanych, potrafiących zredagować notę lub inny dokument dyplomatyczny, oni odwołali szereg osób, powołując nowych, w tym ambasadora w USA — R. Klimovą, która dla dobrego imienia kraju w ciągu 5-ciu dni zrobiła więcej, niż jej poprzednicy przez lata. No cóż...

Mimo wszystko, nie powinniśmy cieszyć się z tego, że niektórzy nasi dyplomaci potrafią sporządzić notę dyplomatyczną, bo jakież z tego dla kraju pożytek, gdy działalność ich jest zupełnie niewidoczna, np. w Kuwejcie, ale nie tylko?

Czesi wiedzą, że samorządność zaczyna się od rządzenia sobą, a demokracja to nie anarchia. My tłuczemy szyby sklepowe i sejmowe. Równocześnie rozważamy ewentualne federacje, podczas gdy oni w tym samym czasie prowadzą konstruktywne rozmowy o ekonomice kraju. Pozwalamy się w ten sposób dystansować, nie tylko czasowi. Oni publicznie oświadczają, że pracować dla dobra kraju powinien każdy, a o jego zajmowanym stanowisku powinna decydować nie orientacja polityczna lecz FACHOWOŚĆ — my kruszymy kopie właśnie o orientacje polityczne, a o fachowości zapominamy.

Nie chcemy też pamiętać o tym, że polityka (jak mawiał Bismarck, a uczyć trzeba się nawet od wroga) nie jest żadną logiczną ani ścisłą nauką, lecz umiejętnością wybierania z każdej zmieniającej się sytuacji tego, co najmniej szkodliwe lub skuteczniejsze.

Obserwacje doprowadziły mnie do przekonania, że nadszedł czas, w którym powinniśmy sobie zdać sprawę z konieczności zrezygnowania z ambicji osobistych i podporządkowania wszystkiego działaniu dla dobra kraju. Musimy to uczynić niezwłocznie. Wszystkie światłe umysły polskie, bez względu na to, gdzie się znajdują, powinny „służbę ojczyźnie” uznać za obowiązek, od którego uchylać się żadnemu Polakowi nie wolno, bo Kochanowski mógłby się przewrócić w grobie. Uznajmy ważność sprawy, służmy ojczyźnie swoją radą, doświadczeniem, działaniem, bo sam Mazowiecki wszystkiemu podołać nie może. Proszę o to.

Barbara NIC

Spółeczna Służba Ukraińców w Kanadzie
Toronto, 14 lutego 1990

Wielce Szanowni Państwo!

W Waszym cennym piśmie ukazał się w grudniu 1989 apel o pomoc dla liceum ukraińskiego w Legnicy. Składając Państwu serdeczne podziękowania za uwagę, załączamy skromną sumę 50 dol. kan. na fundusz *Kultury*. Równocześnie zawiadamiamy, że filia Spółecznej Służby Ukraińców w Kanadzie w Toronto prześle do liceum w Legnicy 250 dol. US. Życzymy jak największych sukcesów w dalszym wydawaniu *Kultury*.

Maria SPOLSKA

kierownik

Wira WIERGANOWSKA

skarbnik funduszu „Pomocy Ukrainy”

158

LISTY DO REDAKCJI

Klub miłośników polskiej mowy
i kultury w Baranowiczach

Baranowicze, 20.02.90

Szanowna Redakcjo Paryskiej Kultury!

Śmiemy na łamach Waszej gazety przypomnieć o nas, Polakach na kresach, w danym wypadku w Baranowiczach. Jest nas w tym mieście 10 tys. i tyleż w powiecie.

Nie zapominamy, że jesteśmy Polakami. Mamy swoją świetlicę, śpiewamy, miewamy imprezy, po trochu wprowadzamy język polski dla dzieci polskich w szkołach.

W maju chcemy uczcić 50-tą rocznicę 1-go wywozu rodzin polskich na wschód i północ (10.I.40). Msza polowa i złożenie pamiątkowego kamienia odbędzie się koło wsi Stary Dwór, która co do jednej zagrody była wywieziona.

Może odezwie się ktoś, kto wie o losach ludzi wywiezionych z Baranowicz i powiatu?

A może ktoś z redakcji wie coś o losach p. Jerzego Rodziszewskiego (ur. w początkach wieku), też był wywieziony do Kazachstanu, a potem mieszkał we Francji.

Elżbieta WOŁĘGA-WRZOSEK
Białorus (URSS) 225320 Baranowicze
Komsomolska 21-37

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

D.K., Dębica: — Pana opowiadanie jest dość trywialnym obrazkiem rodzajowym z życia biurokracji powiatowej. Radzimy studiować Gogola, jeśli Pan chce specjalizować się w takiej tematyce. Z tekstu nie skorzystamy.

K.K., Polska: — Szkic historyczno-monograficzny o działalności scenicznej i twórczości dramatycznej Jana Chęcińskiego, autora libretta do „Straszego dworu”, ma charakter pracy teatrolologicznej i jest opatrzony 85 przypisami. Proponujemy ubiegać się o druk w piśmie specjalistycznym.

S.L., Warszawa: — Pana opowiadania są przykładem skonwencjonalizowanej sztuki pisarskiej. Dołączona kopia listu zarządu ZLP z okazji Pana jubileuszu świadczy jedynie o różnicy kryteriów między *Kulturą* a ZLP.

R.L., Evry: — Pana opowiadanie „List do Jana Buły” stanowi zaledwie brulion lub surowy szkic. Nie skorzystamy.

J.F.K., Würzburg, RFA: — Pana autoocena jest trafna. „Wiersze różne” nie nadają się do druku.

J.B., Paryż: — Z wierszy nie skorzystamy.

M.B., Kraków: — Przedruków z zasady nie zamieszczamy. Jedyny z proponowanych przez Pana pierwodruków nie został zakwalifikowany do druku.

A.W., RFA: — Maszynopis zbioru poetyckiego „Zapis z cienia” nie przedstawia — w naszej opinii — takich walorów artystycznych, które kwalifikowałyby go do edycji książkowej.

A.L., Bonn: — Liryki zawarte pod wspólnym tytułem „Życ od nowa...” są późnym echem szkoły Asnyka. Sugerujemy wystrzegać się wielokropka jako wyrazu ekspresji lirycznej.

L.W., Londyn: — Dziękujemy i za fraszki, i za wiersze. Nie skorzystamy — przedstawiają rodzaj poezji domowej.

M.J., Warszawa: — Opowiadanie „Szok”, interesujące tematycznie i niebanalne w sensie wzajemnej relacji pielęgniarza-chora w szpitalu psychiatrycznym, jest dość surowe w formie. Wymaga nadal sporo pracy i przemyśleń. Rada: nie psychologizować. Po angielsku zasada dla debiutujących pisarzy brzmi: *Show, do not tell*, czyli „Pokaż, nie opisz”.

I.J., Australia; L.J.; M.B., Kraków; dr E.B.; R.R., Augsburg: — Z wierszy lub aforyzmów oraz innych krótkich form nie skorzystamy.

Obserwator P., San Francisco: — Artykułu „Czy w Polsce istnieje antysemityzm?” nie zamieścimy. Niestychanie bałamutny.

J.Z., Warszawa: — Anegdota EL bardzo zabawna, ale nie widzę „naszego człowieka w Maisons Laffitte”, tym się zresztą często operuje w Polsce, nie biorąc pod uwagę nieostrożności i gadulstwa ludzi z kraju.

Jan Wirus, Łódź: — Artykuł „Dwaj prezydenci” nie zamieścimy, bo to jest zbitka z tekstów już drukowanych poprzednio w kraju i na Zachodzie.

W.B., Denton, USA: — Nie zamieścimy. Nie wydaje nam się celowe przeciąganie polemiki między Kazimierzem Braunem a Wiktorem Woroszylskim.

J.M.P., Hańcowa, Polska: — Artykułu „Anty-Fukuyama” i „Listu otwartego do W. Jaruzelskiego” nie zamieścimy.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 – 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 – 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Jerzy Smolik, Staten Island, NY (USA) — na walkę z P.Z.P.R.
(po raz trzeci) — \$102,00 F. 581,50

Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej (IDEE)
Nowy York, przekazał na Liceum Ukraińskie w Polsce
sumę \$500,00 (nadesłała Irena Lasota, Paryż) F. 2.850,00

Komitet Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich w
Polsce przy Wydziale na stan Illinois KPA przekazał na
prasę niepodległą w Polsce (nadesłał dyr. Bonawentura
Migala) — \$4.000,00 F.22.800,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^e trimestre 1990.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France
N° d'imprimeur 2586-1990

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1990			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vliissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Flh 20,00	Flh 95,00	Flh 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; «Police Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 10,00	\$ can. 50,00	\$ can. 98,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (89) 611-36-57; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 14,00	DM 85,00	DM 160,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 135,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgratan 3/IV, 11533 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 47,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 500; półroczna — F. 260.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie bankructwo. — Rozpad. — Odrzut organizmu. — Komunizm handlowy. — Kompromitacja praktyki. — Agonia komunizmu oraz Postłowie.*

Str. 276.

Cena F. 145,00.

TOM 457 —

POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA W LATACH 1926-1939

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka
opracowała Anna M. Cienciąła

Str. 448.

Cena F. 220,00.

TOM 458 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘDZIESIĄTY PIERWSZY

zawiera opracowania: J. Trznadel: *Stan wojenny (czas generała); B. Druker: Dwie rewolucje; J. Ciechanowski: Przystąpienie Anglii do wojny; H. Godulski: Na Zaolziu (1 maja 1945 — marzec 1947); Agata Tuszyńska: Modlitewnik „na polskom jazykie”; A. Suchcitz: Sprawa nadania gen. Komorowskiemu Krzyża Komandorskiego orderu Virtuti Militari; J. Kuropieska: Jak kandydowałem na senatora; K. Watanabe: Notatka z rozmów z płk. dypl. Antonim Sanojcą, szefem I Oddziału KG AK; M. Komar, K. Lang: *Myśmy już o tym mówili, proszę pana (wywiad z płk. Antonim Skulbaszewskim); Jak Stalin rozpetał wojnę domową w Polsce w 1944 r.; Obóz koncentracyjny w Łambinowicach 1945-1946; P. Wandycz: In memoriam; P. Wandycz: Nowe książki; R. Bubnicki: Duch Orwella; J. Korczak: W kręgu legendy Rydza-Śmigłego; T. Wyrwa: Francuska misja wojskowa w Polsce w latach 1919-1932; Zb. Brzeziński o wizycie w Moskwie i Katyniu; A. Skarbek: Mój udział w wypadkach majowych 1926 r.; N. Kozłowska: Zakończenie batalii Aleksandra Tipta o honor żołnierzy polskich spod Monte Cassino oraz bogaty dział LISTÓW.**

Str. 240.

Cena F. 90,00.